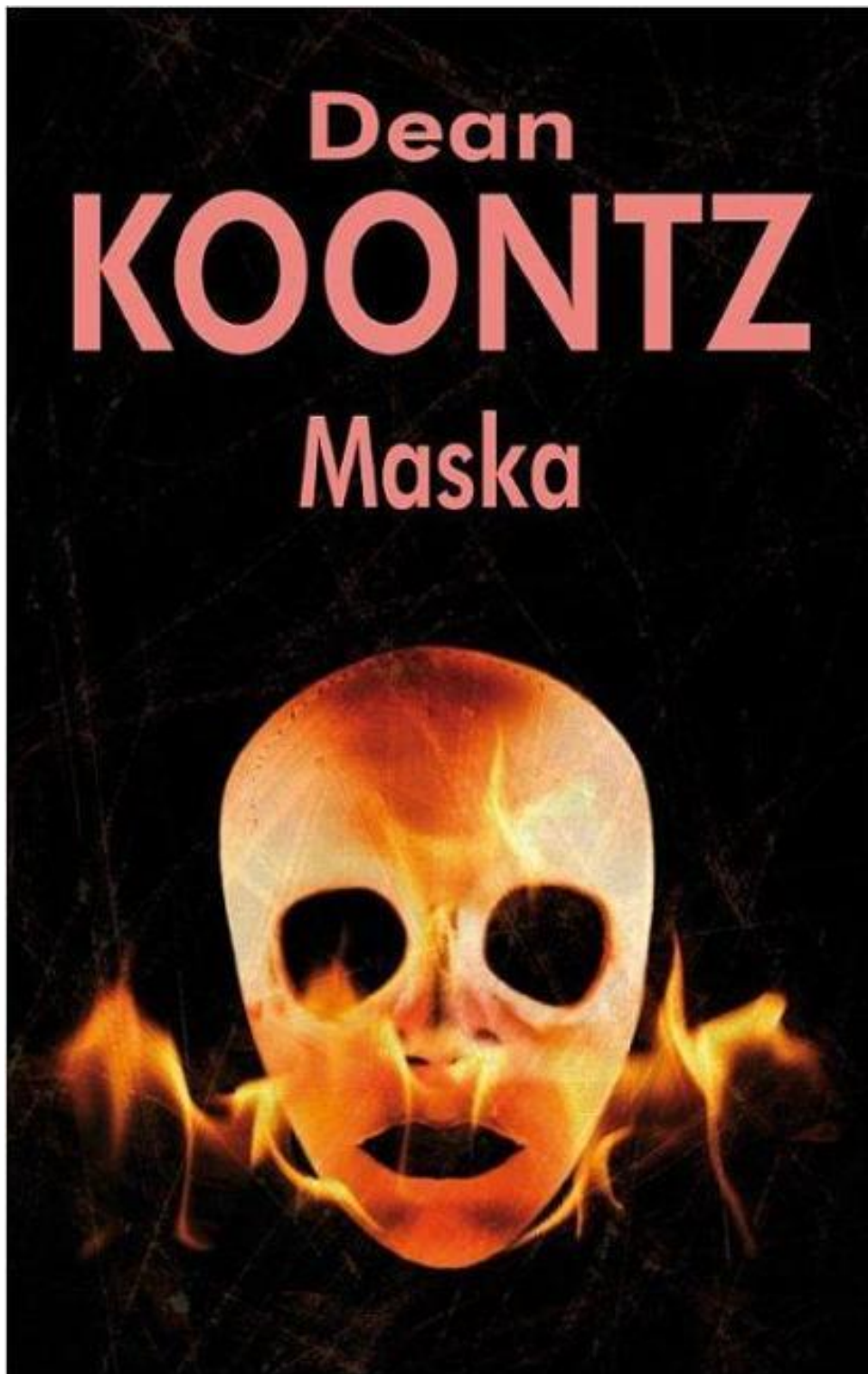


Dean
KOONTZ

Maska



DEAN R. KOONTZ

MASKA

przełożyła Hanna Milewska

Książkę tę dedykuję Willi i Dave'owi Robertsom

oraz Carol i Donowi McQuinnom,

którzy nie mają żadnych wad

oprócz tej jednej: mieszkają zbyt daleko od nas.

Pieśń na jej dwakroć smutną śmierć,

bo zgasła nazbyt wcześnie.

EDGAR ALLAN POE „Leonora” (przeł. Roman Klewin)

Dużo Szaleństwa, więcej Grzechu,

I Groza — sztuki treść.

EDGAR ALLAN POE „Robak Zdobywca” (przeł. Barbara Beaupré)

Wielki strach cofa nas do zachowań z dzieciństwa.

CHAZAL

PROLOG

Laura robiła wiosenne porządki w piwnicy. Nienawidziła każdej chwili tu spędzonej. Nie, żeby nie lubiła pracować; z natury była pracowita, i najlepiej się czuła, gdy miała coś do zrobienia. Ale bała się piwnicy.

Przede wszystkim panował tu mrok. Cztery wąskie okna, osadzone wysoko w murze, były niewiele większe niż otwory strzelnicze, a pokryte kurzem szyby przepuszczały słaby, kredowy blask. Nawet po zapaleniu kilku lamp duże pomieszczenie pozostawało pogrążone w półmroku, jakby w obawie przed całkowitym odarciem go z szat. Migotliwe bursztynowe światło odsłaniało wilgotne kamienne ściany i potężny piec węglowy, wygaszony w to piękne, ciepłe majowe popołudnie. Na długich półkach, jednej nad drugą, stały słoiki z domowymi przetworami z owoców i warzyw. W rogach czaiła się ciemność, a z niskiego belkowanego stropu cienie zwieszały się jak długie sztandary z żałobnej krepy.

Unosił się tu zawsze nieprzyjemny stęchły zapach, trącący wapienną jaskinią. Wiosną i latem, przy wysokiej wilgotności, w rogach pojawiała się szarozielona pleśń, odrażająca jak świerzb, obramowana setkami maleńkich białych zarodników. Jej obecność była specyficznym i niezbyt przyjemnym elementem piwnicznej atmosfery.

Jednak nie mrok, przykry zapach czy grzyb budził w Laurze największy lęk; jego przyczyną były pająki. Tu miały swoje królestwo. Niektóre były małe, brązowe i szybkie, inne szare, w odcieniu węgla drzewnego — nieco większe, ale poruszające się tak samo zwinnie, oraz te największe — niebieskoczarne olbrzymy, prawie tak duże jak kciuk Laury.

Kiedy wycierała kurz i pajęczyny ze słoików, stale czujna i wystraszona, narastała w niej złość na matkę. Mama lub ciocia Rachael same mogły zrobić porządki na dole, a jej zlecić sprzątanie pokoi. Ale mama wiedziała, że Laura boi się piwnicy, i w ten sposób chciała ją ukarać. Była przecież w jednym z tych swoich strasznych nastrojów, mrocznych jak chmury burzowe. Laura wiedziała już coś na ten temat. Zdarzało się to coraz częściej. A kiedy mamę ogarniał ten nastrój, była zupełnie inną osobą niż zwykle. Laura ją kochała, ale nie wtedy, gdy stawała się zapalczywą, nikczemną, pełną nienawiści kobietą, która posyłała ją do piwnicy, gdzie były pająki.

Odkurzała słoiki brzoskwiń, gruszek, pomidorów, buraków i fasoli, drżąc przed nieoczekiwanym pojawieniem się pająka, marząc, by jak najszybciej dorosnąć, wyjść za mąż i usamodzielnic się, gdy dobiegł ją nagły ostry dźwięk, który przeszył wilgotne powietrze piwnicy.

Brzmiał jak odległy rozpaczliwy lament jakiegoś egzotycznego ptaka. Przerwała pracę, podniosła wzrok na ciemny sufit i nasłuchiwała dziwnego pohukiwania dochodzącego z góry. Po chwili uświadomiła sobie, że to pełen trwogi głos cioci Rachael.

Tam, na piętrze, coś spadło i się rozbiło. Jeśli to waza z pawiem, mama będzie w wyjątkowo wstrętnym nastroju przez kilka dni.

Laura ruszyła w stronę piwnicznych schodów, gdy nagle zatrzymał ją krzyk mamy, w którym można było wyczuć grozę.

Usłyszała odgłos kroków w salonie, ktoś biegł do frontowych drzwi, które otwały się, wydając znajomy odgłos, a potem zatrzasnęły. Rachael była teraz na zewnątrz i krzyczała, i choć nie można było zrozumieć słów, wyraźnie słyszało się strach.

Laura poczuła dym.

Zaczęła wspinać się na schody i u ich szczytu ujrzała blade języki ognia. Dym nie był jeszcze gęsty, ale miał ostry kwaśny odór.

Fala żaru zmusiła ją do zmruczenia oczu, ale zdołała dotrzeć do kuchni. Ściana ognia nie była jednolita — istniała wąska droga ucieczki, korytarz chłodnego bezpieczeństwa, a na jego odległym końcu — boczne drzwi na ganek.

Podniosła długą spódnicę i owinęła ją ciasno wokół bioder i ud, zbierając materiał obiema rękami, aby uchronić ją przed płomieniami. Ostrożnie skierowała się w stronę drzwi, ale zanim zdołała je otworzyć, kuchnię ogarnął żółtoniebieski ogień. Nie było już którejś uciekać.

Pod wpływem gorąca zaczęły pękać szyby w oknach, a wpadające przez nie powietrze gwałtownie zmieniło kierunek ognia, który zaatakował Laurę. Przerażona,

zrobiła krok do tyłu, potknęła się i bezskutecznie szukając dłonią poręczy, runęła w dół i uderzyła głową o kamienną posadzkę piwnicy.

Powoli powracała jej świadomość, jak tonącemu przywracanemu do życia. Kiedy miała pewność, że czuje się dostatecznie silna, wstała. Ból promieniował od czubka głowy. Podniosła rękę do brwi. Wyczuła strużkę krwi i niewielkie otarcie. Była oszołomiona i przestraszona.

Kiedy leżała nieprzytomna, ogień rozprzestrzenił się na podest u szczytu schodów i spełzał na pierwszy stopień.

Straciła ostrość widzenia. Schody i ogień tworzyły rozmazaną plamę pomarańczowej mgły, wśród której nadciągały dymne duchy. Wyciągały długie ramiona, jak gdyby chciały objąć Laurę.

— Na pomoc! — zawołała, przykładając dłonie do ust.

Nikt nie odpowiedział.

— Niech mi ktoś pomoże! Jestem w piwnicy!

Cisza.

— Ciociu Rachael! Mamo! Na litość boską, niech mi ktoś pomoże!

Jedyną odpowiedzią był narastający ryk ognia.

Laura jeszcze nigdy nie czuła się tak bezbronna. Wokół niej szalały płomienie, a ona wewnątrz była zimna. Dygotała.

Czuła coraz silniejszy pulsujący ból głowy, zadrapanie nad prawym okiem wciąż krwawiło, ale przynajmniej widziała już wyraźniej.

Sparaliżowana ze strachu patrzyła na płomienie sunące jak jaszczurki w dół, stopień po stopniu, okręcające się wokół prętów balustradki i poręczy. Charakterystyczny dla palącego się drewna trzask przypominał złowieszczy chichot.

Poczuła duszący dym. Kaszlała, co potęgowało ból głowy. Powracało oszołomienie. Oparła się jedną ręką o ścianę, aby nie upaść.

Wszystko działo się tak szybko. Dom płonął jak stos dobrze wysuszonego drewna.

Ja tu zginę.

Ta myśl ją otrzeźwiła. Nie czas jeszcze na śmierć. Była za młoda. Tyle życia przed nią, tyle cudownych rzeczy do zrobienia, tyle marzeń do zrealizowania. To nie może się tak skończyć.

Nie zgadzała się na śmierć.

Zasłoniła usta i nos przed dymem. Odwróciła się od płonących schodów i dostrzegła ogień

w przeciwległym końcu piwnicy. Przez chwilę sądziła, że jest otoczona. Krzyknęła z rozpacz, ale nagle uświadomiła sobie, że te świecące punkty to lampy oliwne. Ich płomienie nie stanowiły zagrożenia; bezpiecznie kryły się w wysokich szklanych kloszach.

Znów kaszlnęła gwałtownie. Ból w głowie umiejscowił się za oczami. Miała trudności z koncentracją. Jej myśli rozbiegały się jak żywe srebro, zachodziły jedno na drugie tak, że nie chwytła sensu niektórych z nich.

Modliła się cicho i żarliwie.

Nad jej głową strop zatrzeszczał i jakby się przesunął. Na kilka sekund wstrzymała oddech, zacisnęła zęby i stała z zaciśniętymi pięściami, czekając, aż zostanie żywcem pogrzebana. Ale sufit nie zamierzał się zapaść — jeszcze nie teraz.

Drżąc i cicho popłakując, skierowała się do najbliższego z czterech wysoko osadzonych okien. Było prostokątne i o wiele za małe, by umożliwić jej ucieczkę.

Z każdą chwilą miała coraz większe trudności z oddychaniem. Usta wypełnił mdły, gorzki smak dymu. Ból w tyle głowy nasilał się, uniemożliwiając zebranie myśli.

Miała uczucie, że przeoczyła jakąś drogę ucieczki; właściwie była tego pewna. Musiała znaleźć jakieś wyjście, bo w przeciwnym razie czekała ją śmierć w płomieniach.

Ujrzała przerażającą wizję. Zobaczyła, jak płonie, a jej ciemne włosy, rozjaśnione płomieniami, sterczą wokół głowy niczym knot świecy. Jej twarz topi się jak wosk, kipi i paruje, a rysy rozpływają się, przypominając wykrzywione oblicze demona łypiącego pustymi oczodołami.

Nie!

Potrząsnęła głową, aby uwolnić się od tego widoku.

Była oszołomiona. Potrzebowała odrobiny świeżego powietrza, aby oczyścić płuca, lecz z każdym oddechem wciągała coraz więcej dymu. Czuła ból w piersiach.

Gdzieś obok rozległo się rytmiczne walenie; ten odgłos był głośniejszy niż bicie serca, które w jej uszach brzmiało jak grzmoty.

Zrobiła pełny obrót, zasłaniając usta dłonią i kaszłąc, chciała znaleźć źródło tego hałasu.

Starła się odzyskać panowanie nad sobą, zmusić się do myślenia. Walenie ustało.

— Lauro...

Poprzez ryk ognia usłyszała czyjś głos wołający ją po imieniu.

— Lauro...

Jestem tutaj... w piwnicy! — chciała krzyknąć, ale ze ściśniętego gardła wydobył się jedynie bełkotliwy charkot.

Z trudem utrzymywała się na nogach. Osunęła się na kamienną posadzkę i przywarła plecami do ściany.

— Lauro...

Znów ktoś uderzał pięściami w drzwi.

Odkryła, że powietrze tuż nad podłogą było czystsze. Wdychała je zachłannie, wdzięczna za odroczenie wyroku śmierci.

Na kilka sekund pulsujący ból głowy osłabł i mogła zebrać myśli. Przypomniała sobie o zapasowych drzwiach znajdujących się na północnej ścianie. W panice zapomniała o nich.

Ale teraz, jeśli zapanuje nad sobą, może się uratuje.

— Lauro! — To głos cioci Rachael.

Zaczęła pełznąć w kierunku, skąd dochodził. Trzymała głowę nisko przy ziemi, gdzie dym był nieco rzadszy. Krawędzie spojonych zaprawą kamieni podarły jej suknię i zdarty skórę z kolan. Posuwając się centymetr po centymetrze, wśród płomieni, trzasku ognia, dymu, który dusił i wyciskał łzy z oczu, Laura zbliżała się do miejsca ucieczki, a głos cioci Rachael był jej drogowskazem.

— Lauro! — Głos był już blisko. Dokładnie nad nią.

Macnęła ścianę, aż znalazła jakiś punkt oparcia. Wgłębienie w murze pomogło jej podciągnąć się na pierwszy stopień. Podniosła głowę, ale nie widziała nic oprócz nieprzeniknionej ciemności.

— Lauro, odpowiedz. Kochanie jesteś tam?

Rachael wpadła w histerię, krzyczała tak głośno i waliła w drzwi z takim zapamiętaniem, że nie usłyszałyby odpowiedzi, nawet gdyby Laura była w stanie jej udzielić.

Gdzie mama? Dlaczego jej nie słyszę? Czy nic jej nie obchodzi?

Kuląc się w tej ograniczonej, gorącej, ciemnej przestrzeni, Laura wyciągnęła rękę w kierunku drzwi znajdujących się nad głową. Ciężka sztaba drgnęła i opadła pod uderzeniem małych pięści Rachael. Laura szukała po omacku klamki. Zacisnęła dłoń wokół metalowego kształtu i drgnęła konwulsyjnie, dotykając czegoś małego, lecz żywego. Cofnęła rękę. Ale to coś przeniosło się z klamki na jej rękę. Przebiegło między palcami przez kciuk, dłoń, nadgarstek, rękaw sukienki, zanim zdążyła strzepnąć.

Pająk.

Nie widziała go, ale czuła. Pająk. Jeden z tych dużych jak jej kciuk; spalone czarne ohydztwo, błyszczące jak tłusta kropla oliwy. Na chwilę zamarła.

Pająk sunął po jej ramieniu, a jego zuchwałe poczynania pobudziły ją do działania. Klepnęła go przez rękaw sukni, ale chybiła. Ukąsił ją pod zgięciem łokcia, aż skrzywiła się z bólu. Poczwała go pod pachą. Tu też ją ukąsił. Tocząc rozpaczliwą walkę z największym wrogiem, zapomniała o płonącym domu i rozpadającym się stropie. Wzdrygnęła się, straciła równowagę i stoczyła ze schodów, raniąc biodro na kamiennej posadzce. Pająk łaskotał, idąc teraz wewnątrz jej stanika, aż znalazł się między piersiami. Chciała krzyknąć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Przyłożyła rękę do piersi i mocno nacisnęła, aż przez materiał poczuła, że stworzenie wije się pod ciężarem dłoni. Nie zmniejszyła nacisku, dopóki go nie zgmiotła. Poczwała mdłości i zasłoniła ręką usta.

Przez chwilę leżała na podłodze w pozycji embriona, gwałtownie dygocąc. To, co pozostało ze zgnieczonego pająka, spłynęło wolno po jej piersi. Chciała pozbyć się tego, lecz zawahała się w irracjonalnej obawie, że mógłby ożyć i ukąsić ją w palce.

Przygryzła wargę. Poczwała smak krwi.

Mama...

To sprawka mamy. Ona ją tu posłała, chociaż wiedziała, że boi się pajaków. Dlaczego mama zawsze była taka skora do wymierzania kary, taka szybka w przypisywaniu winy?

Belka nad jej głową pękła, a kuchenne drzwi otworzyły się z trzaskiem. Miała wrażenie, że zajrzała do piekieł. Leciał na nią deszcz iskier. Jej suknia zaczęła się tlić. Poparzyła sobie ręce, gasząc ogień.

To wszystko przez mamę.

Jej dłonie i palce pokryły się pęcherzami, zaczynały jej odpadać od ciała płyty skóry, co uniemożliwowało pełzanie. Podniosła się, chociaż ta pozycja wymagała wielkiej siły i zdecydowania. Chwiała się, oszołomiona i słaba.

Mama mnie tu posłała.

Laura widziała już tylko pulsującą, wszechogarniającą światłość, w której szybowały i wirowały bezkształtne dymne duchy. Starła się odnaleźć drzwi prowadzące na zewnątrz, ale straciła orientację. Obijała się o sprzęty, raniła, kaszląc i trąc załamane oczy.

Mama mi to zrobiła.

Zacisnęła poranione, krwawiące dłonie w pięści. W napadzie wściekłości zaczęła walić w piec, na który wpadła, a każdy cios przeznaczony był dla jej matki.

Górne partie płonącego domu zachwiały się i runęły. Gdzieś w oddali, poza ścianą dymu, głos cioci Rachael odbijał się echem:

— Lauro... Lauro...

Dlaczego tam nie ma mamy, dlaczego nie pomaga cioci Rachael wyważyć drzwi piwnicy?

Gdzież jest, na Boga? Czyżby dorzucała węgla i dolewała oliwy do ognia?

Charcząc i dysząc, Laura starała się podążać za głosem Rachael, za głosem ratunku.

Spadająca belka uderzyła ją w plecy. Upadając, chwyciła się półki z domowymi przetworami. Leżała wśród odłamków szkła. Czuła zapach ogórków i brzoskwiń.

Nie miała czasu, aby stwierdzić, jakie odniosła obrażenia, bo następna lecąca belka zmiażdżyła jej nogi. Ból był tak silny, że umysł nie dopuścił go do świadomości. Nie miała nawet szesnastu lat, a zniosła tak wiele. Zepchnęła ból do najciemniejszego zakamarka psychiki i walczyła; skręcała się, wściekała na los i przeklinała matkę.

Wiedziała, że ta nienawiść nie miała racjonalnego podłoża, ale odczuwała ją tak silnie, że w świadomości zajęła miejsce bólu. Przepelniała ją, dodawała tyle demonicznej energii, że byłaby w stanie odrzucić ciężką belkę z nóg.

Przeklinam cię, mamo.

Piętro domu zawaliło się na parter, czemu towarzyszył odgłos podobny do wystrzału z działa.

Przeklinam cię, mamo! Przeklinam cię!

Dwie kondygnacje płonącego rumowiska wdarły się przez osłabiony strop do piwnicy.

Mamo...

CZĘŚĆ PIERWSZA

JAKIŚ POTWÓR TU NADCHODZI...

Palec mnie świerzbi, to dowodzi,

Że jakiś potwór tu nadchodzi;

Odsłońcie otwór, niech wnijdzie potwór!

SZEKSPIR „Makbet”

(przeł. Józef Paszkowski)

ROZDZIAŁ 1

Na tle posępnych chmur błyskawica nakreśliła postrzępiony zygzak niczym pęknięcie na porcelanowym talerzu. Zaparkowane przed biurem Alfreda O'Briana samochody na moment wyłoniły się z mroku w oczekiwaniu na następny burzowy refleks.

Porywisty wiatr chłostał drzewa. Krople deszczu z furią waliły w szyby budynku, aby potem strugami spłynąć po szkle.

O'Brian siedział plecami do okna i czytał podanie przedłożone mu przez Paula i Carol Tracych.

Jaki to schludny człowieczek — pomyślała Carol, obserwując O'Briana. — Kiedy siedzi tak nieruchomo, można pomyśleć, że to manekin.

Był wyjątkowo zadbany. Starannie uczesane włosy to z pewnością efekt pracy dobrego fryzjera. Fachowo przystrzyżone wąsy układały się idealnie symetryczne po obu stronach policzków. Szary garnitur miał spodnie o kantach tak ostrych i prostych jak żyletki. Czarne buty błyszcząły. Wypielęgnowane paznokcie i różowe, dokładnie wymyte dłonie wyglądały wręcz sterylnie.

Kiedy Carol została przedstawiona O'Brianowi niespełna tydzień temu, oceniła go jako przesadnego wręcz pedanta i zdecydowała, że go nie polubi. Szybko jednak podbił ją swoim uśmiechem, nienagannymi manierami i szczerą chęcią przyjścia z pomocą jej i Paulowi.

Zerknęła na Paula. Siedział sztywno w fotelu obok. Obserwował O'Briana z uwagą, lecz kiedy poczuł na sobie wzrok Carol, odwrócił się i uśmiechnął. Jak zwykle jego spojrzenie podniosło Carol na duchu. Nie był ani przystojny, ani brzydki, ot, przeciętny człowiek, jednak kochała go za łagodność i czułość, które emanowały z jego twarzy. Orzechowe oczy miały zdolność komunikowania zdumiewająco subtelnych emocji. Sześć lat wcześniej, na uniwersyteckim sympozjum na temat „Psychologia anormalności a współczesna proza amerykańska”, gdzie Carol poznała Paula, właśnie te ciepłe, wyraziste oczy zwróciły jej uwagę, a i potem nie przestawały jej intrygować... Teraz mrugnął i tym mrugnięciem zdawał się mówić: Nie martw się. O'Brian jest po naszej stronie. Podanie zostanie przyjęte. Wszystko dobrze się ułoży. Kocham cię.

Odmrugnęła i udawała pewną siebie, chociaż wiedziała, że Paula nie sposób oszukać. Tak bardzo chciała zyskać aprobatę pana O'Briana. Samą siebie przekonywała, że nie ma powodów, dla których O'Brian miałby ich odrzucić. Byli młodzi i zdrowi. Paul miał trzydzieści pięć, ona

trzydzieści jeden lat — wspaniały wiek, by zacząć nowe życie, o którym marzyli. Oboje odnosili sukcesy w pracy. Nie mieli kłopotów finansowych, nawet dobrze im się powodziło. Miejskowa społeczność ich szanowała. Byli szczęśliwym i zgodnym małżeństwem, a ich związek z roku na rok wydawał się silniejszy. Słowem, mieli wszelkie dane, aby starać się o adopcję dziecka, więc dlaczego się denerwowała?

Kochała dzieci i sądziła, że potrafi wychować jedno lub dwoje. W ciągu minionych czternastu lat, kiedy zdobyła trzy stopnie naukowe na trzech uniwersytetach i pozycję w zawodzie, odkładała na później wiele przyjemności, a z wielu po prostu zrezygnowała. Zdobywanie wykształcenia i robienie kariery zawsze stały na pierwszym planie. Ale adoptowanie dziecka to sprawa, której nie chciała odkładać na później.

Odczuwała silną potrzebę, niemal fizyczną, by zostać matką, wychowywać i kształcić dzieci, dawać im miłość i okazywać wyrozumiałość. Była wystarczająco inteligentna i świadoma swojej osobowości, by zdawać sobie sprawę, że ta głęboko zakorzeniona potrzeba powstała, przynajmniej po części, z niemożności poczęcia dziecka z własnej krwi i ciała.

Ponosiła winę za swoją bezpłodność, która wynikała z niewybaczalnej głupoty, popełnionej przed wielu laty. Poczucie winy sprawiało, że znosiła swój los o wiele gorzej, niż gdyby to natura uczyniła ją jałową. Była bardzo trudnym dzieckiem, wychowywanym przez rodziców alkoholików i brutalni, często bitym, które doświadczyło pokaźnej dawki tortur psychicznych.

Zanim skończyła piętnaście lat, była wystarczająco zbuntowana przeciwko rodzicom i całemu światu, by nienawidzić wszystkich, a zwłaszcza siebie. W najmroczniejszym okresie swego pogmatwanego, pełnego męki dojrzewania zaszła w ciążę. Przeżrana, straciła głowę; nie miała do kogo zwrócić się o pomoc. Próbowiła ukryć swój stan, nosząc szerokie pasy, bandażując się elastycznymi opaskami oraz ograniczając jedzenie do minimum, by nie przybierać na wadze.

To spowodowało komplikacje, czego omal nie przypłaciła życiem. Dziecko urodziło się przedwcześnie, ale zdrowe. Oddała je do adopcji i przez parę lat nie myślała o tym zbyt wiele. Świadomość, że stała się bezpłodna, nie była dla niej dramatem; pragnienie posiadania dziecka miało pojawić się później. Dzięki Grace Mitowski, psychologowi dziecięcemu, pracującej społecznie przy sądzie dla nieletnich, Carol całkowicie zmieniła swoje życie. Nauczyła się lubić siebie i wiele lat później zaczęła żałować, że przyczyniła się do swojej bezpłodności.

Uznała adopcję za najodpowiedniejszy sposób rozwiązania problemu. Mogła przybranemu dziecku dać tyle miłości co własnemu. Wiedziała, że będzie dobrą i troskliwą matką, i pragnęła tego dowieść — nie tyle światu, ile sobie.

O'Brian podniósł wzrok znad podania i uśmiechnął się.

— To naprawdę świetnie wygląda — powiedział, wskazując formularz. — Naprawdę, jest wspaniałe. Nie każdy, kto składa u nas podanie, ma takie kwalifikacje.

— Miło mi, że pan to mówi — podziękował Paul.

O'Brian potrząsnął głową.

— Stwierdzam tylko fakty. Jestem pod wrażeniem.

— Dziękuję panu — odezwała się Carol.

O'Brian odchylił się do tyłu, splótł ręce na brzuchu i powiedział:

— Mam jednak parę pytań. Jestem pewien, że zada mi je komisja rekomendacyjna, więc jeśli teraz uzyskam odpowiedzi, zaoszczędzę państwu późniejszych konsultacji.

Carol zeszywniała.

O'Brian najwidoczniej zauważył jej reakcję, bo szybko dodał:

— O, to nic istotnego. Naprawdę. Proszę mi wierzyć, nie zadam państwu nawet połowy pytań, jaką zwykle stawiam zgłaszającym się do nas parom.

Pomimo zapewnień Carol pozostała spięta.

Za oknami niebo stawało się coraz ciemniejsze; chmury zmieniały kolor z szarego na niebieskoczarny i opuszczały się nisko nad ziemię.

O'Brian obrócił się w fotelu do Paula.

— Doktorze Tracy, czy powiedziała by pan o sobie, że jest pan człowiekiem sukcesu?

Paul wydawał się zaskoczony pytaniem. Zamrugał i odparł:

— Nie wiem, co ma pan na myśli.

— Jest pan kierownikiem katedry języka angielskiego w college'u, prawda?

— Tak, ale na ten semestr wziąłem urlop naukowy. Zastępca przejął większość moich obowiązków. Innymi słowy, byłem odpowiedzialny za katedrę przez ostatnie półtora roku.

— Czy nie jest pan za młody na to stanowisko?

— W pewnym sensie tak — przyznał Paul. — Widzi pan, to raczej niewdzięczne stanowisko: dużo pracy, mało satysfakcji. Moi starsi koledzy z wydziału chytrze wmanewrowali mnie w tę funkcję, by uniknąć mało satysfakcjonującego zajęcia.

— Jest pan skromny.

— Nie, mówię prawdę. Nie przywiązywałem do tego większej wagi.

Carol wiedziała, że jest skromny. Przewodniczący rady wydziału to zaszczytne stanowisko.

Rozumiała jednak, że Paul pomniejsza jego znaczenie; został zbity z tropu przez O'Briana określeniem — człowiek sukcesu. Ona też poczuła się nieswojo. Nie przypuszczała, iż długa lista osiągnięć może świadczyć przeciwko nim.

Za oknami błyskawica przecięła zygzakiem niego.

Wciąż zwracając się do Paula, O'Brian kontynuował:

— Jest pan także pisarzem.

— Tak.

— Jest pan autorem cieszącego się powodzeniem podręcznika z literatury angielskiej. Napisał pan tuzin monografii na różne tematy i opisał historię naszego okręgu, a także dwie książki dla dzieci, jedną powieść...

— Powieść odniosła taki sukces, jak koń próbujący chodzić po linie — rzekł Paul. — Krytyk z „New York Timesa” napisał, że stanowi „wspaniały przykład akademickiego

zadęcia, przeładowania tematami i symbolami, fatalnego braku treści i jakiegokolwiek linii narracyjnej, odznaczającego się naiwnością kogoś, kto mieszka w wieży z kości słoniowej”.

O'Brian uśmiechnął się.

— Czy każdy pisarz potrafi zacytować złe recenzje?

— Przypuszczam, że nie. Ale to wryło mi się w pamięć, bo zawiera nieprzyjemną dawkę prawdy.

— Pisz pan następną powieść? Czy dlatego wziął pan urlop naukowy?

Paul nie był zaskoczony pytaniem. Zrozumiał taktykę O'Briana.

— Tak, rzeczywiście, piszę nową powieść. Ta wreszcie będzie miała jasny wątek. — Zaśmiał się, pomniejszając wartość swojego pisarstwa.

— Jest pan również zaangażowany w pracę społeczną.

— Nie za bardzo.

— Mówię poważnie — nie zgodził się z nim O'Brian. — Fundacja szpitala dziecięcego, samorząd lokalny, rozdział stypendiów w college'u; oczywiście oprócz stałych zajęć i pisania.

I nadal pan uważa, że nie jest człowiekiem sukcesu?

— Nie sędzę. Działalność społeczna to tylko parę spotkań w miesiącu. Nic wielkiego. Robię i tak niewiele, biorąc pod uwagę moje udane życie. — Paul przesunął się na skraj fotela. —

Może obawia się pan, że nie będę miał czasu dla dziecka? Jeśli to pana niepokoi, proszę się dłużej nie martwić. Znajdę czas. Ta adopcja znaczy dla nas bardzo dużo, panie O'Brian. Oboje bardzo pragniemy dziecka i jeśli zostanie nam przyznane, z pewnością nie będziemy go zaniedbywać.

— O, jestem tego pewien — szybko powiedział O'Brian, unosząc dłonie w pojedynczym geście. — Nie o to mi chodziło, z pewnością nie. Jestem po państwa stronie. — Odwrócił twarz w stronę Carol.

— Pani doktor Tracy, a pani? Czy uważa się pani za kobietę sukcesu?

Błyskawica znów przecięła pancierz chmur, tym razem bliżej. Miało się wrażenie, że uderzyła nie dalej niż dwie przecznice od nich. Huk pioruna zatrzęsł szybami w oknach.

Tę przerwę Carol wykorzystwała na przemyślenie odpowiedzi i doszła do wniosku, że O'Brian oceni otwartość wyżej niż skromność.

— Tak. Mogę powiedzieć, że jestem kobietą sukcesu. Zaangażowałam się w parę społecznych akcji zapoczątkowanych przez Paula. Biorąc pod uwagę mój wiek,

odnoszę sukcesy zawodowe, prowadząc praktykę psychiatryczną. Gościnnie wykładam w college'u, gdzie mam regularne zajęcia. Prowadzę też, pod kątem habilitacji, badania nad dziećmi autystycznymi.

Latem pielęgnuję mały ogród warzywny, a w zimowe miesiące zajmuję się robótkami dziewiarskimi, i nawet myję zęby trzy razy dziennie, każdego dnia, bez wyjątku.

O'Brian roześmiał się.

— Trzy razy dziennie, tak? Och, pani jest zdecydowanie kobietą sukcesu.

Ciepłe brzmienie jego śmiechu przywróciło Carol pewność siebie.

— Jestem przekonana, że rozumiem pana wątpliwości. Obawia się pan, byśmy nie oczekiwali zbyt wiele od naszego dziecka.

— Właśnie — powiedział O'Brian. Zauważył jakąś nitkę na rękawie i strzepnął ją. — Rodzice — ludzie sukcesu — mają skłonność do zbyt surowego wychowywania dzieci, do zbyt pośpiesznych reakcji.

— Ten problem powstaje tylko wtedy, gdy rodzice nie są świadomi niebezpieczeństwa — odezwał się Paul. — Nawet jeśli Carol i ja należymy do ludzi sukcesu, z czym osobiście się nie zgadzam, nie będziemy zmuszać naszych dzieci, aby robiły więcej, niż są w stanie. Każdy powinien znaleźć własną drogę w życiu. Carol i ja zdajemy sobie sprawę, że dzieckiem trzeba kierować, a nie na siłę dopasowywać do schematu.

— Oczywiście — potwierdziła Carol.

O'Brian wyglądał na zadowolonego.

— Byłem przekonany, że usłyszę to od pana.

— W mojej praktyce psychiatrycznej mam do czynienia z pacjentami mającymi różne problemy — powiedziała Carol. — Jednak specjalizuję się w zaburzeniach psychicznych i emocjonalnych u dzieci i dorastającej młodzieży. Sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt procent moich pacjentów nie ma więcej niż siedemnaście lat. Leczyłam kilkoro dzieci, które cierpiały na poważne schorzenia psychiczne spowodowane przez wymagających rodziców, którzy zbyt serio podchodzili do ich osiągnięć szkolnych. To miało wpływ na wszelkie aspekty rozwoju intelektualnego i osobowego. Widziałam dzieci zranione, panie O'Brian, i opiekowałam się nimi najlepiej, jak umiałam. Prawdopodobnie, ze względu na te doświadczenia, nie mogłabym postępować ze swoimi dziećmi tak, jak tamci rodzice. To nie oznacza, że nie popełnię błędów. Jestem pewna, że będę je robiła. I to mnóstwo. Ale nie te, o których pan wspominał.

— Przekonujące jest to, co państwo powiedzieli — rzekł O'Brian, kiwając głową. — Przekonujące i bardzo dobrze wyłożone. Jestem pewien, że kiedy powtórzę państwa słowa przed komisją rekomendacyjną, będą całkowicie usatysfakcjonowani. — Strząsnął następny pyłek z rękawa. — Spodziewam się jeszcze jednego pytania: Przypuśćmy, że dziecko, które państwo adoptują, okaże się... no cóż... po prostu mniej inteligentne niż państwo. Czy to nie stanie się dla was powodem frustracji?

— Cóż, nawet gdybyśmy mogli mieć własne dziecko — odezwał się Paul — nie byłoby żadnej gwarancji, że urodzi się geniusz. Gdyby jednak było... opóźnione w rozwoju... także byśmy je kochali. Oczywiście, że tak. To samo dotyczy dziecka, które chcemy adoptować.

Carol zwróciła się do O'Briana:

— Myślę, że ma pan o nas zbyt wysokie mniemanie. Żadne z nas nie jest geniuszem, na litość boską! Zaszczyliśmy wysoko przede wszystkim dzięki pracy i wytrwałości, a nie ze względu na naszą wyjątkową błyskotliwość. Chciałabym, żeby tak było, ale prawda jest inna.

— Poza tym — dodał Paul — nie kocha się bliskiej osoby tylko za jej inteligencję. Liczy się cała osobowość, zestaw cech.

— Dobrze — powiedział O'Brian. — Cieszę się, że tak to pan odczuwa. Komisja również pozytywnie to odbierze.

Zamilkli, bo do ich uszu dobiegło z oddali wycie syren. Wozy strażackie. Teraz już nie tak odległe, coraz głośniejsze.

— Myślę, że te dwie ostatnie błyskawice spowodowały poważne szkody — odezwał się Paul.

O'Brian obrócił się z fotelem do okna, znajdującego się dokładnie za jego biurkiem.

— Rzeczywiście, piorun musiał uderzyć w pobliżu.

Carol podeszła do okna, ale nie dostrzegła dymu na żadnym z pobliskich dachów.

Syreny coraz bardziej się zbliżały.

— Więcej niż jeden wóz — stwierdził O'Brian.

Kilka strażackich wozów przejechało obok budynku, w którym się znajdowali, kierując się w stronę następnej przecznicy. Po chwili usłyszeli kolejne jednostki.

O'Brian podniósł się z fotela i podszedł do okna.

— To musi być coś poważnego — powiedział Paul, zbliżając się do O'Briana. — Wygląda na to, że wezwano co najmniej dwie ekipy strażackie.

— Widzę dym — odezwał się O'Brian.

Tu dzieje się coś złego.

Ta myśl zaatakowała Carol, przeraziła, jak brutalny policzek. Przeszył ją strach. Chwyła poręcz fotela tak mocno, że złamała paznokiec.

Coś... złego... bardzo złego...

Nagle powietrze stało się przygniatająco ciężkie, gorące, lepkie, jak gorzki, trujący gaz. Próbowwała odetchnąć i nie mogła. Na piersiach czuła niewidzialny, miazdzący ciężar.

Odejdźcie od okien!

Chciała ich ostrzec, lecz strach odebrał jej głos. Paul i O'Brian stali plecami do niej, nieświadomi, co się z nią działo.

Czego się boję? — pytała siebie. — Czegóż, na Boga, tak się przeraziłam?

Walczyła z tą irracjonalną, paraliżującą zgrozą. Zaczęła podnosić się z fotela, i wtedy to się stało.

Morderczy ogień, wzniecony przez błyskawicę, wystrzelił jak salwa z moździerza. Siedem albo osiem ogłuszających piorunów, jeden po drugim, tak że nie potrafiła ich policzyć, uderzało coraz bliżej budynku, coraz bliżej okien: błyszczące, rozjaśnione, brzęczące; to czarne, to mleczne, to lśniące, to matowe, to srebrzyste, to znów w odcieniu miedzi...

Nagła eksplozja fioletowobiałego światła wywołała serię drgających stroboskopowych obrazów, na zawsze wypalonych w pamięci Carol: stojący Paul i O'Brian. Ich sylwetki, małe i bezbronne, na tle naturalnych fajerwerków. Na zewnątrz deszcz, smagane wiatrem drzewa, miotające się z coraz większą wściekłością. Błyskawica uderza w jedno z nich — duży klon — a potem złowieszczy ciemny kształt pojawia się w centrum eksplozji, coś jak torpeda, i zmierza prosto w stronę środkowego okna. O'Brian unosi rękę, zasłaniając twarz. Paul odwraca się do niego z rozpostartymi ramionami; obaj wyglądają jak postacie z filmu, kiedy taśma zacina się

w projektorze. O'Brian przechyla się na bok; Paul chwyta go za rękaw i szarpie w tył (zaledwie ułamek sekundy po tym, jak błyskawica rozplątała klon). Olbrzymi konar wpada przez środkowe okno w momencie, gdy Paul odciąga O'Briana z jego drogi. Jedna z liściastych gałęzi przesuwą się po głowie O'Briana i zrywa mu okulary, ciskając je w powietrze. Jego twarz — pomyślała Carol — jego oczy! A potem Paul i O'Brian, padając na podłogę, znikają jej z widoku.

Olbrzymi konar roztrzaskanego klonu pada na biurko O'Briana w fontannie wody, szkła, wyłamanych futryn okiennych i dymiących płatów kory. Nogi biurka trzeszczą i załamują się pod brutalnym naciskiem drzewa.

Carol znalazła się na podłodze obok przewróconego fotela. Nie pamiętała momentu upadku.

Leżała na brzuchu, z policzkiem przyciśniętym do podłogi, gapiąc się bezmyślnie na odłamki szkła i liście klonu zaścielające dywan. Błyskawice nadal rozświetlały zachmurzone niebo, wiatr wciskał się przez wybite szyby i porywał liście do szaleńczego tańca. Kalendarz spadł ze ściany i fruwał niczym latawiec na skrzydłach zrobionych z kartek stycznia i grudnia. Dwa obrazy grzechotały na drucianych haczykach, próbując się z nich uwolnić. Papiery, materiały biurowe, formularze, małe arkusiki z bloczków do notowania, biuletyny, gazety szeleściły, unosiły się, nurkowały, sunęły po podłodze z sykiem węża.

Carol miała osobliwe uczucie, że cały ten zamęt nie był rezultatem wiatru, lecz spowodowany został przez... obecność czegoś przerażającego. Zły poltergeist. Demoniczne duchy wydawały się poruszać niewidzialnymi ramionami, zrywać przedmioty ze ścian, znajdować schronienie w liściach i zmiętych arkuszach papieru.

To szalony pomysł i była zaniepokojona, że coś takiego przyszło jej do głowy. Błyskawica znów rozjaśniła mrok, a towarzyszący jej grzmot przeszył powietrze.

Krzywiąc twarz, zakryła z przerażenia głowę rękoma.

Serce jej waliło, a w ustach zaschło.

Pomyślała o Paulu i poczuła gwałtowny skurcz w piersiach. Leżał pod oknem, po przeciwnej stronie biurka, niewidoczny pod gałęziami klonu. Była pewna, że żył. O'Brian mógł zginąć, jeśli ta mała gałąź uderzyła go w głowę. Jednak Paul z pewnością żył. Z pewnością. Niemniej mógł być ciężko ranny, krwawić...

Podciągając się na rękach, Carol zaczęła dźwigać się na kolana, by pośpieszyć mu z pomocą, której z pewnością potrzebował. Ale następna błyskawica oślepiła ją, a grzmot ogłuszył i powracający strach spowodował, że opuściły ją siły. Była na siebie wściekła. To przytrafiło się jej po raz pierwszy. Zawsze szczyliła się swoją siłą, zdecydowaniem i stanowczością. Przeklinając się w duchu, osunęła się z powrotem na podłogę.

Coś próbuje nas powstrzymać przed adoptowaniem dziecka.

Ta absurdalna myśl była jak ostrzeżenie, które odebrała na moment przed powaleniem drzewa.

Coś próbuje nas powstrzymać przed adoptowaniem dziecka.

Nie. To śmieszne. Burza, błyskawice to tylko zjawiska atmosferyczne. Czysty przypadek, że ofiarą padł O'Brian, ale przecież nie dlatego, że zamierzał im pomóc w adoptowaniu dziecka.

Absurd.

Czyżby? — pomyślała, gdy ogłuszający piorun i przeszywający blask wypełniły pokój.

—

Zjawiska atmosferyczne, tak? Gdzie widziano taką błyskawicę?

Przywarta do podłogi, dygocąca, drżąca z zimna, przestraszona bardziej niż wtedy, gdy była małą dziewczynką. Próbowała wmówić sobie, że to tylko strach przed burzą, uzasadniony, racjonalny strach, ale wiedziała, że się oszukuje. Było coś jeszcze, co nie miało kształtu i nazwy, a czego obecność nacisnęła w niej guzik strachu. Ten strach tkwił w niej samej.

Derwisz uformowany z gnanych wiatrem liści i papierów zawirował na podłodze, sunął prosto na nią. Wielka kolumna sięgająca dwóch metrów zatrzymała się blisko niej, wiła się, syczała, zmieniała kształt, błyszcząca ciemnosrebrzyście w migającym świetle burzy. Gdy Carol tak gapiała się przerażona, miała idiotyczne wrażenie, że ona

gapi się na nią. Po chwili kolumna przesunęła się nieco w lewo, potem powróciła, znów zatrzymała się przed nią, zawahała i popędziała w przeciwnym kierunku, aby za chwilę raz jeszcze wyłonić się przed nią, zaatakować i rozerwać ją na strzępy.

To tylko wirująca kupa śmieci, nie żadna żywa istota! — wmawiała sobie ze złością.

Widmo uformowane przez wiatr oddaliło się.

Tylko kupa śmieci. Co się ze mną dzieje? Czy odchodzę od zmysłów? — pytała siebie pogardliwie.

Przypomniała sobie coś, co zawsze pomagało w takich chwilach: Jeśli myślisz, że odchodzisz od zmysłów, musisz być całkowicie normalna, gdyż szaleniec nie ma takich wątpliwości. Z doświadczenia wiedziała, że ta mądrość była uproszczeniem złożonych zasad psychologii, ale w jej istocie tkwiło ziarno prawdy. A zatem musiała być normalna.

A jednak przerażająca, irracjonalna myśl znów powróciła, nieproszona i niechciana: Coś próbuje nas powstrzymać przed adoptowaniem dziecka.

Czym był wir, w którego centrum się znajdowała, jeśli nie zjawiskiem przyrody? Komu zależało, aby uwierzyła, że błyskawicę zesłano w świadomym zamiarze przeobrażenia pana O'Briana w dymiące, zwęglone zwłoki? Oto pytania, na które nie знаła odpowiedzi. A może to dzieło Boga? Bóg nie siedzi w niebie po to, aby za pomocą pioruna wymierzonego w pana O'Briana zatrzymać postępowanie adopcyjne, o które zabiegali. Diabeł? Zionący na biednego O'Briana z czeluści piekła? To dopiero zbzikowany pomysł. Jezu!

Nie była nawet pewna, czy wierzy w Boga, ale zdecydowanie nie uznawała diabła.

Następna szyba okienna rozbiła się, zasypując ją odłamkami szkła.

Potem zapadła cisza.

Rozeszła się woń ozonu.

Wiatr wciąż wdzierał się przez otwarte okna, ale z wyraźnie mniejszą siłą niż przedtem.

Wirujące słupy liści i papierów opadały na podłogę, trzepocząc i drżąc, jak gdyby z wyczerpania.

Coś...

Coś...

Coś próbuje nas powstrzymać przed...

Tamowała tę myśl jak tryskającą z tętnicy krew. Była przecież kobietą wykształconą, do cholery! Była dumna ze swojej pozycji i rozsądku. Nie mogła sobie pozwolić na uleganie tym nieznośnym, idiotycznym, całkiem bezpodstawnym lękom.

Zwariowana pogoda — oto wystarczające wyjaśnienie. Zwariowana pogoda. W gazetach wciąż czyta się o takich anomaliach. Pół metra śniegu w Beverly Hills. Dwadzieścia sześć stopni ciepła w dzień w środku zazwyczaj mroźnej zimy w Minnesocie. Krótkotrwały deszcz z bezchmurnego błękitnego nieba. I burza, o podobnej sile jak ta, prawdopodobnie nieraz występowała, chociaż rzadko. Oczywiście, że tak. Oczywiście. Wystarczy wziąć do ręki jedną z tych popularnych książek, których autorzy opisują wszelkiego rodzaju rekordy, i otworzyć na rozdziale poświęconym pogodzie, a znajdzie się imponującą listę szkód spowodowanych przez błyskawice, przy których ta wypadłaby blado. Zwariowana pogoda. Otóż to. I tylko to. Nic nadzwyczajnego.

Wreszcie, na jakiś czas, Carol zdołała odsunąć od siebie wszystkie myśli o demonach i duchach, poltergeistach z koszmarów i innych tego rodzaju stereotypach.

We względnej ciszy, jaka zapanowała, poczuła, jak wracają jej siły. Podniosła się na kolana. Z brzękiem, jak lekko poruszane dzwonki, odłamki szkła spadły z jej szarej spódnicy i zielonej bluzki. Nie miała żadnych skaleczeń ani nawet zadrapań, choć była lekko oszołomiona i przez chwilę czuła, jakby podłoga się kołysała.

Za ścianą jakaś kobieta zaczęła histerycznie krzyczeć. Ktoś zaczął wołać pana O'Briana.

Jednak nikt się jeszcze nie pojawił, żeby zobaczyć, co się stało, a to mogło oznaczać, że minęła zaledwie sekunda czy dwie od ostatniej błyskawicy, chociaż Carol czas wyraźnie się dłużył.

Pod oknem ktoś cicho jęknął.

— Paul? — zapytała.

Jeśli padła jakaś odpowiedź, zagłuszył ją nagły poryw wiatru, który na krótko porwał papiery i liście. Przypomniała sobie moment, gdy gałąź uderzyła w głowę O'Briana, i zadrżała. Ale Paul pozostał nietknięty, drzewo ominęło go. Czyżby?

— Paul!

Przestraszona, wstała i szybko obeszła biurko, przechodząc przez roztrzaskane gałęzie klonu i przewrócony kosz na śmieci.

ROZDZIAŁ 2

W tamto środowe popołudnie, po lunchu złożonym z jarzynowej zupy Campbella oraz kanapki z zapiekany serem, Grace Mitowski poszła do swego gabinetu i zwinęła się na sofie, aby przespać się z godzinę. Nigdy nie drzemała w sypialni, nie chcąc nadawać temu zbyt formalnego charakteru. Co prawda ostatnio zdarzało się to coraz częściej, lecz wciąż jeszcze nie pogodziła się z faktem, że potrzebuje odpoczynku w środku dnia. To dobre dla dzieci i ludzi starszych, słabych i schorowanych. Dzieciństwo miała już za sobą, Bogu dzięki, a chociaż była stara, z pewnością nie zaliczała się do osób słabych i schorowanych. Leżenie w łóżku w biały dzień kojarzyła z lenistwem, a lenistwa nie znosiła u nikogo, zwłaszcza u siebie. Dlatego

drzemała w gabinecie, na sofie, plecami do zaciągniętych w oknach żaluzji, kołysana monotonnym tykaniem zegara w kominku.

W wieku siedemdziesięciu lat Grace była wciąż sprawna umysłowo i pełna energii. Jej szare komórki nie pracowały gorzej; to tylko zdradliwe ciało przysparzało jej smutku i frustracji.

Dokuczał jej artretyzm rąk i przy dużej wilgotności powietrza — jak dzisiaj — odczuwała także przyćmiony, lecz bezlitosny ból ramion. Robiła wszystkie ćwiczenia zalecane przez lekarza, odbywała codziennie dwukilometrowy poranny spacer, a jednak miała coraz większe trudności z utrzymaniem formy. Odkąd pamięta, zawsze kochała książki i mogła czytać przez cały ranek, całe popołudnie i większą część wieczoru, nie czując znużenia. Ostatnio jednakże, zwykle już po paru godzinach, czuła w oczach piasek i pieczenie. Buntowała się przeciwko wszystkim swoim dolegliwościom, walczyła z nimi, chociaż wiedziała, że w tej walce skazana jest na klęskę.

W tamto środowe popołudnie postanowiła, że czas na zawieszenie broni — należy znaleźć chwilę na krótki relaks i odpoczynek. Zasnęła w dwie minuty po ułożeniu się na sofie.

Grace nieczęsto miewała sny, a jeszcze rzadziej nawiedzały ją złe sny. Ale w środę po południu jej drzemkę zakłócały koszmary. Parę razy budziła się na wpół przytomna i słyszała własny przerażony oddech. Raz wynurzyła się z jakiejś ohydnej, groźnej wizji na dźwięk swego głosu wydobywającego się ze ściśniętego gardła. Zdała sobie sprawę, że rzuca się na kanapie, wijąc, od czego bolały ją ramiona. Próbowwała się obudzić, ale nie mogła; coś mrocznego i groźnego wyciągało lodowate, wilgotne ręce i wciągało ją znów do snu, w dół, w dół, cały czas w dół, w jakieś pozbawione światła miejsce, gdzie bezimienne stworzenia bełkotały, mamrotały i chichotały skrzekliwym głosem.

Godzinę później, kiedy wreszcie się obudziła i zdołała otrząsnąć z natrętnych majaków, stała pośrodku zacienionego pokoju, o kilka kroków od sofy, ale nie pamiętała, jak tam się znalazła.

Trzęsła się, zlana potem.

Muszę powiedzieć Carol Tracy.

Powiedzieć jej co?

Ostrzec ją.

Ostrzec ją przed czym?

To nadchodzi. O Boże...

Co nadchodzi?

Tak jak we śnie.

Ale co było we śnie?

I jej wspomnienie o sennym koszmarze zaczęło się roztopiać; pozostały tylko fragmenty składające się z poszczególnych, odrębnych obrazów, które parowały niczym kawałek suchego lodu. Pamiętała jedynie, że Carol była częścią tego snu i że zagrażało jej straszliwe niebezpieczeństwo. I wiedziała skądś, że nie jest to zwyczajny sen.

Gdy koszmar ustąpił, Grace doznała nieprzyjemnego uczucia, stojąc w mrocznym, zaciemnionym gabinecie. Przed drzemką zgasiła lampy. Zasunięte żaluzje przepuszczają tylko cienkie pasemka światła między drewnianymi deszczułkami. Irracjonalnie, lecz z przekonaniem czuła, że coś razem z nią wyszło ze snu, coś występnego i złego, co przeszło magiczną metamorfozę i stało się istotą materialną. To coś przycupnęło teraz w kącie, obserwowało i czekało.

Przestań!

Ale we śnie...

To tylko sen.

Na krawędziach żaluzji napięte nici nagle pojaśniały, potem pociemniały, potem znów pojaśniały, wraz z blaskiem błyskawic na zewnątrz. Zaraz potem huk pioruna zatrzęsł dachem i rozbłysły następne błyskawice; znów niewiarygodnie liczne, niebieskobiałe eksplozje, jedna po drugiej, tak że co najmniej przez pół minuty okna przypominały tryskające iskrami przewody elektryczne.

Wciąż oszołomiona snem i lekko zdezorientowana, Grace stała pośrodku nieoświetlonego pokoju, kołysząc się z boku na bok, nad słuchując piorunów i wiatru, patrząc na pulsujące błyskawice. Siła tej burzy wydawała się nierealna, więc doszła do wniosku, że wciąż śni, błędnie interpretując to, co widzi. Na zewnątrz nie mogło być chyba tak dziko.

— Grace...

Ktoś wołał ją znad najwyższej półki z książkami, tuż za jej plecami. Sądząc po niewyraźnej, nieprawidłowej wymowie, usta tego kogoś były poważnie zdeformowane.

Za mną nie ma nikogo! Nikogo.

A jednak się nie odwróciła.

Kiedy za oknami zapadła cisza, a błyskawice nie rozświetlały nieba, powietrze stało się gęstsze niż przed minutą. Oddychała z trudem. W pokoju było jeszcze ciemniej.

— Grace...

Ogarnęła ją klaustrofobia. Mroczne ściany wydawały się falować i zbliżać, zamykając ją we wnętrzu niby w trumnie.

— Grace...

Potykając się, podeszła do najbliższego okna, uderzając biodrem o biurko i niemal przewracając się o przewód lampy. Sztywnymi i nieporadnymi palcami niezdarnie manipulowała podnośnikiem żaluzji. Wreszcie odchyliła deszczułki, i szare, lecz przyjazne światło wlało się do gabinetu. Cieszyła się nim, choć raziło jej oczy. Przez szczeliny między drewniankami wyjrzała na zachmurzone niebo, opierając się niezdrowemu pragnieniu, by obejrzeć się przez ramię i przekonać, czy rzeczywiście jakiś potwór czai się z grymasem na twarzy. Wzięła dwa głębokie oddechy, jakby światło, a nie powietrze trzymało ją przy życiu.

Dom Grace stał na niewielkim pagórku przy końcu cichej ulicy, ukryty między kilkoma wielkimi sosnami i olbrzymią wierzbą płaczącą. Z okna gabinetu mogła dostrzec nabrzmiałą od deszczu Susquehannę płynącą kilka kilometrów dalej. Posępny, poważny Harrisburg, stolica stanu, stłoczony był wzdłuż jej brzegów. Chmury wisiały nisko nad miastem, ciągnąc za sobą przemoczone, utkane z mgły brody i zasłaniając górne piętra najwyższych budynków.

Gdy strząsnęła z powiek ostatnie pozostałości snu, a nerwy się uspokoiły, odwróciła się i zlustrowała pokój. Doznała ulgi i trochę się odprężyła.

Była sama.

Burza ucichła, więc znów mogła słuchać zegara na kominku. Jedynego odgłosu.

Do diabła, jesteś sama — mówiła do siebie pogardliwie. — A czego oczekiwałaś? Zielonego chochlika o ustach pełnych ostrych zębów? Lepiej uważaj, Grace Mitowski, bo skończysz w domu starców, siedząc przez cały dzień w bujanym fotelu i radośnie gawędząc z duchami, a uśmiechnięte pielęgniarki będą ocierać ci ślinę z podbródka.

Przez całe życie była aktywna umysłowo i myśl o skradającej się starości martwiła ją bardziej niż cokolwiek. Wiedziała, że wciąż jest błyskotliwa. Ale co będzie jutro, pojutrze? Doświadczenie lekarskie oraz dogłębna znajomość fachowej literatury psychiatrycznej sprawiły, iż orientowała się w aktualnych badaniach na temat starości. Wiedziała, że tylko piętnaście procent ogółu starszych ludzi dotkniętych jest tą chorobą, z czego ponad połowa przypadków mogła być wyleczona dzięki odpowiedniej diecie i ćwiczeniom. Miała świadomość, że jej własne szanse utracenia sprawności umysłowej były niewielkie, zaledwie jak jeden do osiemnastu.

Zdawała sobie sprawę, że jest przeczulona na tym punkcie, niemniej wciąż ją to gnębiło. Zrozumiała więc, że zaniepokoiła ją niecodzienna świadomość czyjejś obecności w gabinecie, jakiej doświadczyła chwilę wcześniej; czegoś wrogiego i... nadnaturalnego. Jako zatwardziała sceptyczka miała mało — jeśli w ogóle — zrozumienia dla astrologów, mediów i tym podobnych, nie mogła usprawiedliwiać nawet przelotnej wiary w wyznawane przez nich przesady. Według niej tego rodzaju przekonania świadczyły o... cóż... ograniczeniu umysłowym.

Ale dobry, słodki Boże, cóż to był za koszmar!

Nigdy przedtem nie miała snu nawet w jednej dziesiątej tak paskudnego jak ten.

Chociaż przerażające szczegóły uległy zatarciu, wciąż pamiętała jego nastrój: grozę, skręcający wewnątrzności strach.

Zadrzała.

Miała uczucie, że pot, którym zlała się przez sen, zaczął na skórze przybierać postać kropelek lodu.

Poza tym z całego koszmaru pamiętała tylko Carol, która krzyczała, wołała o pomoc.

Aż do dziś w żadnym ze snów Grace nie pojawiała się Carol. Czyżby ten wyjątek należało poczytać za przestrożę, omen? Oczywiście nie było w tym nic nadzwyczajnego, że wizja Carol znajdującej się w niebezpieczeństwie tak poruszyła Grace. Każdy psychiatra to stwierdzi, a Grace była psychiatrą, i to dobrym, chociaż już od trzech lat na emeryturze. Bardzo troszczyła się o Carol. Gdyby miała własne dziecko, nie mogłaby kochać go bardziej niż jej.

Spotkały się szesnaście lat temu, kiedy Carol była gniewną, zawziętą dziewczyną, która popadła w konflikt z prawem, a na dodatek niedawno urodziła dziecko i omal nie przypląciła tego życiem. W następstwie tego dramatycznego epizodu została osadzona w areszcie dla młodocianych za posiadanie marihuany oraz za mnóstwo innych wykroczeń. W tamtym czasie, poza prywatną praktyką psychiatryczną, Grace osiem godzin tygodniowo pracowała społecznie w domu poprawczym, w którym trzymano Carol. Dziewczyna na pierwszy rzut oka była niepoprawna, zdecydowana dać w zęby każdemu tylko za to, że się do niej uśmiechnął. Zdradzała jednak inteligencję i wrodzoną dobroć, którą mógł dostrzec każdy, kto patrzył wystarczająco przenikliwie, by przebić się przez zewnętrzną warstwę. Grace zdobyła się na bardzo wnikliwe spojrzenie i została zaintrygowana, zauroczona. Obsesyjnie wulgarny język tej dziewczyny, żywiołowy temperament oraz amoralna poza nie były niczym więcej niż mechanizmem obronnym, tarczą, za którą chroniła się przed psychicznymi nadużyciami dokonanymi przez rodziców.

Kiedy Grace stopniowo odkrywała przerażającą historię wynaturzonego życia rodzinnego Carol, nabierała przekonania, że dom poprawczy nie jest dla niej odpowiednim miejscem. Użyła swoich wpływów w sądzie, aby całkowicie pozbawić rodziców Carol praw rodzicielskich.

Potem wystarała się o powierzenie jej opieki nad nią. Obserwowała, jak dziewczyna reaguje na okazywanie uczucia i zainteresowanie, jak wyrasta z zamkniętej w sobie, egocentrycznej nastolatki na pełną ciepła i godną podziwu młodą kobietę, mającą ambicje i marzenia, charakter i wrażliwość. Branie udziału w tym ekscytującym przeobrażeniu dało Grace chyba największą życiową satysfakcję. W swoim związku z Carol żałowała jedynie roli, jaką odegrała, oddając jej dziecko do adopcji. Ale nie było innego wyjścia. Carol nie była finansowo, emocjonalnie ani psychicznie zdolna do zajęcia się niemowlęciem. Obarczona taką odpowiedzialnością nigdy nie mogłaby wydorosnąć ani się zmienić. Przez całe życie byłaby nieszczęśliwa i unieszczęśliwiłaby swoje dziecko. Niestety, nawet teraz, po szesnastu latach, Carol winiła się za tę decyzję.

Uczucie to potęgowało się szczególnie w każdą rocznicę urodzin dziecka. W te dni pogrążała się w głębokiej depresji i stawała się — co dla niej nietypowe — niekomunikatywna. Nieutulo-

ny ból, jaki odczuwała, był dowodem na głęboko zakorzenione, trwałe poczucie winy, które w sobie nosiła, mniej widoczne przez cały rok. Grace żałowała, że kiedyś nie przewidziała tej reakcji. Wolałaby żyć ze świadomością, że nie przyczyniła się do stresów Carol.

Jestem psychiatrą — myślała — i powinnam była to przewidzieć.

Może kiedy państwo Tracy adoptują dziecko, Carol odzyska spokój ducha.

Grace miała taką nadzieję. Kochała Carol jak córkę i chciała jej dobra.

Oczywiście, nie zniosłaby też myśli o utracie Carol i dlatego pojawienie się jej w sennym koszmarze było co najmniej tajemnicze.

Lepka od cuchnącego potu, Grace spojrzała w okno, szukając na szybach ciepła i światła, ale dzień był szary, chłodny, posepny i wietrzny.

Znad centrum miasta wzbija się w niebo smuga skłębionego dymu. Nie zauważyła jej minutę temu, ale musiała tam być — tyle dymu nie mogło się nagromadzić w ciągu paru sekund. Nawet z tej odległości dostrzegła lunę ognia przebijającą się przez czarne kłęby.

Zastanawiała się, czy szalejący żywioł był wynikiem gwałtownej burzy.

Spojrzała na zegarek.

Za niecałe dziesięć minut jej ulubiona rozgłośnia radiowa nada codzienny serwis informacyjny. Może podadzą lokalne wiadomości.

Poprawiła poduszki na sofie, wyszła z gabinetu i natknęła się na Arystofanesa siedzącego na końcu korytarza z ogonem podwiniętym pod przednie łapy. Uniesione wysoko głowa zdawała się mówić: Nie ma jak koty syjamskie, a ja jestem wyjątkowo przystojnym okazem tego gatunku i nie waż się o tym zapominać.

Grace wyciągnęła do niego rękę.

— Kici, kici! — zawołała.

Arystofanes się nie poruszył.

— Kici, kici. Chodź tu, Ari. Chodź, kochany.

Podniósł się i wolno przeszedł do mrocznego salonu.

— Uparty, przeklęty kocie — rozczuliła się.

Weszła do łazienki na piętrze, umyła twarz i uczesała włosy. Wykonując przyziemne czynności stopniowo zaczynała się odprężyć. Spojrzała w lustro. Oczy nabiegłe krwią opłukała paroma kroplami muriny.

Kiedy wyszła, Arystofanes znów siedział w korytarzu i patrzył na nią.

— Kici, kici — przymilała się.

Gapił się na nią bez zmruczenia oka.

— Kici, kici.

Wstał, zadął głowę i obserwował ją z zaciekawieniem błyszczącymi oczami. Kiedy zrobiła krok w jego kierunku, odwrócił się i szybko czmychnął do salonu.

— W porządku — rzuciła Grace. — W porządku, łobuzie. Idź swoją drogą. Możesz na mnie fukać. Zobaczmy, czy wieczorem znajdziesz swoje ulubione żarcie w miseczce.

W kuchni włączyła światło, potem radio.

Słuchała informacji o kryzysach ekonomicznych i zapierających dech doniesień o uprowadzonych samolotach oraz pogłosek o nadciągającej wojnie. Włożyła czysty filtr do ekspresu, napełniła pojemniczek „Kolumbijką” i dodała pół łyżki cykorii. Wiadomość o pożarze podano na końcu dziennika, i to bardzo skrótowo. Spiker poinformował, że piorun uderzył w kilka budynków w sercu miasta, z których jeden się zapalił. Obiecywał podać więcej szczegółów za pół godziny.

Przysunęła krzesło do jednego z okien i usiadła z filiżanką kawy.

Krzaki róż — czerwonych, pomarańczowych, białych, herbacianych — rosnących pod domem niemal fosforyzowały na tle popielatego deszczu.

Z poranną pocztą przyniesiono dwa pisma psychologiczne. Grace z przyjemnością otworzyła jedno z nich.

Popijając kawę, słuchając muzyki i pobieżnie zapoznając się z treścią artykułu na temat psychologii kryminalnej, usłyszała, a raczej wyczuła nieznaczące poruszenie. Odwróciła się na krześle i zobaczyła Arystofanesa.

— Co, już się nie gniewasz? — spytała.

I wtedy zdała sobie sprawę, że wyraźnie skradał się w jej kierunku, ale zatrzymała go bezpośrednia konfrontacja. Każdy mięsień jego ciała prężył się do skoku, a sierść jeżyła na grzbiecie.

— Ari? Co ci jest, głupi kocie?

Zakręcił się i wybiegł z kuchni.

ROZDZIAŁ 3

Carol siedziała w chromowanym fotelu wyłożonym czarnymi poduszkami ze skaju i wolno sączyła whisky z papierowego kubka.

Paul padł na sąsiedni fotel. On wręcz pochłaniał trunk, wspaniałego jacka danielsa black label, troskliwie dostarczonego mu przez adwokata Marvina Kwickera, mającego biuro na tym samym piętrze co Alfred O'Brian. Marvin szybko się zorientował, że Paulowi pilnie potrzeba czegoś na wzmocnienie.

— Kwicker jak likier — powiedział, nalewając bourbona Carol, co prawdopodobnie powtarzał dziesiątki razy, ubawiony swoim dowcipem. — Kwicker jak likier — powtórzył, podając podwójną porcję Paulowi.

Chociaż Paul nie należał do tęgich pijaków, każda kropla była dla niego zbawieniem. Ręce jeszcze mu drżały.

Hol recepcji, obsługującej biuro O'Briana, nie był zbyt obszerny, ale większość ludzi pracujących na tym piętrze zebrała się, aby porozmawiać o niedawnych przeżyciach, przyrzeć się miejscu, którego nie dosięgnął ogień, wyrazić podziw, że elektryczność szybko naprawiono i obejrzeć bałagan i zniszczenie we wnętrzu gabinetu O'Briana. Gwar towarzyszący rozmowom nie wpływał uspokajająco na nerwy Paula.

Mniej więcej co trzydzieści sekund płowa blondynka o piskliwym głosie powtarzała te same słowa: „Nie mogę uwierzyć, że nikt nie zginął! Nie mogę uwierzyć, że nikt nie zginął”. Za każdym razem, gdy to mówiła, bez względu na to, w którym miejscu stała, jej głos przebijał się przez zgiełk, a Paul skręcał się z bólu. „Nie mogę uwierzyć, że nikt nie zginął!”. Wyglądała na lekko rozczarowaną.

Alfred O'Brian siedział przy biurku recepcyjnym. Jego sekretarka, surowo wyglądająca kobieta z włosami zaczesanymi gładko do tyłu, usiłowała zdezynfekować pół tuzina zadrapań na twarzy szefa, ale O'Brian chyba bardziej troszczył się o stan swojego garnituru. Strzepywał brud, liście i kawałki kory, które przyczepiły się do marynarki.

Paul skończył whisky i spojrzał na Carol. Wciąż się trzęsała. Jej twarz otoczona lśniąco ciemnymi włosami była bardzo blada.

Dostrzegła troskę w jego oczach, więc wzięła go za rękę, ścisnęła i uśmiechnęła się uspokajająco. Nie było to łatwe, ponieważ jej usta wciąż drżały.

Pochylił się do niej blisko, aby mogła go usłyszeć mimo panującego zgiełku.

— Dasz radę stąd wyjść?

Kiwnęła głową.

Jakiś młody typek, stojący przy oknie, podniósł głos.

— Hej! Hej, słuchajcie wszyscy! Telewizja do nas przyjechała!

— Jeśli zobaczą nas reporterzy — odezwała się Carol — zostaniemy tu jeszcze przez godzinę albo dłużej.

Wyszli bez pożegnania z O'Brianem, ubierając się po drodze. Już na zewnątrz Paul otworzył parasol i przygarnął Carol. Szybko przemierzali śliski teraz i niebezpieczny parking wyłożony tłuczonym kamieniem. Ostrożnie obchodzili kałuże. Jak na wrzesień, wiał chłodny wiatr, który wciąż zmieniał kierunek, aż dostał się pod parasol i wyrzucił go na drugą stronę. Zimny, zacinający deszcz padał z taką siłą, że kłuł w twarz. Zanim dotarli do samochodu, włosy przylepiły się im do głów, a za kołnierzami mieli pełno wody.

Ku ich zadowoleniu, burza nie uszkodziła pontiaca, który zapalił bez protestu.

Wyjeżdżając z parkingu, Paul chciał skręcić w lewo, ale nacisnął pedał hamulca, gdy zobaczył, że najbliższą przecznicę zablokowały samochody policyjne i wozy strażackie. Pomimo ulewnego deszczu i na przekór strumieniom wody, kierowanym nań przez strażaków, kościół wciąż płonął. Czarny dym bił w szare niebo, a z wypalonych okien buchały płomienie.

Paul skręcił więc w prawo i pojechał do domu przez zalane ulice, gdzie woda wylewała się z rynsztoków, a każde zagłębienie w nawierzchni zmieniło się w zdradzieckie jezioro, które trzeba było pokonywać z najwyższą uwagą, aby uniknąć zalania silnika.

Carol zgarbiła się i przywarła do drzwi od strony pasażera. Chociaż działało ogrzewanie, wciąż było jej zimno. Paul zauważył, że szczęka zębami.

Jazda do domu trwała dziesięć minut i przez ten czas żadne z nich nie powiedziało ani słowa.

Szum sunących po mokrej jezdni opon oraz miarowe uderzenia pracujących wycieraczek zakłócały panującą ciszę, w której kryła się jakaś dziwna intensywność, jakaś aura straszliwej hamowanej energii.

Mieszkali w utrzymanym w stylu Tudorów domu, który starannie odrestaurowali. Tak jak zawsze widok kamiennych ścian, wielkich dębowych drzwi, oświetlonych latarniami okien z ołowiowego szkła i spadzistego dachu ucieszył Paula i ogarnęło go ciepłe uczucie przynależ-ności do tego miejsca. Drzwi do garażu podniosły się automatycznie i wprowadził pontiaca, stawiając go obok czerwonego volkswagena rabbita Carol.

Weszli do domu, milcząc,

Paul miał mokre włosy, nogawki spodni przywarły mu do ciała, a koszula lepiała się do pleców. Jeśli natychmiast nie przebierze się w suche ubranie, z pewnością się przeziębą. Carol widać myślała o tym samym, bo poszli prosto na górę do sypialni. Drżąc, ścigali mokre ubrania.

Gdy byli już prawie nadzy, spojrzeli na siebie. Zamknęli oczy.

Milczeli. Nie potrzebowali słów.

Wziął ją w ramiona i pocałował, z początku lekko, czule. Miała ciepłe i delikatne usta, leciutko smakujące whisky.

Przywarła do niego, objęła go mocniej, wbiła końce palców w jego plecy. Przycisnęła usta do jego ust, dotknęła zębami jego warg, wsunęła głęboko język i nagle ich pocałunki stały się gorące, namiętne.

Coś jakby w nim pękło i w niej także, bo ich pożądanie stało się niemal zwierzęce. Reagowali na siebie jak głodne, oszalałe istoty; pośpiesznie zrzucali resztę ubrania, dotykali się, obejmowali, szarpali. Kąsała jego ramię. On chwycił ją za pośladki i gniótł je z nietypową dla siebie gwałtownością, ale Carol nie krzywiła się z bólu, nie

próbowała się wyswobodzić, przeciwnie, przywarta do niego jeszcze mocniej, pocierała piersiami o jego pierś, a biodra dotykały jego bioder. Ciche pojękiwania nie były odgłosami bólu — wyrażały jej pragnienie i potrzeby. W łóżku Paul poczuł niesamowitą energię i zdumiał się własną siłą. Był nienasycony, tak jak i ona.

Wchodził w nią, falowali, gięli się i prężyli w idealnej harmonii, jak gdyby tworząc jeden organizm, poruszany tymi samymi bodźcami. Pozbyli się wszelkich hamulców. Wydawali z siebie zwierzęce dźwięki: sapali, jęczeli, chrząkali z rozkoszy, krzyczeli z podniecenia.

Wyginając w łuk swoje szczupłe, piękne ciało i energicznie kręcąc głową na poduszce, Carol szeptała: „Tak, tak!”. To nie orgazmowi mówiła „tak”, bo kilka miała już za sobą, obwieszczając je płytkim oddechem i cichym kwileniem. Mówiła tak życiu, że nie jest zwęgloną bryłą mięsa, że oboje przeżyli burzę i uniknęli przywalenia przez przekłete rozłupane gałęzie powalonego klonu. Ich niehamowane, dzikie, namiętne połączenie to policzek wymierzony śmierci, nie całkiem racjonalne, lecz dające zadowolenie zaprzeczenie istnieniu ponurego upiora. Paul powtórzył za nią, jakby intonował zaklęcie: „Tak, tak, tak”, gdy po raz drugi wytrysnął w jej wnętrzu i wydawało się, że to strach przed śmiercią wypłynął z niego wraz z nasieniem.

Po wszystkim leżeli na plecach, obok siebie, na skotłowanym łóżku. Długą chwilę słuchali deszczu bębniącego o dach i grzmiących jeszcze piorunów.

Carol wyciągnęła się, zamknęła oczy, całkiem rozluźniona. Paul wodził po niej wzrokiem i, jak to się działo nieskończenie wiele razy podczas ostatnich czterech lat, zastanawiał się, dlaczego zgodziła się wyjść za niego. Była piękna. On nie. Ktoś układający słownik nie mógłby zrobić nic lepszego, niż zamieścić jego fotografię pod definicją słowa „przeciętny”, „niewyróżniający się”. Wygłosił raz żartem podobną opinię o swoim wyglądzie, a Carol się zirytowała.

Ale on tylko stwierdził fakt, a tak naprawdę nie przejmował się tym, że nie jest Burtem Reynoldsem, dopóki Carol nie robiło to różnicy. Według niej to właśnie ona była przeciętna, no może najwyżej ładna, z odrobiną zabawnego wdzięku. Miała ciemne włosy — teraz splecione i zmierzwione przez deszcz i pot — gęste, lśniąco, prześliczne. Skórę bez skazy. Kości policzkowe wyrzeźbione tak misternie, że trudno uwierzyć, iż dokonała tego niezgrabna ręka natury.

Carol była typem kobiety, jakie widuje się u boku wysokiego, opalonego na brąz adonisa, a nie mężczyzny w rodzaju Paula Tracy. Ale była z nim i czuł się z tego powodu szczęśliwy. Nigdy nie przestawał się dziwić, że wykazywali zgodność pod każdym względem: umysłowym, emocjonalnym i fizycznym.

Teraz, kiedy deszcz z nową siłą zaczął walić w dach, Carol wyczuła, że Paul gapi się na nią, i otworzyła oczy. Oczy tak brązowe, że z odległości nie większej niż kilkanaście centymetrów wyglądały jak czarne. Uśmiechnęła się.

— Kocham cię.

— Kocham cię — odparł.

— Myślałam, że nie żyjesz.

— Przeżyłem.

— Gdy ucichły pioruny, wołałam cię, ale nie odpowiadałeś.

— Byłem zajęty rozmową z Chicago. — Wyszczrzył zęby.

— A poważnie?

— Zgoda. Z San Francisco.

— Byłam przerażona.

— Zupełnie niepotrzebnie — uspokajał ją. — Tak na wypadek gdybyś zapomniała, O'Brian upadł na mnie. Nie wygląda na dużego, ale jest mocny jak skała. Myślę, że rozwija sobie mięśnie przez strzepywanie nitek z garniturów oraz czyszczenie butów przez dziewięć godzin dziennie.

— Naprawdę dzielnie się spisałeś.

— Kochając się z tobą? Nic w tym dziwnego.

Żartobliwie poklepała go po twarzy.

— Wiesz, co mam na myśli. Ocaliłeś życie O'Brianowi.

— Neeee.

— Tak, ocaliłeś. On też tak uważa.

— Na litość boską, przecież nie zasłoniłem go przed drzewem własnym ciałem! Po prostu odciągnąłem na bok. Każdy zrobiłby to samo.

Potrząsnęła głową.

— Nie masz racji. Nie każdy myśli tak szybko jak ty.

— Szybkomyśliciel, co? Tak. Do tego się przyznaję. Lecz żaden ze mnie bohater. Nie pozwolę ci przypinać mi takiej etykiety, bo nie chcąc cię zawieść, będę musiał zawsze grać taką rolę. Wyobrażasz sobie, jakim piekłem stałoby się życie Supermana, gdyby poślubił Lois Lane?

Miała takie wygórowane oczekiwania!

— W każdym razie — podsumowała Carol — nawet jeśli się do tego nie przyznajesz, O'Brian wie, że ocaliłeś mu życie, a to ważna sprawa.

— Naprawdę?

— No cóż byłam prawie pewna, że agencja adopcyjna zaaprobuje nas. Teraz nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości.

— Zawsze istnieje jakieś prawdopodobieństwo, że...

— Nie — przerwała mu. — O'Brian nie zawiedzie cię po tym, jak ocaliłeś mu życie. Niemożliwe. Owinie sobie komisję rekomendacyjną wokół małego palca.

Paul zmrużył oczy, potem zaczął się uśmiechać.

— Niech mnie diabli, nie pomyślałem o tym.

— A zatem jesteś bohaterem, tato.

— Hm, może i jestem, mamo.

— Chyba wolę mamusiu.

— A ja wolę tatusiu.

— A co sądzisz o papciu?

— Papcio brzmi jak dźwięk wydawany przez korek od szampana.

— Sugerujesz, że trzeba to uczcić? — spytała.

— Myślę, że powinniśmy włożyć szlafroki, wymknąć się do kuchni i upitrasić wczesną kolacyjkę. Oczywiście, jeśli jesteś głodna.

— Umieram z głodu.

— Możesz zrobić sałatkę z grzybów — powiedział. — A ja szybko przyrządzę moje ulubione danie, fettuccine Alfredo. Mamy butelkę czy dwie mumm's extra dry, które zostawiliśmy na specjalne okazje. Rozlejemy, nałożymy sobie na talerze kopiaste porcje fettuccine Alfredo, grzybów i zjemy w łóżku.

— Oglądając równocześnie wiadomości telewizyjne.

— Potem będziemy czytać thrillery i sączyć szampana, aż oczy same nam się zamkną.

— Brzmi to cudownie, takie błogie lenistwo.

Zwykle wieczorami Paul przez dwie godziny poprawiał swoją powieść, cyzelując każde słowo. Do wyjątkowych należały też noce, kiedy Carol nie miała jakiejś papierkowej roboty.

— Musimy się nauczyć odpoczywać — rzekł Paul. — Będziemy musieli spędzać dużo czasu z dzieckiem. To dla niego niezbędne.

— Albo dla niej.

— Albo dla nich.

Oczy jej zaświeciły.

— Sądzisz, że pozwolą nam adoptować więcej niż jedno?

— Oczywiście, że tak, jeśli udowodnimy, że dajemy sobie radę z pierwszym. A tak właściwie — naigrawał się z siebie — czyż nie jestem bohaterem, który ocalił życie poczciwemu staremu Ałowi O'Brianowi?

W drodze do kuchni, w połowie schodów, Carol zatrzymała się, odwróciła i objęła go.

— Naprawdę będziemy mieć rodzinę.

— Na to wygląda.

— Och, Paul, nie pamiętam już, kiedy byłam taka szczęśliwa. Powiedz, że to uczucie będzie trwało wiecznie.

Przytulił ją; bardzo lubił trzymać ją w ramionach. Gdy się już w coś takiego zabrnę, uczucie może być nawet lepsze niż seks — bycie potrzebnym i kochanym to lepsze niż uprawianie miłości.

— Powiedz, że wszystko pójdzie dobrze — prosiła.

— Wszystko pójdzie dobrze, a twój nastrój będzie trwał wiecznie, i cieszę się, że jesteś taka szczęśliwa.

Pocałowała go w podbródek i kąciki ust, a on ucałował jej nos.

— Czy możemy przejść wreszcie do fettuccine, zanim zacznę żuć własny język?

— I to mówi romantyk.

— Nawet romantycy odczuwają głód.

Kiedy zeszli ze schodów, przestraszył ich niespodziewany hałas. Jakieś powtarzające się, lecz nierytmiczne walenie: *Łup, łup, łup-łup-łup, łup-łup...*

— A cóż to, do diabła? — spytała Carol.

— Dochodzi z zewnątrz... jakby sponad nas.

Stali na ostatnim schodku, patrząc w górę, za siebie, na drugie piętro.

Łup, łup-łup, łup, łup...

— Cholera — powiedział Paul. — Założę się, że wiatr obluzował jedną z okiennic. — Nasłuchiwali przez chwilę, potem westchnął. — Muszę wyjść i ją naprawić.

— Teraz? W deszczu?

— Jeśli tego nie zrobię, wiatr może ją całkiem urwać. Co gorsza, może tak wisieć i trzaskać przez całą noc. Nie zmrużymy oka, my i połowa ludzi w sąsiedztwie.

Zmarszczyła brwi.

— Ale pioruny... Paul, po tym wszystkim, co się wydarzyło, nie powinieneś ryzykować wspinalczki po drabinie w środku burzy.

Jemu też nie podobał się ten pomysł.

— Nie chcę, żebyś wychodził, jeśli...

Walenie ustało.

Czekali.

Wiatr. Bębnienie deszczu. Gałęzie drzew uderzające o ściany domu.

— Za późno. Jeśli to okiennica, już się urwała — powiedział Paul.

— Nie słyszałam, żeby upadła.

— Nie musiała zrobić wiele hałasu, jeśli upadła na trawę lub krzaki.

— A więc nie musisz wychodzić na deszcz — stwierdziła, idąc przez hol do przedpokoju prowadzącego do kuchni.

Ruszył za nią.

— Tak, czeka mnie poważna naprawa.

Weszli do kuchni, a ich kroki rozbrzmiewały pustym echem na podłodze z kamiennych płytek.

— Nie musisz się tym martwić aż do jutra lub pojutrze. Teraz masz się martwić tylko o sos do fettuccine. Nie pozwól mu zakrzepnąć — odezwała się.

Zdejmując miedziany rondel z wieszaka, udawał, że jest wielce urażony jej uwagą...

— Czy kiedykolwiek mi się to przytrafiło?

— Wydaje mi się, że ostatnim razem...

— Nigdy!

— Owszem — drażniła go. — Owszem, czegoś takiego jeszcze nie jadłam. — Wyjęła grzyby z plastikowej torby. — Jest mi ogromnie przykro, że ci to mówię, ale ostatnim razem, kiedy robiłeś fettuccine Alfredo, sos był tak skawalony jak materace w najparszywszym motelu.

— Cóż za podłe oskarżenie! A odkąd to jesteś takim znawcą parszywych moteli? Prowadzisz podwójne życie, o którym nie wiem?

Przygotowywali kolację, gawędząc o tym i owym, przekomarzając się, starając się wzajemnie rozbawić i co jakiś czas wybuchając śmiechem. Paul miał uczucie, jakby świat się skurczył i był zamieszkały tylko przez dwoje ludzi. Wszechświat to ta ciepła, przyjazna kuchnia.

Błysnęła błyskawica i miły nastrój prysnął. Nie była tak oślepiająca jak te kilka godzin wcześniej, niemniej Paul przerwał w pół zdania. Podążył spojrzeniem za rozświetlonym zygzakiem i utkwiał je w tym, co było za oknem. Miał wrażenie, że

drzewa wiją się, błyszczą i falują w migającym świetle burzy, a ich obraz, zamazany przez deszcz, był jak odbicie na powierzchni jeziora.

Nagle jakiś inny ruch przyciągnął jego wzrok, chociaż nie był pewien jego źródła. Popołudnie, szare i mroczne, stopniowo przechodziło we wczesną noc. Unosiła się lekka mgła. Wszędzie kładły się cienie. Słabe światło dnia było złudne, mętne. Raczej zniekształcało, niż oświetlało przedmioty. W tym pogrążonym w półmroku pejzażu coś wyskoczyło zza grubego pnia dębu, przecięło obszar nagiej trawy i szybko zniknęło za krzakiem bzu.

— Paul? Coś nie tak? — spytała Carol.

— Ktoś jest na trawniku.

— W taki deszcz? Kto?

— Nie wiem.

Stała obok niego przy oknie.

— Nikogo nie widzę.

— Ktoś przebiegł od dębu do krzaka bzu. Był skulony i poruszał się dość szybko.

— Jak wyglądał?

— Nie potrafię powiedzieć. Nie jestem nawet pewien, czy to mężczyzna. Równie dobrze mogła to być kobieta.

— Może pies.

— Za duży.

— Może to Jasper.

Jasper był dogiem należącym do Hanrahanów, mieszkających trzy domy dalej. Duże, przyjazne zwierzę o przenikliwych oczach i zadziwiającej tolerancji dla małych dzieci lubiących ciasteczka.

— Nie wypuściliby Jaspera na taką pogodę — rzekł Paul.

Znowu błyskawica, nagły poryw wiatru poruszył gałęziami, a deszcz zaczął padać z większą mocą — i w tej scenerii coś wybiegło zza krzaka bzu.

— Tam. — Paul pokazał.

Intruz, pochylony nisko, zasłonięty przez deszcz i mgłę, wyglądał jak cień pośród cieni.

Pobiegł susami w stronę ceglanego muru wytyczającego granicę posiadłości, przez chwilę skrył się w gęstej mgle, aby pojawić się na nowo jako bezkształtna czarna postać. Potem zmienił kierunek i posuwając się równoległe z murem, skierował się

do bramy w północnozachodnim rogu trawnika. Kiedy ciemniejące niebo cisnęło następną błyskawicę, intruz umknął przez otwartą bramę na ulicę i zniknął.

— To tylko pies — odezwała się Carol.

Paul zmarszczył brwi.

— Myślałem, że widzę...

— Co?

— Twarz. Kobiety oglądającej się za siebie... Przez sekundę, kiedy mijała bramę.

— Nie — odparła Carol. — To był Jasper.

— Widziałaś go?

— Tak.

— Wyraźnie?

— Cóż, niewyraźnie, ale wystarczająco, by stwierdzić, że to pies o rozmiarach małego kucyka, a Jasper jest jedynym psiskiem w okolicy pasującym do tego opisu.

— A więc Jasper jest sprytniejszy, niż myśleliśmy.

Carol zmrużyła oczy.

— Co masz na myśli?

— Hm, musiał nacisnąć klamkę bramy, żeby dostać się na podwórko. Nigdy nie udawała mu się ta sztuczka.

— Och, oczywiście, że nie. Pewnie zostawiliśmy ją otwartą.

Paul potrząsnął głową.

— Jestem pewny, że była zamknięta, kiedy tamtędy przejeżdżaliśmy.

— Może tylko przymknięta. Wiatr ją otworzył i wystarczyło, że Jasper pchnął.

Paul gapił się na deszcz zacinający w szyby.

— Chyba masz rację — powiedział, chociaż nie był do końca przekonany. — Lepiej pójde zamknąć bramę.

— Nie, nie — szybko odrzekła Carol. — Nie podczas burzy.

— Zastanów się, ślicznotko. Nie zamierzam wskakiwać do łóżka i naciągać koca na głowę za każdym razem, gdy usłyszę choćby najmniejszy piorun, tylko dlatego że dziś po południu przytrafiło nam się coś groźnego.

— Wcale tego nie oczekuję — odparła. — Zanim jednak zaczniesz tańczyć w deszczu jak Gene Kelly, musisz dać mi trochę czasu na ochłonięcie po dzisiejszych przeżyciach. To wszystko jest jeszcze zbyt świeże, żebym obojętnie patrzyła, jak zasuwasz po trawniku w świetle błyskawic.

— Wystarczy dosłownie chwila i...

— Słuchaj, czy chcesz się wymigać od robienia fettuccine? — spytała, podnosząc głowę i spoglądając na niego podejrzliwie.

— Z pewnością nie. Skończę je przyrządzać, gdy zamknę bramę.

— Wiem, na co liczysz, mój panie — powiedziała, udając złośliwość. — Masz nadzieję, że trafi cię piorun, bo nie zniosłbyś upokorzenia z powodu skawalonego sosu.

— To potwarz — odrzekł, podejmując znów grę. — Robię najbardziej aksamitne fettuccine Alfredo w tej części Rzymu. Nie umywają się do niego uda Sophii Loren.

— Wiem jedno. Kiedy ostatni raz je robiłeś, wyszło coś tak skawalonego jak miska owsianki.

— Powiedziałaś przecież, że jak materac w parszywym motelu.

Dumnie podniosła głowę.

— Jak dobrze wiesz, nie lubię się powtarzać.

— Ano wiem.

— Więc robisz to fettuccine czy tchórzysz i dajesz się zabić przez błyskawicę?

— Odszczekasz to jeszcze — zagroził.

Szczerząc zęby, odparła:

— Wolę to, niż jeść skawalone fettuccine.

Zaśmiał się.

— W porządku, w porządku. Wygrałaś. Mogę zamknąć bramę rano.

Wrócił do gotowania, a ona do krojenia pietruszki i cebulki na przybranie sałatki.

Przyznał, że prawdopodobnie miała rację. To musiał być Jasper goniący kota. Lekko skrzywiona, blada jak księżyc twarz kobiety, z oczami odbijającymi błyskawicę i ustami skrzywionymi w grymasie nienawiści czy wściekłości, którą zobaczył Paul, musiała być wytworem jego wyobraźni. A jednak czuł się nieswojo. Nie mógł powrócić do tego ciepłego, miłego uczucia, które go przepęniało, zanim wyrzął przez okno.

Grace Mitowski napełniła żółtą plastikową miseczkę pokarmem dla kotów i postawiła w kącie przy drzwiach do kuchni.

— Kici, kici.

Arystofanes nie zareagował.

Kuchnia nie należała do ulubionych miejsc Arystofanesa, bo jedynie tam nie pozwalano mu włączyć, gdzie chciał. Nie był jednak specjalnym amatorem wspinaczki. Brakowało mu ducha poszukiwacza przygód. W przeciwieństwie do innych kotów zwykle przebywał na podłodze, ale tak jak one opierał się dyscyplinie i gardził wszelkimi przepisami. Jednak nigdy nie zawiódł, gdy przychodziła pora posiłku. Często czekał niecierpliwie przy swojej miseczce, zanim Grace ją napełniła.

Podniosła głos.

— Kici, kici.

Arystofanes nie przybiegł z lekko podniesionym ogonem jak zazwyczaj.

— Ari, Ari, Ari! Podano do stołu, ty głupi kocie.

Odstawiła pudełko z kocią żywnością i umyła ręce nad zlewem.

Łup, łup-łup!

Odgłos walenia — jeden potężny stuk, a po nim dwa równie silne w niewielkim odstępie czasu — tak nagle i głośne, że zaskoczona podskoczyła, omal nie upuszczając ręcznika. Odgłos dochodził gdzieś od frontu domu. Przez chwilę czekała, ale słyszała jedynie wiatr i padający deszcz, a potem...

Łup! Łup!

Powiesiła ręcznik na wieszaku i wyszła na korytarz.

Łup-łup-łup!

Z wahaniem podeszła do drzwi frontowych i włączyła światło na ganku. Spojrzała przez wizjer, a powiększające soczewki zapewniały szerokie pole widzenia. Nie dostrzegła nikogo; ganek był pusty.

ŁUP!

Huk był tak wielki, że Grace pomyślała, iż drzwi zostały wyrwane z zawiasów. Ale tkwiły mocno na swoim miejscu, chociaż wibrowały we framudze, a zasuwa zgrzytnęła.

ŁUP! ŁUP! ŁUP!

— Przestańcie! — wrzasnęła. — Kim jesteście? Kto tam?

Walenie ustało i wydawało się jej, że słyszy śmiech jakiegoś wyrostka.

Jeszcze przez chwilę była o krok od wezwania policji albo pójścia po pistolet, który trzymała w nocnej szafce, ale kiedy usłyszała ten śmiech, zmieniła zdanie. Z

pewnością sama sobie poradzi z kilkoma dziećmi. Nie była aż tak stara, słaba czy krucha.

Ostrożnie odsłoniła firankę z oszklonej części drzwi. Napięta, gotowa szybko odskoczyć, gdyby ktoś uczynił jakiś groźny gest za szybą. Wyrzała. Na ganku nie było nikogo.

Znów usłyszała śmiech. Wysoki, perlisty, dziewczęcy.

Spuściła firankę, otworzyła zamek i wyszła na próg.

Nocny wiatr był ostry i mokry. Deszcz zaciął w dachówki ganku.

Teren bezpośrednio przylegający do domu dawał co najmniej setkę możliwości ukrycia się.

Zjeżone krzaki rosnące wokół balustrady szumiały na wietrze, a żółtawa poświata płynąca od żarówki zawieszanej pod stropem oświetlała niewiele więcej niż środek ganku. Wśród wielu nocnych cieni psotnicy pozostawali niewidzialni.

Grace czekała, nasłuchiwała.

Gdzieś w oddali uderzył piorun, ale nie powtórzył się śmiech ani chichot.

Może to nie dzieciaki?

A więc kto?

Pokazują ich co jakiś czas w telewizyjnych wiadomościach. Szaleńcy, którzy dla zabawy strzelają do ludzi, duszą ich albo dźgają nożem. Ma się wrażenie, że są już wszędzie — nieprzystosowani do życia psychopaci.

To nie był śmiech osoby dorosłej. To sprawka dzieciaków.

Lepiej jednak wejść do środka i zamknąć drzwi na zamek.

Cholera, przestań rozumować jak przerażona starsza pani!

Jednak to dziwne. Ze wszystkimi dziećmi z sąsiedztwa miała świetne układy. Co prawda mogły to być dzieci z dalszych ulic, a tych już nie znała.

Odwróciła się i oglądała zewnętrzną stronę drzwi frontowych. Nie znalazła żadnego śladu po uderzeniach, które słyszała przed chwilą.

Była zdenerwowana, ponieważ wyraźnie słyszała rozłupywanie drewna. Czegóż zatem użyły te dzieciaki, co robiło wiele hałasu, a nie zostawiało śladów?

Jeszcze raz badawczo rozejrzała się po podwórku. Nic się nie poruszało oprócz trącanego wiatrem listowia.

Pragnęła udowodnić tym młodym żartownisiom, że nie jest przerażoną starszą panią, którą łatwo zbić z tropu. Powietrze było jednak wilgotne i chłodne, więc z obawy przed przeziębieniem weszła do środka i zamknęła drzwi.

Z ręką na klamce oczekiwała ponownego ataku, aby złapać sprawców na gorącym uczynku, zanim zdążą uciec i ukryć się.

Minęły dwie minuty. Trzy. Pięć.

Panowała cisza. To dziwne. Wiedziała, że tego rodzaju psoty miały na celu nie straszenie, lecz dręczenie.

Widocznie prowokująca poza, jaką przybrała, stojąc w drzwiach, odebrała im odwagę. Bardzo możliwe, że znaleźli już inną ofiarę, która dostarczyła im większych wrażeń.

Przekręciła zamek.

Cóż to za rodzice, którzy pozwalają dzieciom na przebywanie na dworze podczas burzy z piorunami?

Potrząsnęła głową nad takim brakiem odpowiedzialności. Szła przez korytarz, ciągle czujna i przygotowana na ponowną prowokację. Ale nic się już nie działo.

Planowała lekką, pożywną kolację złożoną z warzyw gotowanych na parze, posypanych cheddarem, do tego kromka lub dwie chleba kukurydzianego domowego wypieku. Przedtem postanowiła jednak obejrzeć dziennik ABC, jakkolwiek zdawała sobie sprawę, że wiadomości będą tak przygnębiające, że może stracić apetyt.

Weszła do gabinetu i stanęła jak wryta. Na siedzeniu wielkiego fotela zastała stos piór, strzępy pokrycia, kolorowe splątane nici, które kiedyś tworzyły wyhaftowany wzór, a teraz leżały jak jasna, abstrakcyjna plątanina. Parę lat temu Carol Tracy podarowała jej komplet trzech niewielkich, wyjątkowo pięknych, ręcznie wyszywanych poduszek. I oto jedna z nich została pazurami rozerwana na strzępy i pozostawiona na fotelu.

Arystofanes.

Nie przytrafiło mu się nic podobnego od czasu, kiedy był mały. Taki akt zniszczenia zupełnie nie pasował do jego charakteru, lecz tylko on mógł być sprawcą. Doprawdy, nie mogła brać pod uwagę innego podejrzanego.

— Ari! Dlaczego się chowasz? Syjamski ścichapek!

Poszła do kuchni.

Arystofanes stał przy żółtej miseczce, jedząc swój miaumix. Podniósł wzrok, kiedy weszła.

— Ty chodzący futrzany łobuzie! Co ci dziś nadepnęło na ogon?

Arystofanes zmrużył oczy, potarł łapą pyszczek i wrócił do kolacji z wyniosłą kocią obojętnością, ku irytacji i zakłopotaniu Grace.

Tej nocy, leżąc w ciemnej sypialni, Carol Tracy wpatrywała się w sufit i słuchała cichego, spokojnego oddechu męża. Zasnął przed paroma minutami.

Było cicho i spokojnie. Deszcz przestał padać, a pioruny nie rozświetlały już nieba. Od czasu do czasu wiatr poruszał obłuzowanymi dachówkami i wzdychał za oknami.

Carol kołysała się przyjemnie na krawędzi snu. Kręciło jej się trochę w głowie od szampana, który sączyła wolno przez cały wieczór, i miała uczucie, jakby pływała w ciepłej wodzie.

Zaczęła marzyć o dziecku, które zaadoptują. Próbowała stworzyć jego obraz. Galeria słodkich, małych twarzących wypełniła jej wyobraźnię. Gdyby to było niemowlę, sami nadaliby mu imię: Jason — chłopcu, Julia — dziewczynce. Carol balansowała na cienkiej linii między świadomością a snem, powtarzając w myślach te dwa imiona: Jason, Julia, Jason, Julia, Jason...

Spadając z krawędzi w studnię snu, miała nieprzyjemne, niechciane uczucie, któremu tak usilnie opierała się przez cały dzień: Ktoś próbuje nas powstrzymać przed adoptowaniem dziecka.

Potem znalazła się w dziwnym miejscu, gdzie nie docierało zbyt wiele światła, coś syczało i ponuro mruczało, a purpurowobursztynowe cienie oblekały się w ciało i napierały na nią z groźnymi zamiarami. W tym nieznanym miejscu koszmar narastał z szaleńczym, szarpiącym nerwy rytmem pianoli.

Z całkowitej ciemności wbiegła do wielkiego domu, przechodziła przez kolejne pokoje, przeciskała się między meblami, przewróciła stojącą lampę, uderzyła biodrem o ostry róg kredensu, potknęła się o brzeg orientalnego dywanu i omal nie upadła. Pod łukowym sklepieniem zanurkowała do długiego korytarza, odwróciła się i spojrzała na pokój, z którego przyszła, ale już go tam nie było. Za nią panowała całkowita, bezkształtna ciemność. Ciemność... i jakieś migotanie. Jakiś błysk. Iskierka. Srebrzysty, poruszający się przedmiot. Jakaś rzecz huśtająca się od jednego punktu do drugiego, znikająca w ciemności i pojawiająca sekundę później, niczym wahadło, niewidziane na tyle długo, by je rozpoznać. Chociaż nie widziała dokładnie, czym jest srebrzysta rzecz, jednak miała uczucie, że musi przed nią uciekać, bo inaczej zginie. Przebiegła korytarz, dopadła schodów, wspięła się szybko na drugie piętro. Spojrzała za siebie, w dół, ale schodów już nie było. Tylko atramentowa jama. I krótkie błyski czegoś huśtającego się tam i z powrotem... znów... znów... jak tykający metronom. Wpadła do sypialni, zatrzasnęła drzwi, chwyciła krzesło, by zablokować nim klamkę — i stwierdziła, że w czasie gdy była odwrócona, drzwi zniknęły, tak jak ściana, w której je zamocowano. Został tylko mrok. I srebrzysty błysk.

Teraz będący bardzo blisko. Coraz bliżej. Krzyknęła, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk, a tajemniczo migający przedmiot zatoczył łuk nad jej głową i...

(Łup!).

To coś więcej niż tylko sen — pomyślała zrozpaczona. — O wiele więcej. To wspomnienie, prorocstwo, ostrzeżenie. To...

(Łup!).

Biegła przez inny dom, zupełnie niepodobny do tego pierwszego. Mniejszy, skromniej umeblowany, nie wiedziała, gdzie się znajduje, a zarazem miała uczucie, że już kiedyś tu była.

Pośpieszyła do kuchni. Dwie zakrwawione odcięte głowy leżały na stole. Jedna należała do mężczyzny, druga — do kobiety. Poznała ich, wiedziała, że dobrze ich zna, ale nie mogła przypomnieć sobie imion. Czworo martwych oczu, szeroko otwartych, lecz niewidzących; dwoje rozdziawionych ust; spuchnięte języki wystające spomiędzy fioletowych warg. Kiedy Carol stała sparaliżowana tym przerażającym widokiem, martwe oczy poruszyły się w oczodołach i popatrzyły na nią. Zimne wargi wykrzywiły się w lodowatym uśmiechu. Carol odwróciła się, by uciec, lecz za sobą zastała pustkę i błysk poruszającego się światła i wtedy...

(Łup!).

Biegła wśród mgły w czerwonym świetle późnego popołudnia. Wokół rosła trawa wysoka do kolan, a przed nią wyłoniły się drzewa. Gdy spojrzała przez ramię, mgły już nie było. Tylko ciemność, jak przedtem. I rytmicznie huśtająca się, błyskająca, wciąż przybliżająca się rzecz, której nie potrafiła nazwać. Sapiąc, z walącym sercem, biegła szybciej, aż dotarła do drzew i znów się obejrzała; zobaczyła, że nie biegła wystarczająco szybko, by uciec, wrzasnęła i...

(Łup!)

Przez długi czas koszmar przenosił się z jednej sennej scenerii do drugiej, z pierwszego domu do mgły, z drugiego domu do mgły, znów do pierwszego domu, aż wreszcie obudziła się z uwiecznionym w gardle krzykiem. Usiadła wyprostowana, drżała. Czuła zimno i spływała potem.

Przerażający dźwięk z koszmarnego snu odbijał się echem w jej psychice: *tup, tup, tup-tup, tup*.

Zdała sobie sprawę że jej podświadomość zapożyczyła ten dźwięk z rzeczywistości — obluzowanej przez wiatr okiennicy, która ich wcześniej przestraszyła. Stopniowo odgłos łomotania zanikał, zlewając się z biciem jej serca.

Odrzuciła kołdrę i zwiesiła z łóżka bose stopy. Skuliwszy się, siedziała na skraju materaca.

Nadszedł świt. Szare światło wdzierało się przez zasłony; było zbyt ciemno, by rozróżniać szczegóły mebli, lecz na tyle jasno, by widzieć zarysy wszystkich rzeczy, tak że pokój wydawał się jakimś obcym miejscem.

Gdy spała, powróciła burza i deszcz uderzał o dach, bulgotał w rynnach i rynsztokach. Cichy piorun zadudnił jak odległa kanonada.

Paul wciąż spał, lekko pochrapując.

Carol wiedziała, że już nie uśnie. Czy to się jej podobało czy nie, czy była wypoczęta czy nie, postanowiła wstać.

Nie włączając światła, weszła do łazienki. W bladej poświacie świtu ściągnęła mokry od potu podkoszulek i majteczki. Gdy namydlała się pod prysznicem, pomyślała o koszmarnym, zdecydowanie najbardziej sugestywnym śnie, jaki kiedykolwiek miała.

Dziwny, denerwujący dźwięk — łup, łup — uznała za przerażające wspomnienie, którego nie mogła się pozbyć. To nie był zwykły odgłos walenia; pobrzmiwało w nim jakieś dziwaczne echo, twardość, ostrość, której nie potrafiła określić. Straszliwy dźwięk z jej snu wywołany został przez coś bardziej niepokojącego niż niezamocowana okiennica. Co więcej, miała pewność, że przy jakiejś innej okazji słyszała dokładnie ten sam dźwięk. Nie w śnie, lecz w życiu.

W innym miejscu... dawno temu...

Gdy puściła strumień gorącej wody i splukiwała mydło, próbowała sobie przypomnieć, kiedy to było. Nagle stało się to dla niej bardzo ważne. Nie wiedziała dlaczego, lecz czuła, że dopóki nie zlokalizuje źródła tego dźwięku, coś będzie jej zagrażało. Pamięć nie chciała jej jednak podpowiedzieć, jak tytułu piosenki, której melodia błąka się po głowie.

ROZDZIAŁ 4

O ósmej czterdzieści pięć, po śniadaniu, Carol wyszła do pracy, a Paul poszedł na górę do swojego gabinetu. Stworzył tu iście spartańską atmosferę, w której mógł pisać i nic nie rozpraszało jego uwagi. Dalekich od białości nagich ścian nie zdobił żaden obraz. Taniutkie biurko z elektryczną maszyną do pisania, wygodne krzesło, pojemniczek najeżony piórami i ołówkami, głęboka taca na listy, na której teraz leżało prawie dwieście stron maszynopisu zaczętej powieści, telefon, regał o trzech półkach z podręczną biblioteczką oraz stolik z ekspresem do kawy, oto całe wyposażenie pokoju.

Jak każdego ranka zaczął od przygotowania kawy. Wlał wodę do ekspresu i wcisnął guzik.

Zadzwonił telefon. Przysiadł na krawędzi biurka i podniósł słuchawkę.

— Halo?

— Paul? Tu Grace Mitowski.

— Dzień dobry, kochanie. Jak się masz?

— Cóż, stare kości nie lubią deszczowej pogody, ale jakoś się trzymam.

Paul uśmiechnął się.

— Nie żartuj, żebym nie wiem jak się starał, to i tak ci nie dorównam.

— Nonsens. Jesteś obowiązkowym pracownikiem, z kompleksem winy na tle czasu wolnego. Nawet reaktor jądrowy nie ma twojej energii.

Zaśmiał się.

— Nie baw się w psychoanalitka, Grace. Mam to na co dzień dzięki żoniepsychiatrze.

— Skoro o niej mowa...

— Przykro mi, ale jej nie zastałaś. Będziesz mogła złapać ją w gabinecie za pół godziny.

Grace zawahała się.

Gorąca kawa zaczynała kapać do dzbanka, napełniając pokój aromatem.

Wyczuwając napięcie w jej wahaniu, Paul spytał:

— Coś nie tak?

— Hm... — odchrząknęła nerwowo. — Paul, jak ona się czuje? Nie jest chora?

— Carol? O, nie. Oczywiście, że nie.

— Jesteś pewny? Mam nadzieję, że mnie dobrze rozumiesz, wiesz przecież, ile ona dla mnie znaczy. Jeśli coś jest nie tak, chciałabym wiedzieć.

— Carol czuje się świetnie, naprawdę. Tak się składa, że w zeszłym tygodniu przeszła badania lekarskie. Wymagała tego agencja adopcyjna. Oboje przeszliśmy je celująco.

Grace znów zamilkła.

Marszcząc brwi, Paul powiedział:

— Co cię tak nagle zaniepokoiło?

— Cóż... pomyślisz pewnie, że starej Gracie coś się poprzestawiało, ale miałam dwa nieprzyjemne sny, w których występowała Carol. Rzadko miewam sny, więc kiedy obudziłam się z uczuciem, że muszę ostrzec Carol...

— Przed czym ją ostrzec?

— Nie wiem. Pamiętam tylko tyle, że widziałam Carol. I ta dręcząca myśl: To nadchodzi.

Muszę ostrzec Carol, że to nadchodzi. Wiem, że to brzmi głupio. I nie pytaj mnie o szczegóły.

Nie pamiętam. Czuję jednak, że Carol jest w niebezpieczeństwie. Bóg jeden wie, że nie wierzę w żadne prorocze sny i tym podobne bzdury, a jednak dzwonię do ciebie w tej sprawie.

Kawa gotowa. Paul przechylił się, wyłączył ekspres.

— Dziwna sprawa,. Carol i ja omal nie zostaliśmy ranni podczas wczorajszej burzy.

Opowiedział jej o spustoszeniu w biurze O'Briana.

— Dobrzy Boże — odezwała się. — Zobaczyłam błyskawicę, kiedy ocknęłam się z drzemki, ale nie przyszło mi do głowy, że ty i Carol... że błyskawica, którą... którą w moim śnie... do diabła! Boję się pytać, aby nie zabrzmiało to jak jakiś głupi przesąd, a jednak: Czy było coś proroczego w moim śnie? Czy przewidziałam uderzenie pioruna?

— Jeśli nawet nie — odparł zaniepokojony Paul — stanowi to godny uwagi zbieg okoliczności.

Milczeli przez chwilę, a potem ona powiedziała:

— Słuchaj, Paul, nie przypominam sobie, żebyśmy kiedykolwiek o tym rozmawiali, ale czy ty wierzysz w prorocze sny, jasnowidzenie, rzeczy nadprzyrodzone?

— Ani tak, ani nie. Sam nie wiem.

— Ja zdecydowanie nie. Zawsze uważałam to za stek bzdur, po prostu nonsens. Ale po tym...

— Zmieniłaś zdanie.

— Powiedzmy, że nabrałam pewnych wątpliwości. A teraz bardziej niepokoję się o Carol niż przed naszą rozmową.

— Dlaczego? Powiedziałem ci przecież, że nie została nawet drażnięta.

— Raz jej się udało — zawyrokowała Grace — ale miałam dwa sny, a ten następny w kilka godzin po uderzeniu błyskawicy. Boże, czy to nie szaleństwo? Jeśli zaczniesz się wierzyć choćby w najmniejszym stopniu w te nonsensy, człowiek szybko się wciąga. Ale nic na to nie poradzę. Wciąż się o nią martwię.

— Nawet gdyby twój pierwszy sen był proroczy, drugi prawdopodobnie stanowił tylko jego powtórzenie.

— Tak sądzisz?

— Oczywiście. Jestem w stanie uwierzyć w jedno proroctwo, ale bez przesady...

— Taaak, chyba masz rację — odezwała się jakby z ulgą. — Zapewniam cię, że nie zamierzam prowadzić cotygodniowej rubryki z przepowiedniami w „National Enquirer”.

Paul zaśmiał się.

— Mimo wszystko — powiedziała — szkoda, że nie pamiętam, co działo się w obu tych koszmarach.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę i kiedy Paul odłożył słuchawkę, siedział jakiś czas ze zmarszczonymi brwiami. Mimo wszystko był pod wrażeniem snu Grace, i to w większym stopniu, niż nakazywał zdrowy rozsądek.

To nadchodzi.

Od momentu gdy Grace wymówiła te słowa, Paul czuł chłód w kościach i wnętrznościach.

To nadchodzi.

Zbieg okoliczności — mówił sobie. — Zwykły zbieg okoliczności, ot co. Zapomnij o tym.

Stopniowo zaczął dochodzić do niego wspaniały aromat gorącej kawy. Podniósł się z krawędzi biurka i napełnił kubek.

Przez minutę czy dwie stał przy oknie, sącząc kawę i gapiąc się na szare chmury pędzone przez wiatr i nieustający deszcz. Wreszcie opuścił wzrok i spojrzał na podwórze, przypominając sobie intruza, którego zobaczył poprzedniego wieczora. Błada, wykrzywiona, oświetlona błyskawicą twarz kobiety o błyszczących oczach i ustach zaciśniętych w grymasie wściekłości czy nienawiści. A może to Jasper i gra świateł.

ŁUP!

Dźwięk był tak głośny i nieoczekiwany, że zaskoczony Paul aż podskoczył. Gdyby w kubku zostało więcej kawy, rozlałby ją na dywan.

ŁUP! ŁUP!

To nie mogła być ta sama okiennica, którą słyszeli minionego wieczoru, bo hałasowałyby przez całą noc. Z tego wniosek, że trzeba będzie reperować dwie.

Jezu — pomyślał — cały dom wali mi się na głowę.

ŁUP!

Źródło tego dźwięku znajdowało się w pobliżu, jakby w tym samym pokoju.

Paul przycisnął czoło do chłodnej szyby, spojrzał w lewo, potem w prawo, usiłując dostrzec, czy para okiennic wisi na miejscu. Jeśli się nie mylił, obie tkwiły prawidłowo przymocowane.

Łup, łup-łup, łup, łup...

Hałas cichł, ale nie ustawał, przybrawszy formę powtarzających się rytmicznie uderzeń, które irytowały bardziej niż głośnie walenie przed chwilą. I teraz odgłosy dochodziły jak gdyby z innej części domu.

Chociaż zupełnie nie miał ochoty wychodzić na deszcz i zajmować się reperacją okiennicy, to jednak wiedział, że nie będzie w stanie pracować przy stałym, rozprasającym uwagę stukotaniu.

Zrezygnowany odstawił kubek na biurko i skierował się w stronę drzwi, gdy zadzwonił telefon.

Dzień zapowiada się niezwykle atrakcyjnie — pomyślał.

Idąc w stronę aparatu, zauważył, że okiennica przestała walić. Może uda się poczekać z reperacją na poprawę pogody.

Dzwonił Alfred O'Brian. Na początku rozmowa miała krępujący przebieg. Paul czuł się zakłopotany.

— Pan ocalił mi życie, naprawdę! — upierał się O'Brian.

Wielokrotnie przeproszał, że nie okazał wdzięczności wczoraj, bezpośrednio po wypadku.

— Ale byłem taki wstrząśnięty i oszołomiony, że zupełnie straciłem głowę. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Za każdym razem, gdy Paul protestował, słysząc określenia „heroiczny” i „dzielny”, O'Brian stawał się bardziej ofensywny, aż w końcu skapitulował i pozwolił temu człowiekowi oczyścić swoje sumienie, ale gdy rozmowa zeszała na inne tory, odczuł ulgę.

O'Brian miał jeszcze jeden powód, żeby zadzwonić.

— Kiedy drzewo upadło na biurko, przygniotło wiele dokumentów. Straszny bałagan. Niektóre się pogniotły i pobrudziły, inne zamoczyły. Margie, moja sekretarka, zdołała je uporządkować. Niestety, nigdzie nie możemy znaleźć podania, które państwo przynieśli. Przypuszczam, że wyfrunęło przez jedno z wybitych okien. Zanim przedstawimy państwa prośbę komisji rekomendacyjnej, musimy mieć wypełniony i podpisany formularz. Bardzo mi przykro, panie Tracy, że sprawiam panu kłopot.

— To nie pana wina — odparł Paul. — Po prostu wpadnę i wezmę nowy formularz. Wypełnimy go i podpiszemy.

— Świetnie — rzekł O'Brian. — Cieszę się, że nie ma pan żalu. Podanie musi do mnie wrócić najpóźniej jutro rano, jeśli mamy zdążyć na najbliższe posiedzenie komisji. Margie potrzebuje trzech pełnych dni, aby zweryfikować informacje zawarte w państwa podaniu, i tyle mniej więcej czasu pozostaje nam do najbliższego zebrania komisji. Jeśli nie zdążymy, następne odbędzie się dopiero za dwa tygodnie.

— Przyjadę po formularz przed południem — zapewnił Paul. — I oddam go w piątek rano.

Pożegnali się i Paul odłożył słuchawkę.

ŁUP!

Całkiem się załamał. Jednak będzie musiał naprawić okiennicę. Potem pojechać do centrum po nowy formularz. Potem wrócić do domu. I tak minie pół dnia, a on nie napisze ani słowa.

ŁUP! ŁUP!

— Cholera — powiedział.

Łup, łup-łup, łup-łup...

Z pewnością ten dzień będzie należał do pechowych. Zszedł schodami do holu, wyjął z szafy płaszcz nieprzemakalny i kalosze.

Wycieraczki wędrowały po przedniej szybie tam i z powrotem, tam i z powrotem, wydając krótki, przenikliwy pisk, który przyprawiał Carol o zgrzytanie zębami. Pochyliła się trochę do przodu nad kierownicą, aby lepiej widzieć.

Nawierzchnia ulicy z tłucznia była gładka i wyglądała jak natłuszczona. Brudna woda spływała rynsztokami i tworzyła rozlewiska wokół zatkanych studzienek.

Dziesięć minut po dziewiątej poranny szczyt dobiegał końca. Chociaż wciąż panował dość duży ruch, wszystko przebiegało sprawnie i szybko. Według Carol trochę zbyt szybko, więc trzymała się nieco z tyłu, ostrożność nie zawadzi.

Dwie ulice od jej biura ta ostrożność okazała się uzasadniona, ale i tak nie uniknęła katastrofy. Jakaś młoda blondynka wyszła spomiędzy dwóch furgonetek prosto pod koła volkswagena.

— Chryste! — zawołała Carol, wciskając pedał hamulca z taką siłą, że uniosła się z siedzenia.

Blondynka podniosła wzrok i zamarła z szeroko otwartymi oczami.

Chociaż volkswagen jechał z prędkością zaledwie czterdziestu kilometrów na godzinę, nie było nadziei, że zdąży się zatrzymać. Pisk hamulców. Opony zaparły się — ale też nieco pośliznęły — na mokrej nawierzchni.

Boże, nie!

Samochód uderzył blondynkę, którą wyrzuciło w górę, następnie kobieta spadła na maskę, a potem tył volkswagena zaczął zjeżdżać na lewo, pod koła zbliżającego się cadillaca. Ten skręcił z piskiem hamulców, a jego kierowca nacisnął klakson, jak gdyby sądził, że odpowiednio głośny dźwięk może usunąć Carol z jego drogi. Samochody prześliznęły się obok siebie bez zadrapania, a wszystko trwało dwie, może trzy sekundy. W tej samej chwili blondynka stoczyła się z maski na prawą stronę do krawężnika, volkswagen zaś całkiem zahamował, stając ukośnie; huśtał się na resorach jak konik na biegunach.

Nie brakowało żadnej z okiennic. Ani jednej. Nie obluzowały się i nie trzepotały na wietrze, jak sądził Paul.

W kaloszach i płaszczu nieprzemakalnym obszedł dom, badając każde okno na pierwszym i drugim piętrze, ale nie zauważył żadnych zniszczeń.

Zdumiony, okrążył dom jeszcze raz. Każdy krok rozbrzmiewał klapnięciem na nasiąkniętym wodą trawniku. Szukał złamanych gałęzi, które mogły zahaczać o ściany podczas silniejszego wiatru. Drzewa były nietknięte.

Trzęsąc się w chłodnym powietrzu późnej jesieni, stał tak minutę czy dwie na trawniku, nasłuchując, czy nie powtórzy się hałas, który wypełniał dom jeszcze przed chwilą. Teraz nie słyszał niczego. Tylko szumiący wiatr, szeleszczące drzewa i deszcz spadający na trawę.

Wreszcie, zmarznięty, postanowił przerwać poszukiwania, dopóki walenie się nie powtórzy i nie naprowadzi go na jakiś ślad. Tymczasem mógłby pojechać do miasta i wziąć formularz podania z agencji adopcyjnej. Przejechał dłonią po twarzy i poczuł kłujący zarost. Przypomniawszy sobie schludność Alfreda O'Briana i zdecydował, że powinien ogolić się przed wyjściem.

Wszedł z powrotem do domu, zostawił ociekający płaszcz na fotelu i zrzucił kalosze przed wejściem do kuchni. Zamknął za sobą drzwi i przez chwilę grzał się w ciepłym powietrzu.

ŁUP! ŁUP! ŁUP!

Dom zatrzęsł się, jak gdyby otrzymał trzy niezwykle silne, gwałtowne ciosy pięścią od jakiegoś olbrzyma. Miedziane naczynia wiszące na hakach rozhuśtały się i zabrzęczały, uderzając o siebie.

ŁUP!

Zegar ścienny spadłby ze ściany na podłogę, gdyby był choć trochę słabiej przymocowany.

Paul przesunął się na środek kuchni, próbując ustalić, z której strony dobiega hałas.

ŁUP! ŁUP!

Drzwi piecyka otworzyły się i opadły.

Dwa tuziny słoiczków z przyprawami, stojących na półce, zaczęły podskakiwać, pobrzękując.

Co się tu, do diabła, dzieje? — zastanawiał się zaniepokojony.

ŁUP!

Obracał się wolno, nasłuchując, szukając.

Naczynia znów się rozdzwoniły, a wielka warząchew zsunęła się z wieszadła i spadła z brzękiem na deskę do krojenia mięsa.

Paul podniósł wzrok na sufit, podążając tropem odgłosów.

ŁUP!

Spodziewał się, że zobaczy odpadający plaster tynku, ale nie dostrzegł nawet rysy. Niemniej źródło tego dźwięku znajdowało się zdecydowanie nad jego głową.

Łup-łup-łup, łup...

Walenie nieco przycichło. Przynajmniej dom przestał się trząść, a naczynia kuchenne nie stukały o siebie.

Paul ruszył w stronę schodów, zdecydowany znaleźć przyczynę hałasów.

Blondynka leżała w rynsztoku, na wznak; jedna ręka wyciągnięta wzdłuż boku, wyprostowana, dłoń uniesiona; druga przerzucona przez brzuch. Złote włosy zabłocone. Strumień wody płynął wokół niej, unosząc liście, piasek i strzępy papieru do najbliższej studzienki kanalizacyjnej, a jej długie włosy powiewały i falowały w tym brudnym nurcie.

Carol uklękła obok kobiety i zaszokowana stwierdziła, że ofiara była dziewczynką co najwyżej czternasto-, piętnastoletnią, wyjątkowo ładną, o delikatnych rysach, a teraz przerażająco bladą.

Była także nieodpowiednio ubrana jak na taką słotę. Miała białe tenisówki, džinsy i bluzkę w niebieskobiałą kratkę. Ani płaszcz, ani parasolki.

Drżącymi rękami podniosła prawą rękę dziewczynki i wzięła za nadgarstek, szukając pulsu.

Od razu wyczuła tętno, silne i miarowe.

— Bogu dzięki — powiedziała, trzęsąc się. — Bogu dzięki, Bogu dzięki.

Zaczęła szukać otwartych ran. Nie znalazła żadnych poważnych obrażeń, tylko kilka płytkich zadrapań. Jeśli, oczywiście, nie wystąpił krwotok wewnętrzny.

Kierowca cadillaca, wysoki mężczyzna z kocią bródką, obszedł od tyłu volkswagen i spojrzał na leżącą.

— Nie żyje?

— Żyje — odrzekła Carol. Delikatnie uniosła kciukiem jedną z powiek dziewczynki, potem drugą. — Tylko nieprzytomna. Prawdopodobnie lekki wstrząs. Czy ktoś wezwał karetkę?

— Nie wiem — powiedział.

— Więc niech pan wezwie. Szybko.

Pośpieszył, brnąc przez kałuże, a woda wlewała mu się do butów.

Carol nacisnęła podbródek dziewczynki; szczęką była rozluźniona i usta otworzyły się z łatwością. Nie zauważyła żadnego zatoru, krwi ani niczego, co mogło spowodować zachłyśnięcie, a język znajdował się w bezpiecznym położeniu.

Siwowłosa kobieta w przezroczystym płaszczu nieprzemakalnym, trzymająca czerwonopomarańczową parasolkę, wyłoniła się gdzieś z deszczu.

— To nie pani wina — powiedziała do Carol. — Widziałam, jak to się stało. Widziałam wszystko. Dziecko rzuciło się pod pani samochód, w ogóle nie patrząc. Nie mogła pani nic zrobić, aby temu zapobiec.

— Ja też widziałem — wtrącił się tęgi mężczyzna, który nie mieścił się pod swoim czarnym parasolem — że dziecko szło ulicą jak w transie. Bez płaszcza czy parasola. Miała błędny wzrok. Zeszła z krawężnika między te dwie furgonetki i stała tak przez kilka sekund, jakby czekała, aby rzucić się pod koła. I, na Boga, tak właśnie się stało.

— Ona żyje. — Carol nie mogła powstrzymać drżenia głosu. — Na tylnym siedzeniu w moim samochodzie jest apteczka, może mi ją pan przynieść?

— Oczywiście. — Tęgi mężczyzna pośpieszył do volkswagena.

Chociaż nic nie wskazywało, że u nieprzytomnej mogą wystąpić konwulsje, Carol chciała mieć pod ręką paczuszkę ze szpatułkami do przytrzymywania języka.

Zaczął zbierać się tłum.

O parę przecznic dalej rozległa się syrena. Nadjeżdżała policja.

— Takie ładne dziecko — powiedziała siwowłosa kobieta, wpatrując się w poszkodowaną.

Inni gapie półgłosem zgodzili się z jej opinią.

Carol wstała i ściągnęła płaszcz, zwinęła go i ostrożnie wsunęła prowizoryczną poduszkę pod głowę ofiary, unosząc ją nieco ponad poziom spływającej wody.

Dziewczynka nie otworzyła oczu ani się nie poruszyła. Splątany kosmyk złotych włosów opadł jej na twarz i Carol ostrożnie go odsunęła. Ciało małej było gorące, rozpalone, pomimo kąpieli w zimnym deszczu.

Nagle, kiedy palcami dotykała policzka dziewczyny, poczuła zawrót głowy. Nie mogła złapać oddechu. Przez chwilę myślała, że straci świadomość i upadnie na nieprzytomną. Pociemniało jej przed oczami, a w tej ciemności zobaczyła krótki błysk srebra, blask światła jakiegoś ruchomego przedmiotu, tajemniczej rzeczy z jej koszmaru.

Zacisnęła zęby, potrząsnęła głową, nie dając się porwać tej mrocznej fali. Cofnęła rękę i przyłożyła do swojej twarzy. Zawrót głowy minął równie nagle, jak się pojawił. Dopóki nie przybędzie karetka, ponosi odpowiedzialność za raną i powinna trzymać się dzielnie.

Samochód policyjny wyłonił się zza rogu i stanął za volkswagenem. Obracający się kogut rzucał czerwony blask na mokrą jezdnię, upodabniając kałuże deszczu do rozlewisk krwi.

Z oddali słychać było głos innej syreny. Karetka. Dla Carol to ptasie, cienkie zawodzenie wydało się najśłodszy dźwiękiem na świecie.

Pomyślała, że być może horror się zakończył.

Spojrzała na białą jak kreda twarz dziewczynki i ogarnęły ją wątpliwości. A może dopiero się zaczął.

Paul chodził z pokoju do pokoju, nad słuchując skąd wydobywa się dźwięk.

Łup... łup...

Źródło hałasu wyraźnie umiejscowione było nad jego głową. Na strychu albo na dachu.

Wszedł po wąskich, niepomalowanych, trzeszczących schodach.

Rozejrzył się po obszernym, jeszcze niewykończonym pomieszczeniu, w którym po nieotynkowanych ścianach biegły różowe przewody elektryczne przypominające układ krwionośny, a regularnie rozmieszczone belki wspierające — żebra. Oświetlenie składało się jedynie z dwóch słabych żarówek, więc wszędzie panował półmrok.

Przez bębnienie deszczu przebijał znany mu dźwięk:

Łup... łup-łup...

Paul powoli mijał sterty kartonowych pudeł i innych przechowywanych tu rzeczy: wielkie walizy podróżne, stary wieszak na płaszcze, zaśnieżoną, mosiężną lampę stojącą, dwa zdezelowane krzesła o trzcinowych siedzeniach, które kiedyś zamierzał odnowić. Cienka warstwa białawego kurzu pokrywała wszystko jak całun.

Łup... łup...

Przeszedł strych wzdłuż, wolno wrócił na środek i zatrzymał się. Źródło dźwięku znajdowało się na wprost jego twarzy w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów. Ale nie było tam nic, co mogłoby wywoływać jakieś zakłócenia. Nic się nie poruszało.

Łup... łup... łup... łup...

Walenie nieco ucichło, ale nadal odbijało się echem w całym domu. Stukanie było regularne, a rytm ten przypominał bicie serca.

Paul stał na strychu, w kurzu, czując stęchłą woń typową dla tego rodzaju miejsc, i starał się skupić uwagę na dźwięku i próbował zrozumieć, w jaki sposób może dobiegać po prostu z powietrza. Stopniowo zaczął inaczej patrzeć na tę całą historię. Początkowo sądził, że hałasy są wynikiem szkód, jakie wyrządziła burza. Teraz jednak, gdy krążył po strychu i zaglądał w każdy ciemny zakamarek, nasłuchując niemilkącego głuchego odgłosu, nagle odkrył w tym dźwięku coś złowieszczonego.

Łup... łup... łup...

Nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego ten hałas stał się groźny, wrogi.

Doznał uczucia, że w pomieszczeniu, bądź co bądź zamkniętym, jest mu zimniej niż na zewnątrz, w deszczu i wietrze.

Carol chciała pojechać z ranną dziewczynką do szpitala, ale wiedziała, że i tak w niczym jej nie pomoże. Poza tym oficer policji Tom Weatherby, młody człowiek o kręconych włosach, musiał spisać jej zeznanie.

Usiedli na przednich siedzeniach patrolowego wozu. Deszcz strugami spływał po szybach.

Radio policyjne trzeszczało.

Weatherby zmarszczył brwi.

— Przemokła pani do suchej nitki. Mam koc w bagażniku. Przyniosę go.

— Nie, nie — odparła. — Nic mi nie będzie. — Jej zielona sukienka z dzianiny całkiem przesiąkła. Mokre włosy przywarły do głowy i zwisały do ramion. Nie zważała jednak na swój wygląd i gęsią skórkę, która pokryła jej ciało. — Uporajmy się z tym wreszcie.

— Hm... jeśli to pani nie zaszkodzi.

— Jestem pewna.

Weatherby włączył ogrzewanie.

— Czy zna pani dziecko, które wpadło pod koła?

— Czy znam? Nie. Oczywiście, że nie.

— Nie miała przy sobie żadnego dowodu tożsamości. Czy niosła jakąś torebkę, kiedy weszła na jezdnię?

— Nie jestem pewna.

— Proszę się zastanowić i przypomnieć sobie.

— Nie sądzę, żeby coś niosła.

— Prawdopodobnie nie — powiedział. — Logicznie rozumując, jeśli w czasie takiej burzy była bez płaszcza czy parasolki, dlaczego by miała mieć torebkę. W każdym razie poszukamy na ulicy. Może ją gdzieś upuściła.

— A co się stanie, jeśli nie ustalicie jej tożsamości? W jaki sposób skontaktujecie się z rodzicami? Chodzi mi o to, że nie powinna być teraz sama.

— Powie nam swoje nazwisko, kiedy odzyska świadomość — wyjaśnił Weatherby.

— Jeśli.

— No, na pewno. Nie ma potrzeby się martwić. Nie wyglądała na poważnie ranną.

Jednak Carol była niespokojna.

Przez następne dziesięć minut Weatherby zadawał pytania, a ona odpowiadała. Kiedy skończył spisywać zeznanie, przeczytała je i podpisała na dole.

— Pani nie ponosi żadnej winy — odezwał się Weatherby. — Jechała pani z prędkością mniejszą niż dopuszczalna, a trzech świadków widziało, że dziewczynka wyszła z tak zwanego ślepego miejsca wprost pod pani samochód.

— Mogłam bardziej uważać.

— Nie sędzę, by w takiej sytuacji ktokolwiek zachował się inaczej.

— Z pewnością mogłam coś zrobić — upierała się z nieszczęśliwą miną.

Potrząsnął głową.

— Nie. Proszę posłuchać, pani Tracy. Widziałem już takie sytuacje. To po prostu wypadek.

Ktoś jest ranny i nikogo naprawdę nie można winić, a jednak jeden z uczestników zajęcia ma źle pojęte poczucie winy i upiera się, że jest sprawcą nieszczęścia. W tym konkretnym przypadku, jeśli w ogóle można kogoś winić, to dziecko, nie panią. Według świadków dziewczyna zachowywała się dziwnie, zanim pani skręciła z za rogu, niemal jakby chciała zostać przejechana.

— Ale dlaczego takie ładne dziecko zdecydowałoby się na desperacki krok?

Weatherby wzruszył ramionami

— Powiedziała pani, że jest psychiatrą. Specjalizuje się w problemach dzieci i młodzieży, prawda?

— Tak.

— Musi więc pani znać wszystkie odpowiedzi lepiej niż ja. Dlaczego chciała się zabić?

Mogła mieć kłopoty w domu — ojca, który pije i dokucza córce; matkę, która udaje, że tego nie widzi. A może porzucił ją chłopak, i myśli, że świat się zawalił. Albo odkryła, że jest w ciąży, i boi się powiedzieć rodzicom. Istnieją setki przyczyn, i jestem pewien, że słyszała pani o większości.

To, co mówił, było prawdą, ale Carol nie poczuła się przez to lepiej.

Gdybym jechała wolniej — myślała. — Gdybym szybciej reagowała, może ta biedna dziewczynka nie znalazłaby się w szpitalu.

— Mogła też być pod wpływem narkotyków — kontynuował Weatherby. — Cholernie dużo dzieciaków styka się dzisiaj z narkotykami. Daję słowo, jedni połknęliby każdą pigułkę, a inni coś wążają albo wstrzykują sobie w żyłę. Dziewczyna mogła być na

takim haju, że nie wiedziała, kim jest, kiedy weszła pod koła pani wozu. Jeśli mam rację, czy nadal będzie pani przekonana o swojej winie?

Carol oparła się o siedzenie, zamknęła oczy i trzęsąc się, głośno oddychała.

— Boże, nie wiem co powiedzieć. Wiem tylko... że czuję się podle.

— To całkiem naturalne, po tym, co pani przeszła. Ale to nie powinno mieć nic wspólnego z poczuciem winy. Proszę przestać o tym myśleć i powrócić do swoich spraw.

Otworzyła oczy, spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

— Wie pan, komisarzu Weatherby, myślę, że byłby pan niezłym psychoterapeutą.

Wyszczерzył zęby.

— Albo świetnym barmanem.

Carol wybuchła śmiechem.

— Lepiej się pani czuje? — zapytał.

— Troszeczkę.

— Proszę mi obiecać, że nie będzie z tego powodu bezsennych nocy.

— Spróbuję — powiedziała. — Wciąż jednak niepokoję się o tę małą. Czy wie pan, do którego szpitala ją zabrano?

— Mogę to ustalić.

— Zrobi pan to dla mnie? Chciałabym porozmawiać z lekarzem, który się nią opiekuje. Jeśli usłyszę od niego, że nic jej nie będzie, o wiele łatwiej przyjdzie mi zastosować się do pańskiej rady.

Weatherby podniósł mikrofon i połączył się z dyspozytorem.

Antena telewizyjna!

Stojąc na strychu i gapiąc się w sufit, Paul zaśmiał się głośno, gdy uświadomił sobie, co jest przyczyną hałasu. Ten dźwięk nie brał się z pustego powietrza na wprost jego twarzy, jak sądził.

Dobiegał z dachu, gdzie zamocowano antenę telewizyjną. Podłączyli im kablówkę rok temu, ale nie usunęli jeszcze starej anteny. Był to duży, zdalnie sterowany talerz, przytwierdzony śrubami bezpośrednio do belki dachu. Widocznie nakrętka albo jakieś wzmocnienie się obluźowało i wiatr szarpał anteną, uderzając nią co jakiś czas o dach. Rozwiązanie wielkiej zagadki okazało się śmiesznie proste.

Naprawdę?

Łup... łup... łup...

Dźwięk był teraz ledwie słyszalny wśród szumu deszczu, tak że szybko uwierzył w tę wersję wydarzeń. Stopniowo jednak zaczynał wątpić, czy ma rację. Przypomniał sobie, jak głośne i gwałtowne było walenie kilka minut wcześniej, kiedy znajdował się w kuchni: cały dom drżał, opadły drzwiczki piecyka, słoiki z przyprawami grzechotały na półeczce. Czy obluźowana antena mogła spowodować tyle hałasu i wibracji?

Łup... łup...

Gapił się w sufit i starał się uwierzyć w swoją teorię. Musiała uderzać o belkę dachu w ściśle określony sposób, pod szczególnym kątem, wprowadzając w rezonans cały budynek. Podobnie, wywołując odpowiednie wibracje w wiszącym moście stalowym, można w ciągu minuty zniszczyć go doszczętnie, bez względu na liczbę śrub, spawów i lin. A chociaż Paul nie wierzył, że obluźowana antena może spowodować podobnie apokaliptyczną destrukcję drewnianej konstrukcji domu, to jednak umiarkowana siła w połączeniu z odpowiednimi parametrami i maksymalną dokładnością daje efekt całkiem nieproporcjonalny do użytej energii. A poza tym antena telewizyjna musiała stanowić źródło hałasów, bo tylko takie wyjaśnienie mu pozostało.

Odgłos stukania stawał się cichszy, a potem zupełnie zamilkł. Poczekał minutę czy dwie, ale słyszał tylko deszcz uderzający o gonty nad głową. Wiatr musiał zmienić kierunek. Gdy tylko wróci do poprzedniego, znów zacznie się walenie.

Kiedy burza się skończy, wyniesie z garażu rozsuwaną drabinę, wejdzie na dach i zdemontuje antenę. Niepotrzebnie z tym zwlekał, stracił cenny czas przeznaczony na pisanie, i to będąc w jednym z najtrudniejszych, decydujących momentów powieści. Był sfrustrowany i zdenerwowany.

Jeśli teraz postąpi zgodnie z planem, może nie będzie to zupełnie stracony dzień. A więc ogoli się, pojedzie do miasta po nowy komplet formularzy z agencji adopcyjnej; jeśli przestanie padać, zdejmie antenę; zje lunch, a potem przez całe popołudnie będzie pracował nad książką, już bez przeszkód.

Kiedy wyszedł ze strychu i wyłączył światło, dom zadrżał od nowego stuknięcia.

ŁUP!

Tym razem tylko jedno.

A potem znów spokój.

Poczekalnia w szpitalu przypominała garderobę kłowna; kanarkowożółte ściany, jasnoczerwone krzesła, pomarańczowy dywan, ciemnofioletowe wieszaki i stoły, dwa duże obrazy, w których dominowały odcienie niebieskiego i zielonego.

To dzieło projektanta, który naczytał się różnych psychologicznych teorii zależności nastroju od kolorów, miało spełniać pozytywne funkcje, afirmujące życie, podnoszące na duchu chorych i ich gości. Jednakże ten zdecydowanie wesoły nastrój wywołał u Carol reakcję wręcz przeciwną. To był pokój szaleńca; uspokajał nerwy równie skutecznie, jak papier ścierny gładziłby kostkę masła.

Siedziała na jednym z czerwonych krzeseł, czekając na lekarza, który zajął się ranną dziewczynką. Kiedy się pojawił, jego wykrochmalony biały fartuch tak ostro kontrastował z jaskrawym wystrojem wnętrza, że zdawał się otoczony aureolą.

Carol ruszyła mu naprzeciw, a on się przedstawił:

— Sam Hannaport.

Był wysoki, krzepki, o kwadratowej twarzy, rumiany, po pięćdziesiątce. Sprawiał wrażenie hałaśliwego gbura, lecz w rzeczywistości był łagodny. Wydawał się szczerze zatroskany przebiegiem wydarzeń, które tak wstrząsnęły Carol. Zajęło jej parę minut, nim go przekonała, że czuje się dobrze, i wtedy usiedli naprzeciwko siebie na czerwonych krzesłach.

Hannaport uniósł krzaczaste brwi i powiedział:

— Wygląda na to, że przydałaby się pani gorąca kąpiel i duża szklanka brandy.

— Przemokłam do suchej nitki — powiedziała — ale nic mi nie będzie. Co z dziewczynką?

— Skaleczenia, siniaki, otarcia.

— Krwotok wewnętrzny?

— Badania niczego nie wykazały.

— Złamania?

— Ani jednej złamanej kości. Wyszła z tego w zdumiewająco dobrym stanie. Pani chyba nie jechała zbyt szybko, kiedy ją potrąciła.

— Rzeczywiście. Biorąc jednak pod uwagę sposób, w jaki upadła na maskę, a potem stoczyła się na jezdnię, myślałam, że... — Carol zadrżała, bojąc się skończyć.

— Cóż, dziecko jest w dobrym stanie. W karetce odzyskała przytomność i powtórnie jej nie straciła.

— Bogu dzięki.

— Nie ma żadnych oznak, że przeszła choćby lekki wstrząs. Nie przewiduję jakichkolwiek ujemnych skutków wypadku.

Carol z ulgą oparła się o krzesło.

— Chciałabym się z nią zobaczyć, porozmawiać.

— Teraz odpoczywa — odparł doktor Hannaport. — Wolałbym, żeby jej nie przeszkadzano.

Ale jeśli pani wróci wieczorem, w czasie odwiedzin, będzie mogła się z panią zobaczyć,

— Tak zrobię. Na pewno. — Zamrugła oczami. — O Boże, nawet nie spytałam pana, jak ona się nazywa.

Krzaczaste brwi znów się uniosły.

— Hm, mamy z tym pewien problem.

— Problem? — Napięcie Carol wróciło. — Co ma pan na myśli? Nie pamięta swojego nazwiska?

— Jeszcze sobie nie przypomniała, ale...

— O Boże...

— ...przypomni sobie.

— Powiedział pan, że żadnych wstrząsów...

— Przysięgam pani, to nic poważnego — uspokajał ją Hannaport.

Wziął jej dłoń w swoje silne, duże dłonie i trzymał tak, jak gdyby Carol w każdej chwili mogła pęknąć i rozpaść się.

— Proszę się nie denerwować. Dziewczynka wyzdrowieje. Chwilowa utrata pamięci w jej przypadku nie jest objawem jakiegoś poważnego wstrząsu czy uszkodzenia mózgu. Nie jest oszołomiona ani zdezorientowana. Ma normalne pole widzenia i świetne postrzeganie głębi.

Testowaliśmy jej procesy myślowe za pomocą paru działań matematycznych, jak dodawanie, odejmowanie, mnożenie, i wypadły bezbłędnie. Umie przeliterować każde słowo, jest w tym cholernie dobra. Po prostu cierpi na lekką amnezję. To amnezja selektywna, rozumie pani, utrata tylko wspomnień osobistych, a nie utrata zdolności i umiejętności oraz całego bloku pojęć.

Nie zapomniała, jak się czyta i pisze, jedynie kim jest, skąd pochodzi i jak się tu dostała. Brzmi to poważniej, niż wygląda w rzeczywistości. Jest oczywiście zażenowana i załęczniona. Amnezja selektywna jest jednak najłatwiejszą do wyleczenia postacią tej choroby.

— Wiem — powiedziała Carol. — A mimo wszystko wcale nie czuję się przez to lepiej.

Hannaport ścisnął jej rękę stanowczo, choć ostrożnie.

— Ta postać amnezji bardzo rzadko pozostaje czy choćby utrzymuje się dłużej. Najprawdopodobniej przypomni sobie, kim jest, jeszcze przed kolacją.

— A jeśli nie?

— Wtedy policja ustali jej dane, a w momencie kiedy usłyszy swoje nazwisko, wszystko stanie się jasne.

— Nie miała przy sobie dowodu tożsamości.

— Wiem, rozmawiałem z policjantami.

— Co więc się stanie, jeśli nie zdołają ustalić, kim jest?

— Zdołają. — Poklepał ją po ręce, zbierając się do odejścia.

— Na czym opiera pan swoje przeświadczenie?

— Jej rodzice zgłoszą zaginięcie. Policja otrzyma od nich zdjęcie i skojarzy sprawę. To chyba brzmi logicznie.

Zmarszczyła brwi.

— A jeśli rodzice nie zgłoszą zaginięcia?

— Dlaczego mieliby tego nie zrobić?

— Cóż mogła na przykład uciec poza granice swojego stanu, a tutejsza policja nie musi o tym wiedzieć.

— Z tego, co wiem, dzieciaki najczęściej wybierają jako cel ucieczek Nowy Jork, Kalifornię i Florydę. Każde inne miejsce z wyjątkiem Harrisburga w stanie Pensylwania.

— Od każdej reguły są wyjątki.

Hannaport zaśmiał się cicho i potrząsnął głową.

— Gdyby pesymizm był konkurencją sportową, wygrałaby pani puchar świata.

Spojrzała zdumiona, a potem uśmiechnęła się.

— Przykro mi. Chyba jestem wyjątkowo ponura.

Zerknął na zegarek i podniósł się z krzesła.

— Tak, chyba tak. Zważywszy zwłaszcza na fakt, w jak dobrym stanie jest dziewczynka.

Mogło być o wiele gorzej.

Carol też się podniosła. Pośpiesznie, połykając słowa, powiedziała:

— Proszę mnie zrozumieć, ale na co dzień mam do czynienia z trudnymi dziećmi, i moja praca polega na pomaganiu im. Zawsze chciałam to robić — pracować z chorymi dziećmi, uzdrawiać — a teraz jestem odpowiedzialna za ból, którego doświadcza ta biedna dziewczynka.

— Nie wolno pani tak mówić. Pani nie miała zamiaru jej krzywdzić.

Carol kiwnęła głową.

— Wiem, że nie zachowuję się całkiem racjonalnie, ale nic na to nie mogę poradzić.

— Czekają na mnie pacjenci — rzekł Hannaport, zerkając na zegarek. — Jeśli pani pozwoli, powiem coś, co powinno ostatecznie uwolnić panią od poczucia winy.

— Bardzo proszę.

— Dziewczynka odniosła jedynie niewielkie obrażenia fizyczne. Jeśli więc o to chodzi, nie powinna się pani obwiniać. A jeśli chodzi o jej amnezję... cóż, może ten wypadek nie ma z tym nic wspólnego.

— Nic wspólnego? Kiedy uderzyła głową w samochód albo o jezdnię...

— Jestem pewny, że uderzenie głową nie jest jedyną przyczyną amnezji. W takich sytuacjach nie jest to nawet decydujący czynnik. Stres, szok emocjonalny mogą w rezultacie spowodować utratę pamięci. Nie poznaliśmy ludzkiego umysłu na tyle, by stwierdzić z całą pewnością, co na ogół powoduje amnezję. Jeśli chodzi o tę dziewczynkę, wszystko wskazuje na to,

że znajdowała się w tym stanie, zanim wpadła pod koła pani samochodu. — Każdy argument przemawiający za jego teorią Hannaport podkreślał, wyliczając na palcach. — Po pierwsze — nie miała żadnego dowodu tożsamości. Po drugie — wędrowała w ulewnym deszczu bez płaszcza czy parasolki, jak w zamroczeniu. Po trzecie — z tego, co mówią świadkowie, zrozumiałem, że zachowywała się bardzo dziwnie. — Wymachiwał trzema podniesionymi palcami. —

Trzy poważne powody, dla których nie powinna pani tak pochopnie się obwiniać.

— Może ma pan rację, ale ja wciąż...

— Mam rację — stwierdził zdecydowanie. — Nie ma tu żadnego „może”. Proszę odpocząć, doktor Tracy.

Jakaś kobieta o ostrym, nosowym głosie poszukiwała doktora Hannaporta przez radiowęzeł szpitalny.

— Dziękuję, że poświęcił mi pan czas. Był pan nad wyraz uprzejmy.

— Proszę wrócić tu wieczorem i porozmawiać z dziewczynką, jeśli pani chce. Jestem pewny, że ona nie ma do pani żalu.

Odwrócił się i szybkim krokiem wyszedł z barwnej poczekalni. Powiewały za nim poły białego fartucha.

Carol podeszła do automatu telefonicznego i zadzwoniła do swojego gabinetu. Wyjaśniła sytuację sekretarce, Thelmie, i poprosiła o umówienie dzisiejszych pacjentów na inny termin.

Potem zadzwoniła do domu, a Paul odebrał po trzecim sygnale.

— Właśnie wychodziłem — powiedział. — Muszę pojechać do biura O'Briana i wziąć nowy zestaw formularzy. Nasze dokumenty zginęły wczoraj w tym bałaganie. Jak na razie, zapowiada się taki dzień, że lepiej było nie wstawać.

— U mnie to samo.

— Co się stało?

Opowiedziała o wypadku i streściła rozmowę z doktorem Hannaportem.

— Mogło być gorzej — podsumował Paul. — Trzeba przynajmniej się cieszyć, że nikt nie został zabity lub okaleczony.

— Wszyscy mi to powtarzają: „Mogło być gorzej, Carol”, ale i tak czuję się okropnie.

— Nic ci się nie stało?

— Nie. Już ci mówiłam.

— Nie mam na myśli urazu fizycznego. Czy pozbierałaś się emocjonalnie? Słyszę, że jesteś roztrzęsiona.

— Bo tak jest. Ale tylko troszeczkę.

— Przyjadę do szpitala — zdecydował.

— Nie, nie. To niekonieczne.

— Jesteś pewna, że możesz prowadzić?

— Bez problemu przyjechałam tu po wypadku, a teraz czuję się lepiej niż wtedy. Nic mi nie będzie. Zamierzam teraz podjechać do Grace. Mam stąd bliżej niż do domu. Muszę wyczyścić, wysuszyć i wyprasować ubranie. Muszę też wziąć prysznic. Chyba zjem z nią wczesną kolację, a potem wrócę do szpitala w czasie odwiedzin.

— Kiedy będziesz w domu?

— Prawdopodobnie nie przed wpół do dziewiątej.

— Będę za tobą tęsknił.

— Ja za tobą też.

— Pozdrów ode mnie Grace — poprosił. — I powiedz jej, że uważam ją za nowego Nostradamusa.

— Co to ma znaczyć?

— Grace dzwoniła do mnie. Powiedziała, że miała ostatnio dwa koszmarne sny i ty występowałaś w obu. Obawiała się, że coś ci się może przydarzyć.

— Poważnie?

— Tak. Była tym zaniepokojona. Bała się, że uznam to za objaw starzenia się albo czegoś podobnego.

— Opowiedziałeś jej o wczorajszej burzy?

— Tak. Miała przeczucie, że jeszcze coś może się wydarzyć, coś złego.

— I stało się.

— Skóra cierpnie, co?

— Zdecydowanie — zgodziła się Carol. Przypomniała sobie własny koszmar senny: czarna próżnia, połyskujący, zbliżający się srebrzysty przedmiot.

— Jestem pewny, że Grace ci o tym opowie. A my zobaczymy się wieczorem.

— Kocham cię — powiedziała Carol.

— Ja też cię kocham.

Odłożyła słuchawkę i wyszła na parking.

Szaroczarne chmury kłębiły się na niebie, ale tylko mżyło. Wiatr wciąż był zimny i ostry; wygrywał na przewodach wysokiego napięcia coś, co brzmiało jak rój rozwścieczonych os.

W separacie stały dwa łóżka, ale drugie było wolne.

Dziewczynka leżała pod szeleszczącym prześcieradłem i kremowym kocem, wpatrując się w dźwiękochłonny sufit. Bolała ją głowa i czuła tępe pulsowanie, pieczenie każdego skaleczenia i otarcia; wiedziała jednak, że nie jest poważnie ranna.

Strach, a nie ból, był jej najgorszym wrogiem. Przerażało ją to, że nie może sobie przypomnieć, kim jest. Z drugiej strony opanowało ją niewytłumaczalne uczucie, że pamiętanie o przeszłości byłoby czymś głupim i niebezpiecznym. Nie wiedząc czemu, podejrzewała, iż całkowita pamięć oznacza dla niej śmierć; to osobliwe przeświadczenie przerażało ją bardziej niż cokolwiek.

Zdawała sobie sprawę, że amnezja nie była wynikiem wypadku. Pamiętała jak przez mgłę, że szła po ulicy w deszczu minutę lub dwie przed rzuceniem się pod koła volkswagena. Wtedy też była zdezorientowana, przestraszona, niezdolna przypomnieć sobie własnego nazwiska, całkiem obca w tym mieście i nieświadoma, jak się tu dostała. Nić jej pamięci zdecydowanie urywała się przed wypadkiem.

Zastanawiała się, czy to możliwe, aby jej amnezja pełniła funkcję tarczy chroniącej przed jakimś strasznym faktem z przeszłości. Czy zapomnienie jest w pewnym stopniu równoznaczne z bezpieczeństwem?

Dlaczego? Co mi może grozić? Od czego ja uciekam? — pytała siebie.

Czuła, że odzyskanie tożsamości jest niemożliwe. Właściwie było w zasięgu ręki. Miała wrażenie, że przeszłość leży na dnie mrocznej dziury, tuż-tuż — musi tylko zebrać siły i ośmielić się wsadzić dłoń w to ciemne miejsce, i po omacku szukać prawdy.

Gdy jednak czyniła wysiłki, by coś sobie przypomnieć, gdy zagłębiała się w tę dziurę, strach narastał, aż przestawał być zwyczajnym strachem, a stawał się koszmarem nie do wytrzymania.

Żołądek zmieniał się w supeł, gardło puchło, ciało oblepiał tłusty pot, a zawrót głowy prowadził niemal do zasłabnięcia.

Na krawędzi nieświadomości ujrzała i usłyszała coś niepokojącego, ostrzegającego — niewyraźny fragment snu, wizji, której nie mogła do końca rozpoznać. Był to jeden dźwięk i jeden tajemniczy obraz. Obraz hipnotyczny, lecz prosty: szybki błysk światła, srebrzysty blask nie całkiem widzianego przedmiotu huśtającego się tam i z powrotem w głębokim cieniu; może świecące wahadło. Dźwięk natomiast był wyrazisty i groźny, ale nierozpoznawalny; odgłos głośnego walenia, a zarazem coś więcej.

Łup! Łup! Łup!

Szarpnęła się, zadrżała jak uderzona.

Łup!

Chciała krzyknąć, lecz nie mogła.

Zdała sobie sprawę, że zaciska pięści, a w nich przesiąknięte potem prześcieradło.

Łup!

Przestała przypominać sobie, kim jest.

Może lepiej, że nie wiem — pomyślała.

Serce stopniowo wracało do normalnego rytmu; mogła też oddychać, nie sapiąc. Żołądek się rozluźnił.

Stukający dźwięk zniknął.

Po chwili spojrzała w okno. Stado dużych czarnych ptaków kołowało po burzliwym niebie.

Co mi się przydarzy? — zastanawiała się.

I nawet kiedy przyszła pielęgniarka, a chwilę później dołączył do niej lekarz, dziewczynka czuła się przerażająco samotna.

ROZDZIAŁ 5

Kuchnia Grace pachniała kawą i ciepłym ciastem z bakaliami. Deszcz zmył szyby, odsłaniając widok na ogród różany, położony na tyłach domu.

— Nigdy nie wierzyłam w jasnowidzenie czy przeczucia.

— Ja też nie — odparła Grace. — Ale teraz zaczynam mieć wątpliwości. Miałam dwa koszmarne sny dotyczące ciebie, a teraz słyszę, że odebrałaś dwa „sygnały”, tak jakbyś działała według jakiegoś scenariusza.

Siedziały przy stoliku obok okna. Carol miała na sobie jeden ze szlafroków Grace i parę kapci, a jej własne ubranie kończyło się suszyć.

— Tylko jeden „sygnał” — odparła Carol. — Piorun. To było naprawdę wstrząsające przeżycie, zgoda. Ale dzisiaj nie zagrażało mi żadne niebezpieczeństwo. To ta biedna dziewczynka miała koszmarne dzień.

Grace potrząsnęła głową.

— Nie. To też był sygnał dla ciebie. Mówiłaś mi przecież, że chcąc wyminąć dziecko, zjechałaś na sąsiedni pas prosto pod cadillaca, który o mały włos nie zderzył się z twoim małym volkswagenem. Z pewnością nie wyszłabyś z tego bez szwanku.

Marszcząc brwi, Carol powiedziała:

— Tak, nie pomyślałam o tym.

— Byłaś tak przejęta wypadkiem, że nie pomyślałaś o sobie.

Carol ugryzła kawałek ciasta z bakaliami i popiła kawą.

— Nie tylko ty miewasz koszmary.

Streściła własny sen: odcięte głowy, pustka i ciemność za jej plecami, migający srebrzysty przedmiot.

Grace ujęła kubek z kawą w dłonie i skuliła się nad stołem. W jej niebieskich oczach odbijała się troska.

— Co za paskudny sen. Jak go interpretujesz?

— O, nie sadzę, żeby był proroczy.

— A dlaczegoż by nie? Moje takie były.

— Tak, ale to nie znaczy, że obie musimy być wrózkami. Poza tym mój sen nie miał sensu.

Był po prostu zbyt okrutny, aby traktować go poważnie. Takie rzeczy nie zdarzają się w rzeczywistości.

— Może być proroczy, jeśli nie będziemy interpretować go dosłownie. To symboliczne ostrzeżenie.

— Przed czym?

— Nie wiem, ale uważam, że musisz być nadzwyczaj ostrożna. Boże, zaczynam mówić jak cygańska wróżka. Jednak jestem zdania, że nie powinnaś tego ostrzeżenia lekceważyć. Zwłaszcza po tym, co się wydarzyło.

Później, po lunchu, kiedy naląa trochę pieniącego płynu do zlewu pełnego brudnych naczyń, Grace powiedziała:

— A jak się mają sprawy w agencji adopcyjnej? Czy są szanse, że szybko dadzą wam dziecko?

Carol zawahała się.

Grace spojrzała na nią.

— Coś nie tak?

Biorąc z wieszaka ścierkę, Carol odparła:

— Nie. Z pewnością nie. O'Brian mówi, że zostaniemy zaakceptowani. Mówi, że to pewne.

— Ale ty się wciąż martwisz.

— Trochę — przyznała Carol.

— Czemu?

— Nie jestem pewna. Po prostu... mam takie przeczucie...

— Jakie przeczucie?

— Że to się nie uda.

— Dlaczego nie?

— Nie mogę pozbyć się myśli, że ktoś próbuje nas powstrzymać przed adopcją.

— Kto?

Carol wzruszyła ramionami.

— O'Brian? — spytała Grace.

— Nie, nie. On jest po naszej stronie.

— Ktoś z komisji rekomendacyjnej?

— Nie wiem. Właściwie nie mam żadnych dowodów na to, że ktoś ma złe zamiary względem Paula i mnie.

— Tak długo nosiłaś się z chęcią adopcji, że odczuwasz niepokój, kiedy wreszcie zdecydowałaś się na nią. Szukasz problemów tam, gdzie ich nie ma.

— Może.

— Te dwa wypadki wpływają na twoje samopoczucie.

— Może.

— To rozumiałe. Ja też jestem pod wrażeniem. Ale adopcją nie musisz się martwić.

— Mam nadzieję — odrzekła Carol. Przypomniała sobie jednak zagubione formularze, i to dało jej do myślenia.

Zanim Paul wrócił z agencji adopcyjnej, deszcz przestał padać, chociaż wiatr był nadal zimny i wilgotny.

Wziął z garażu drabinę i wspiął się na najmniej pochyloną część dachu. Mokra gonty skrzypiały pod stopami, ale ostrożnie poruszał się po stromiźnie, kierując się w stronę anteny telewizyjnej zamocowanej obok ceglanego komina.

Nogi miał jak z waty. Cierpiał na rodzaj lęku wysokości — lęku, który go do końca nie obezwładnił, bo zmuszał się, by go zwalczyć i przewyciężyć, tak jak teraz.

Kiedy dotarł do komina, oparł się o niego ręką i spojrzał na dachy sąsiednich domów. Ciemne, burzowe wrześnieowe chmury opuszczały się coraz niżej, i Paul miał uczucie, że wystarczy podnieść ramię, szturchnąć pięścią w te nadęte brzuszyska, a wydadzą głośny, metaliczny odgłos.

Przywarł plecami do komina i obejrzał antenę telewizyjną. Płyta mocująca trzymała się na czterech śrubach przechodzących przez gonty. Żadnej nie brakowało i żadna się nie obluzowała. Antena była mocno przytwierdzona do płyty i najprawdopodobniej to nie ona powodowała hałas, który wstrząsał domem.

Po zmyciu naczyń Grace i Carol weszły do gabinetu. Pokój cuchnął kocim moczem i kałem.

Arystofanes zrobił sobie wychodek na siedzeniu wielkiego fotela.

Grace była oszołomiona.

— Nie mogę w to uwierzyć. Ari zawsze korzysta z kuwety. Nigdy czegoś takiego nie robił.

— Zawsze był nieznośnym kotem, prawda? Grymaśnym.

— Owszem, ale nie do tego stopnia. Fotel trzeba pokryć na nowo. Znajdę tę głupią bestię, wsadzę mu nos w te brudy i dam porządną burę. Nie chcę, żeby mu to weszło w krew, na litość boską.

Szukały wszędzie, ale bez rezultatu. Widać kocur wymknął się z domu przez kuchnię.

Wracając z Grace do gabinetu, Carol zagadnęła:

— Wspomniałaś wcześniej, że Ari podarł ci parę rzeczy.

Grace skrzywiła się.

— Tak. Przykro mi o tym mówić, ale podarł na strzępy dwie z tych cudownych haftowanych poduszeczek, które dla mnie zrobiłaś. Byłam zrozpaczona. Tyle włożyłaś w nie pracy, a on po prostu...

— Nie martw się — powiedziała Carol. — Zrobię ci nowe. Uwielbiam to. Haftowanie mnie odpręża. Pytałam tylko dlatego, że jego zachowanie może świadczyć o chorobie.

Grace zmarszczyła brwi.

— Wygląda zdrowo. Sierść ma lśniąca i jest równie żywotny jak zawsze.

— Pod wieloma względami zwierzęta są jak ludzie. Kiedy ktoś nagle zaczyna się dziwnie zachowywać, może to świadczyć o jakiejś dolegliwości fizycznej — od guza mózgu poczynawszy, na chorobach układu pokarmowego skończywszy.

— Chyba muszę z nim pójść do weterynarza.

— Skorzystajmy z tego, że chwilowo nie pada i poszukajmy go na dworze — zaproponowała Carol.

— Szkoda zachodu. Kiedy kot nie chce, by go znaleźć, to się go nie znajdzie. A poza tym wróci przed kolacją. Rano pójdę z nim do weterynarza. — Grace spojrzała na bałagan, skrzywiła się i potrząsnęła głową. — To do niego niepodobne — rzekła zmartwiona.

Na otwartych drzwiach widniał numer 316.

Carol weszła niepewnie do białoniebieskiego pokoju szpitalnego i zatrzymała się tuż za progiem.

Dziewczynka siedziała na łóżku stojącym najbliżej okna. Odwróciła głowę, gdy zdała sobie sprawę, że nie jest już sama, a kiedy spojrzała na Carol, niebieskoszare oczy nie zdradzały, że ją rozpoznaje.

— Czy mogę wejść? — spytała Carol.

— Oczywiście.

Podeszła do łóżka.

— Jak się czujesz?

— W porządku.

— Mając te wszystkie otarcia, skaleczenia i siniaki trudno jest czuć się dobrze.

— O, aż tak strasznie nie oberwałam. Jestem tylko trochę podrapana. Od tego się nie umiera. I wszyscy są dla mnie tacy mili.

— A jak twoja głowa?

— Bolała mnie, kiedy tu przyszłam, ale już przestała.

— A widzenie podwójne?

— Nic takiego nie mam — odparła dziewczynka. Kosmyk złotych włosów wysunął się z za jej ucha i opadł na policzek; zatknęła go na miejsce. — Pani jest lekarzem?

— Tak. Nazywam się Carol Tracy.

— Może pani do mnie mówić Jane. Tak jest napisane na mojej karcie. Jane Doe. Dobre jak każde inne. Może być nawet o wiele ładniejsze niż moje prawdziwe imię. Może naprawdę nazywam się Zelda albo Myrtle, albo jeszcze śmieszniej. — Pięknie się uśmiechnęła. — Pani jest kolejnym lekarzem, który przyszedł mnie zobaczyć. Tak naprawdę, ilu ich mam?

— Ja nie jestem twoim lekarzem — odparła Carol. — Znalazłam się tu ponieważ... cóż... to pod mój samochód wpadłaś.

— Och. Hej, hej. Strasznie mi przykro. Mam nadzieję, że uszkodzenia nie są poważne.

Zaskoczona reakcją dziewczynki i szczerym wyrazem troski na jej twarzy, Carol roześmiała się.

— Na litość boską, kochanie, nie martw się o mój samochód. Twoje zdrowie jest ważne, nie volkswagen. I to ja powinnam cię przeproszać. Czuję się okropnie.

— Nie powinna pani — odrzekła dziewczynka. — Mam jeszcze wszystkie żebra i żadna z kości nie jest złamana, a doktor Hannaport mówi, że chłopcy nadal będą się mną interesować.

— Uśmiechnęła się z zażenowaniem.

— Z pewnością ma rację co do chłopców — powiedziała Carol. — Jesteś bardzo ładna.

Grymas zakłopotania przeszedł w nieśmiały uśmiech i dziewczynka spuściła wzrok na koldrę, rumieniąc się.

— Miałam nadzieję, że zastanę tu twoich bliskich.

Mała starała się zachować wesoły wyraz twarzy, ale kiedy podniosła wzrok, w jej oczach widać było strach i zwątpienie.

— Myślę, że jeszcze nie zgłosili mojego zaginięcia. Ale to tylko kwestia czasu.

— Czy w ogóle pamiętasz coś ze swojej przeszłości?

— Jeszcze nie. Ale przypomnę sobie. — Wyprostowała kołnierzyk koszuli nocnej i wygładziła koldrę. — Doktor Hannaport twierdzi, że wszystko prawdopodobnie wróci do normy, jeśli nie będę przypominała sobie na siłę. Mówi, że na szczęście nie mam całkowitej amnezji. Takiej, kiedy człowiek nawet zapomina, jak się czyta i pisze. Ze mną wcale nie jest tak źle! Do diabła, nie. Na szczęście nie muszę się od nowa uczyć czytać, pisać, dodawać, odejmować, mnożyć, dzielić. Ale nudy! — Skończyła

wygładzanie kołdry i znów podniosła wzrok. — W każdym razie najprawdopodobniej odzyskam pamięć za dzień czy dwa.

— Jestem pewna, że tak — powiedziała Carol, chociaż wcale nie była o tym przekonana. —

Może czegoś ci potrzeba?

— Nie. Mam wszystko. Nawet małe tubki pasty do zębów.

— A jakieś książki, czasopisma?

Dziewczynka westchnęła.

— Wynudziłam się dzisiaj jak mops. Sądzi pani, że mają tu jakieś czasopisma?

— Chyba tak. Co lubisz czytać?

— Wszystko. Z tego, co pamiętam, uwielbiam czytać. Ale nie mogę sobie przypomnieć żadnych tytułów książek czy czasopism. Śmieszna ta amnezja, prawda?

— Zabawna — przytaknęła Carol. — Poczekaj chwilę. Zaraz wracam.

W dyżurce pielęgniarek na końcu korytarza wyjaśniła, kim jest, i załatwiła wypożyczenie małego telewizora dla Jane Doe.

Oddziałowa — krępa, siwowłosa kobieta, która nosiła okulary zawieszane na łańcuszku — odezwała się:

— Taka słodka dziewczynka. Wszystkich oczarowała. Nie skarży się na nic, nie powie złego słowa. Niewielu nastolatków okazuje takie opanowanie.

Carol zjechała windą na parter i w kiosku z gazetami kupiła „Hershey Bar”, „Almond Joy”

i sześć czasopism odpowiednich dla młodej dziewczyny. Zanim wróciła do pokoju 316, siostra dyżurna skończyła instalowanie telewizora.

— Nie powinna pani tego wszystkiego robić — powiedziała Jane. — Kiedy przyjadą moi rodzice, dopilnuję, żeby zwrócili pani pieniądze.

— Nie przyjmę ani grosza — odparła Carol.

— Ale...

— Żadnych ale.

— Nie trzeba mnie rozpieszczać. Czuję się dobrze. Naprawdę. Jeśli pani...

— Ja cię nie rozpieszczam, kochanie. Uważam czasopisma i telewizję za formę terapii. Właściwie dzięki nim możesz przełamać amnezję.

— Co pani ma na myśli?

— Cóż, jeśli oglądając telewizję, zobaczysz jakiś program, który widziałaś już wcześniej, i przypomnisz go sobie, może to wywołać reakcję łańcuchową w twoich wspomnieniach.

— Tak pani uważa?

— To lepsze niż siedzieć i gapić się na ściany czy przez okno. Tutaj nic nie uruchomi twojej pamięci, bo nie wiąże się z przeszłością. Ale jest szansa, że telewizja dokona tej sztuki.

Dziewczyna włączyła telewizor pilotem. Nadawano popularną komedię.

— Znasz to? — spytała Carol.

Potrząsnęła głową.

— Nie.

Łzy błysnęły w kącikach jej oczu.

— Hej, nie załamuj się — prosiła Carol. — Byłoby zdumiewające, gdyby uzdrowienie nastąpiło natychmiast. To musi trochę potrwać.

Mała kiwnęła głową i przygryzła wargę, starając się nie płakać.

Carol przysunęła się, wzięła ją za rękę; była chłodna.

— Wróci pani jutro? — spytała Jane drżącym głosem.

— Oczywiście, że tak.

— Chodzi mi o to, czy nie pokrzyżuję pani planów.

— Na pewno nie.

— Czasem...

— Co?

Dziewczynka zadrżała.

— Czasem tak się boję.

— Nie bój się, kochanie. Proszę. Wszystko się ułoży. Zobaczysz. Świadomość wróci ci szybciej, niż się spodziewasz.

Carol pragnęła powiedzieć coś więcej niż te kilka frazesów, ale stwierdziła, że nie potrafi, gdyż i ją dręczyły wątpliwości.

Dziewczynka wyciągnęła z pojemnika papierowe chusteczki, w jedną wydmuchała nos, a drugą otarła oczy. Podniosła podbródek, wyprostowała szczupłe ramiona i poprawiła kołdrę.

Kiedy spojrzała na Carol, znów się uśmiechała.

— Przepraszam — odezwała się. — Nie wiem, co mi się stało. Mazanie się niczego nie rozwiązuje. W każdym razie ma pani rację. Moi bliscy pojawią się pewnie jutro, i wszystko dobrze się ułoży. Pani Tracy, jeśli tylko przyjdzie mnie pani odwiedzić...

— Przyjdę.

— Jeśli tak, proszę obiecać, że nie przyniesie mi pani cukierków ani czasopism, ani niczego.

Dobrze? Nie ma powodu, żeby wydawała pani pieniądze na takie rzeczy. Zrobiła pani dla mnie i tak bardzo dużo. Byłoby mi bardzo miło, gdyby pani po prostu przyszła. Przyjemnie mieć świadomość, że ktoś spoza szpitala się o mnie troszczy. Przyjemnie mieć świadomość, że nie siedzę tutaj zapomniana czy porzucona. Och, oczywiście pielęgniarki i lekarze są wspaniali. Naprawdę. I jestem im bardzo wdzięczna. Troszczą się o mnie, ale to właściwie należy do ich obowiązków. Rozumie pani? Więc to nie to samo, prawda? — Roześmiała się nerwowo. — Czy ja mówię od rzeczy?

— Wiem dokładnie, co czujesz — zapewniła ją Carol. W bolesny sposób była świadoma głębokiej samotności dziewczynki, bo kiedy miała tyle samo lat, także czuła się samotna i przerażona. Grace Mitowski zaopiekowała się nią i zapewniła miłość i troskliwość.

Została z Jane aż do końca czasu odwiedzin. Zanim wyszła, złożyła na czole dziewczynki matczyzny pocałunek, i uznała to za rzecz zupełnie naturalną. Między nimi powstała więź, i to w zadziwiająco krótkim czasie.

Na zewnątrz, na szpitalnym parkingu, lampy sodowe wywabiły kolory z samochodów i zabarwiły wszystkie na żółto.

Noc była chłodna. Po południu i wieczorem nie padał deszcz, ale w powietrzu czuło się wilgoć. Gdzieś w oddali zagrzmiął piorun, zwiastujący nową burzę.

Siedziała przez chwilę za kierownicą volkswagena, gapiąc się w okno pokoju dziewczynki na trzecim piętrze.

— Cóż za niesamowite dziecko — powiedziała na głos.

Czuła, że ktoś szczególny wkroczył nieoczekiwanie w jej życie.

Przed północą zaczął wiać z zachodu zimny wiatr i wprawił drzewa w taniec. Bezgwiezdna, bezksiężycowa, całkiem pozbawiona światła noc wcisnęła się między domy i Grace wydawało się, że to żywa istota sapiąca pod drzwiami i oknami.

Zaczął padać deszcz.

Położyła się do łóżka, kiedy zegar wybił dwunastą, a dwadzieścia minut później zaczęła dryfować na krawędzi snu, jak liść unoszony przez zimny prąd w stronę wielkiego wodospadu.

Na brzegu, gdzie tylko ciemność kłębiła się pod jej stopami, usłyszała jakiś ruch i natychmiast się obudziła.

Szereg cichutkich dźwięków. Delikatne drapanie. Postukiwanie, które skończyło się tak nagle, jak się zaczęło. Jedwabisty szelest.

Usiadła z bijącym sercem i otworzyła szufladę w szafce nocnej. Jedną ręką na oślep sięgnęła po pistolet kalibru 22, a drugą macała w poszukiwaniu wyłącznika lampy. W tym samym momencie dotknęła obydwu przedmiotów.

Przy zapalonym świetle zobaczyła źródło hałasu. Ari przycupnął na wysokiej komodzie, jak gdyby szykując się do skoku na łóżko, i gapił się na nią.

— Co tu robisz? Wiesz, że ci nie wolno!

Zmrużył oczy, ale się nie poruszył. Mięśnie miał twarde, napięte, futro jeżyło mu się na grzbiecie.

Z przyczyn czysto higienicznych zabraniała mu wspinania się na blaty kuchenne i łóżko; starannie zamykała drzwi sypialni, aby go nie kusiło. Kochała Ariego, uważała go za świetnego kompana i dawała mu niemal całkowitą swobodę, jednak nie tolerowała kociej sierści w jedzeniu czy na pościeli.

Wstała z łóżka, wsunęła kapcie.

Ari ją obserwował.

— Złaż stamtąd natychmiast — zażądała, patrząc na niego srogo.

Jego błyszczące oczy miały kolor gazowego płomienia.

Grace podeszła do drzwi sypialni, otworzyła je, stanęła z boku i powiedziała:

— A psik!

Mięśnie kota się rozluźniły. Rozpłaszczył się jak puszysta plama na blacie komody. Ziewnął i zaczął lizać jedną z czarnych łap.

— Hej!

Arystofanes podniósł leniwie głowę i spojrzał na nią z góry.

— Won! — odezwała się gburowato. — Natychmiast!

Kiedy wciąż się nie ruszał, zaczęła iść w stronę komody. Wtedy raczył zrozumieć, czego od niego żąda. Zeskoczył i przebiegł obok niej tak szybko, że nie zdążyła go skarcić. Ukrył się w holu, a ona zamknęła drzwi.

Już w łóżku, przy zapalonym świetle, rozpamiętywała sposób, w jaki na nią patrzył: wyzywał ją, zamierzał się na nią — ściągnięte barki, opuszczona głowa, napięty zad, nastroszone futro, jasne i lekko obłąkane oczy. Zamierzał skoczyć na łóżko i wypruć z niej wnętrzności, nie miała co do tego wątpliwości. Co mu się, do diabła, stało?

Klamka zapadła — powiedziała sobie. — Idziemy do weterynarza, to pierwsza czynność, jaką rano zrobimy. Dobry Boże, mogę mieć do czynienia z kotem schizofrenikiem!

Była zmęczona, i pozwoliła, by noc znów wzięła ją w swoje objęcia. Dała się unosić przez szumiący jak rzeka wiatr. W ciągu paru minut jeszcze raz dotarła na brzeg wodospadu. Drżała, przeszywał ją dreszcz niepokoju, chłód, który niemal wyrwał ją z tego transu.

Śniła, że ucieka przez rozległy podwodny krajobraz: korale o jasnym odcieniu i falujące wodorosty. Wśród zarośli czaił się kot; duży, większy niż tygrys. Skradał się w jej stronę. Widziała wielkie jak spodki oczy, które patrzyły na nią przez mroczne morze zza poruszających się łodyg morskich glonów. Słyszała jego mruczenie, jak prąd przenoszone przez wodę. Co jakiś czas przystawała, by napełnić jedną z żółtych misek pokarmem dla kotów, z nadzieją, że zatrzyma goniące ją zwierzę, wiedziała jednak, że kot nasyci się dopiero wtedy, gdy zatopi pazury w jej ciele.

Nagle obudziło ją uporczywe drapanie w zamknięte drzwi sypialni. Oszolomiona i półprzytomna nie mogła wyrwać się całkiem ze snu i po paru sekundach jeszcze raz się w nim pogłężyła.

O pierwszej w nocy na trzecim piętrze szpitala było tak cicho, że Harriet Gilbey, siostra przełożona na nocnej zmianie, miała uczucie, jak gdyby znajdowała się w bunkrze wojskowym usytuowanym z dala od ludzkich zabudowań. Jedyne dźwięki wokół niej to szmery, jakie wydobywały się z przewodów centralnego ogrzewania, i sporadyczne skrzypnięcia pielęgniarskich butów na wypolerowanej do połysku podłodze.

Harriet — niska, ładna, schludnie ubrana Murzynka — siedziała w dyżurce pielęgniarek i wpisywała dane do kart pacjentów, kiedy przeraźliwy krzyk zakłócił spokój trzeciego piętra.

Podniosła się z biurka i pośpieszyła w ślad za przenikliwym głosem, który dobiegał z pokoju 316. Pchnięciem otworzyła drzwi, wpadła do środka i zapaliła górne światło. Krzyk ucichł równie nagle, jak się zaczął.

Dziewczynka nazwana Jane Doe leżała w łóżku na wznak, jedną ręką osłaniała twarz, jak gdyby broniła się przed uderzeniem, drugą zacisnęła na oparciu łóżka. Skopane prześcieradło i koc, bezładnie splecione, leżały w nogach pościania; szpitalna koszula nocna owinęła się wokół jej bioder. Rzuciła gwałtownie głową z boku na bok, sapiąc, broniąc się przed wymagowanym napastnikiem:

— Nie... nie... nie... Nie! Proszę, nie zabijaj mnie! Nie!

Łagodnym, opanowanym głosem i delikatnymi gestami Harriet próbowała uspokoić dziewczynkę. Z początku Jane opierała się wszelkim działaniom, stopniowo jednakże otrząsnęła się z koszmaru i uciszyła.

Inna pielęgniarka, Kay Hamilton, pojawiła się u jej boku.

— Co się stało? Obudziła chyba pół piętra.

— To tylko zły sen — odrzekła Harriet.

Zaspana Jane zamrugała oczami.

— Próbowала mnie zabić.

— Już cicho — powiedziała Harriet. — To tylko sen. Nikt cię tu nie skrzywdzi.

— Sen? — zamruczała Jane. — Och. Tak. Tylko sen. Co za sen.

Nocna koszula dziewczynki i skotłowane prześcieradło były wilgotne od potu. Harriet i Kay zmieniły pościel.

Jane znów poddała się działaniu środka uspokajającego, odwróciła na bok i zasnęła; nawet się uśmiechała.

— Sprawia wrażenie, jakby przełączyła się na lepszy kanał — zauważyła Harriet.

— Biedne dziecko. Po tym, co przeszła, należy jej się przynajmniej porządny odpoczynek.

Patrzyły na nią przez chwilę, po czym wyszły z pokoju, wyłączając światło i zamykając drzwi.

Już sama, pogrążona głęboko w innym śnie, Jane wzdychała, uśmiechała się, chichotała cicho.

— Siekiera — szeptała. — Siekiera. O, siekiera. Tak... tak.

Jej palce lekko się zgięły, jakby ścisnęły jakiś pokaźny, lecz niewidzialny przedmiot.

— Siekiera — szeptała, a słowo odbijało się cichutkim echem w ciemnym pokoju.

Łup!

Carol biegła przez olbrzymi salon po wschodnim dywanie, potrącając stojące na drodze meble.

Łup! Łup!

Minęła sklepione przejście do długiego korytarza i skierowała się do schodów prowadzących na drugie piętro. Gdy spojrzała za siebie, nie było nic, tylko czarna jak smoła pustka, w której jakiś srebrzysty przedmiot migotał to tu, to tam, to tu, to tam...

Łup!

Nagle przyszło olśnienie; uświadomiła sobie, czym jest połyskujący przedmiot — to siekiera. Ostrze siekiery. Połyskujące, kiedy huśtało się tam i z powrotem.

Łup... łup-łup...

Jęcząc, wspięła się po schodach na drugie piętro.

Łup... łup...

Co jakiś czas dolatywał do niej dźwięk, jaki wydaje metal uderzający w drewno — suchy, rozłupujący — a także odgłos ostrza zagłębiającego się w substancję o wiele delikatniejszą, w coś mokrego i miękkiego.

Ciało?

Łup!

Carol westchnęła przez sen, obróciła się niespokojnie, zrzuciła z siebie koldrę.

Potem biegła przez gęstą mgłę. Na wprost niej drzewa. Z tyłu — pustka. I siekiera. Siekiera.

ROZDZIAŁ 6

W piątek rano deszcz przestał padać, ale dzień był mglisty. Przez szpitalne okna docierało zimowe, ponure światło.

Jane niewiele pamiętała z przeżyć minionej nocy, zarówno tych na jawie, jak i we śnie.

Obudził ją przerażający sen, pielęgniarki uspokajały ją, zmieniały pościel i przepoconą koszulę; przypomniała sobie tylko tyle, żadnych szczegółów.

Nadal nie wiedziała, jak się naprawdę nazywa i skąd pochodzi. Sięgała pamięcią nie dalej niż do wczorajszego wypadku, najwyżej kilka minut przed nim, tam jednak gdzie powinna znajdować się jej przeszłość, ziała pustka.

Przy śniadaniu przeczytała artykuł w jednym z czasopism, które kupiła dla niej Carol. Jane z niecierpliwością oczekiwała następnego spotkania z tą kobietą. Doktor Hannaport i pielęgniarki

— cóż, sympatyczni, lecz nikt tak dobrze na nią nie wpływał jak Carol Tracy. Z niewiadomych jej przyczyn czuła się bezpieczniej, odprężona i mniej wystraszona swoją amnezją, kiedy przebywała z nią doktor Tracy. Może ludzie właśnie to mają na myśli, kiedy twierdzą, że lekarz ma dobre podejście do chorego.

Zaraz po dziewiątej, kiedy Paul jechał autostradą w kierunku centrum, żeby dostarczyć nowy komplet wypełnionych formularzy do biura Alfreda O'Briana, silnik pontiaca zgasł. Nie parskał, nie krztusił się, po prostu tłoki przestały pracować. Kiedy samochód wytracał szybkość, zablokował się układ kierowniczy. Z obu stron samochody jechały z prędkością większą niż dozwolona, zwłaszcza przy takiej pogodzie. Paul manewrował przez dwa pasy, w kierunku prawego skraju jezdni. W każdej sekundzie oczekiwał pisku hamulców i czuł już, jak zderza się z innym wozem, ale, co zdumiewające, zdołał uniknąć kolizji. Zmagając się z kierownicą, doprowadził pontiaca do zatoczki.

Odchylił się w tył na siedzeniu i zamknął oczy, czekając, aż odzyska panowanie nad sobą.

Kiedy ochłonął, przekręcił kluczyk w stacyjce, ale zapłon nie zareagował; akumulator nie miał energii. Spróbował jeszcze parę razy, potem dał za wygraną.

Zjazd z autostrady znajdował się powyżej, a stacja obsługi — niecałą przecznicę stąd. Paul doszedł tam w dziesięć minut.

Warsztat pełen był klientów i właściciel nie mógł wysłać swojego pomocnika — chłopaka imieniem Corky, wysokiego, rudowłosego i o szczerym spojrzeniu — dopóki strumień oczekujących nie zmalał do małej strużki, tuż przed dziesiątą. Potem Paul i Corky podjechali ciężarówką-holownikiem do unieruchomionego pontiaca.

Próbowali zapalić silnik z rozpędu, ale akumulator nie mógł utrzymać napięcia, więc odholowali samochód na stację.

Corky obiecał uruchomić wóz w ciągu pół godziny, sądząc, że wystarczy zmienić akumulator, jednak awaria była poważniejsza — uszkodzenie układu elektrycznego — i czas naprawy znacznie się wydłużył.

I tak Paul został uziemiony na trzy godziny. Wreszcie, o pierwszej trzydzieści, zaparkował przywróconego do życia pontiaca przed biurem agencji adopcyjnej.

Alfred O'Brian wyszedł z holu recepcji, żeby przywitać Paula. Miał na sobie świetnie skrojony brązowy garnitur, starannie wyprasowaną kremową koszulę, beżową chusteczkę w kieszonce na piersiach marynarki i dokładnie wypolerowane brązowe buty. Wziął podanie z zastrzeżeniem, że nie może obiecać, iż uda mu się dopełnić wszystkich formalności przed najbliższym posiedzeniem komisji.

— Postaramy się zrobić, co w naszej mocy — zapewniał Paula. — Przecież tyle panu zawdzięczam! Jednak na niektóre sprawy nie mamy większego wpływu. Uzależnieni jesteśmy od ludzi spoza naszego biura, którzy przeprowadzają weryfikacje, a więc musimy zastosować się do ich rozkładu zajęć. Prawdopodobnie podanie państwa trafi dopiero na drugie wrześniowe posiedzenie. Strasznie mi przykro z tego powodu, panie Tracy, bardziej niż mogę wyrazić. Naprawdę. Gdyby nie zaginęły państwa dokumenty we wczorajszym bałaganie...

— Proszę się tym nie martwić — poprosił Paul. — To nie pana wina. Carol i ja czekamy już tak długo na adopcję dziecka, że dwa tygodnie nie mają większego znaczenia.

— Kiedy dokumenty państwa trafią do komisji, sprawy potoczą się szybko i przybiorą pozytywny obrót — oświadczył O'Brian. — W swojej praktyce nigdy nie zetknąłem się z małżeństwem, które bardziej nadawałoby się do roli rodziców niż państwo. I to zamierzam powiedzieć komisji.

— Doceniam to — odrzekł Paul.

— Jeśli nie zdążymy na środowe posiedzenie, a zapewniam, że zrobimy, co w naszej mocy, nastąpi tylko nieznaczne opóźnienie. Nie ma powodu do niepokoju. Po prostu pech.

Doktor Brad Templeton był świetnym weterynarzem. Jednak według Grace, biorąc pod uwagę jego wygląd, bardziej pasował do wiejskiej praktyki, gdzie leczyłby konie i zwierzęta gospodarskie niż koty czy psy. Był potężnym mężczyzną mającym ponad metr dziewięćdziesiąt i ważącym powyżej stu kilogramów, o rumianej, przyjemnej twarzy. Gdy wyciągnął Arystofanesa z podróznego koszyka, kot przypominał maskotkę w jego olbrzymich dłoniach.

— Nie wygląda na schorowanego — powiedział Brad, sadzając Ariego na stole.

— Dzieje się z nim coś dziwnego: niszczy meble, psoci, wspina się, gdzie popadnie, czego nigdy przedtem nie robił — wyjaśniała Grace.

Brad zbadał Ariego, szukając powiększonych gruczołów i opuchniętych stawów. Kot bez protestów poddawał się wszelkim zabiegom, włącznie z mierzeniem temperatury.

— Nie ma powodu do niepokoju.

— Ale coś jest nie tak — upierała się Grace.

Arystofanes zamruczał, przekręcił się na grzbiet, dopraszając się pieścizot.

Brad pogłaskał go i został nagrodzony głośniejszym mruknięciem.

— Przestał jeść?

— Nie — odparła Grace. — Cały czas ma apetyt.

— Wymioty?

— Nie.

— Biegunka?

— Nie. Nic z tych rzeczy. Po prostu jest... inny. Nie taki jak przedtem. Niepokoi mnie jego stan psychiczny, nie fizyczny. Niszczy sprzęty i załatwia się na fotel. Wdrapuje się na najwyższe meble. A ostatnio wciąż się podkrada, chowa przede mną i obserwuje mnie, kiedy myślę, że go nie widzę.

— Wszystkie koty się podkradają. — Brad zmarszczył brwi. — Taka już natura tych bestii.

— Ari nie miał takiego zwyczaju — odrzekła Grace. — W każdym razie w ciągu ostatnich paru dni bardzo się zmienił. Nie jest już taki przymilny jak do tej pory. Nie chce, żeby go pieścić ani przytulać.

Wciąż marszcząc brwi, Brad spojrzał na Grace.

— Moja droga, spójrz tylko na niego.

Ari dalej leżał na grzbiecie. Wyraźnie był zadowolony z uwagi, jaką mu poświęcano, i z głaskania po brzuchu. Uderzał ogonem o stalowy stół. Podniósł jedną łapę i dla żartu uderzał nią w dużą, twardą dłoń doktora.

— Wiem, co pan myśli. Jestem starą kobietą. Stare kobiety miewają śmieszne pomysły —powiedziała Grace, wzdychając.

— Nie. Nic takiego nie pomyślałem.

— Stare kobiety są obsesyjnie przywiązane do swoich zwierzaków, bo czasem to jedyni ich towarzysze, jedyni prawdziwi przyjaciele.

— Jestem przekonany, że to nie dotyczy pani, Grace. Ma pani przecież tylu przyjaciół w tym mieście. Ja tylko...

Uśmiechnęła się i poklepała go po policzku.

— Proszę tak energicznie nie zaprzeczać, Brad. Wiem, co panu przemknęło przez myśl.

Niektóre stare kobiety tak boją się utracić swojego zwierzaka, że oznaki choroby widzą tam, gdzie ich nie ma. Pana reakcja jest zrozumiała. Nie obrażam się. Ale martwię się, bo wiem, że Ariemu coś dolega.

Brad znów spojrzął na kota, ciągle drapiąc go po brzuchu, i spytał:

— Czy karmi go pani w ten sam sposób?

— Tak. Dostaje tę samą kocią karmę, o tych samych porach dnia i w tej samej ilości jak zawsze.

— Czy producent zmieniał ostatnio skład karmy?

— To znaczy?

— Czy na przykład na opakowaniu pojawił się napis „nowość” albo „bogatszy smak”?

Pomyślała nad tym przez chwilę, potem potrząsnęła głową.

— Chyba nie.

— Czasem, kiedy zmieniają recepturę, dodają nowy konserwant albo barwnik lub polepszacz smaku, niektóre koty reagują na to alergią.

— Ale to przecież reakcja fizyczna, prawda? A jak mówiłam, u Ariego zaobserwowałam zmianę osobowości.

Brad pokiwał głową.

— Z pewnością pani wie, że niektóre składniki żywności mogą powodować zmiany w zachowaniu hiperaktywnych dzieci. Leczenie polega na wyeliminowaniu z pożywienia niepożądanego składnika. Zwierzęta mogą reagować podobnie. Z tego, co wiem od pani, Arystofanes bywa sporadycznie hiperaktywny i może reagować na nieznaczną zmianę w składzie pokarmu dla kotów. Proszę przestawić go na inny rodzaj, poczekać tydzień, aż jego organizm się oczyści, a prawdopodobnie znów będzie starym Arim.

— A jeśli nie?

— Wtedy proszę go przynieść i zostawić u mnie na parę dni, a je go gruntownie przebadam.

Radzę jednak przede wszystkim zmianę diety, zanim zaczniemy naprawdę się martwić i wydawać pieniądze.

Stara się być wyjątkowo sympatyczny — pomyślała Grace. — Po prostu rozpieszcza starą damę.

— Dobrze. Spróbuję karmić go czymś innym. Ale jeśli w ciągu tygodnia nic się nie zmieni, poproszę o zrobienie kompletu badań.

— Oczywiście.

— Muszę wiedzieć, co się z nim stało.

Na stole ze stali nierdzewnej Arystofanes mrucał, radośnie machał długim ogonem i wyglądał denerwująco normalnie.

Później, w domu, tuż za drzwiami wejściowymi, kiedy Grace odpięła wieko wyściełanego koszyka podróżnego i podniosła je, Arystofanes wyskoczył z zamknięcia z sykiem i prychnieniem, ze zjeżonym futrem, położonymi uszami i dzikim wzrokiem. Zadrapał jej dłoń pazurami i miauknął, kiedy strąsnęła go z siebie. Pomknął korytarzem, zniknął w kuchni, gdzie przez specjalnie dla niego zrobione wyjście czmychnął na podwórze.

Zaszokowana Grace gapiała się na dłoń. Pazury Ariego zrobiły trzy krótkie bruzdy, które po chwili zaczęły krwawić.

W piątek o pierwszej po południu Carol przyjęła ostatnią pacjentkę — Kathy Lombino, piętnastoletnią dziewczynkę stopniowo wychodzącą z anoreksji. Pięć miesięcy temu, kiedy po raz pierwszy przyprowadzono ją do Carol, Kathy ważyła zaledwie trzydzieści siedem kilogramów, co najmniej piętnaście poniżej normy. Balansowała na krawędzi śmierci głodowej. Czuliła wstręt na sam widok pokarmów, a nawet myśl o jedzeniu. Stawiano ją przed lustrem, sądząc, że żaloszny widok wychudzonego ciała wpłynie na zmianę jej postawy. Niestety, nie dawała się przekonać, twierdziła, że jest gruba. Teraz ważyła czterdzieści pięć kilo, wciąż zbyt mało, ale przynajmniej nie istniało już niebezpieczeństwo zgonu. Utrata szacunku oraz zaufania do samego siebie niemal zawsze są przyczyną anoreksji, a Kathy znów zaczynała się lubić — pewny znak, że weszła na drogę prowadzącą znad przepaści. Nie odzyskała jeszcze normalnego apetytu, ale rozumiała, że powinna jeść, nawet jeśli nie ma na to chęci. Do pełnego wyzdrowienia było jeszcze daleko, lecz najgorsze miała za sobą; z czasem znów jedzenie zacznie sprawiać jej przyjemność. Wyniki leczenia Kathy dostarczały Carol niemałej satysfakcji, a dzisiejsza sesja potwierdzała, że zachodzi pewien postęp.

Kilka minut później, o drugiej, Carol pojechała do szpitala. W kiosku z upominkami kupiła talię kart i miniaturową szachownicę z figurkami wielkości pięciocentówek.

Na górze, w 316, grał telewizor, a Jane czytała czasopismo. Podniosła wzrok, kiedy weszła Carol i powiedziała:

— Pani naprawdę przyszła.

— Obiecałam ci, prawda?

— Coś pani przyniosła.

— Karty, szachy. Sądzę, że pomogą ci zabić nudę.

— Przecież prosiłam, żeby mi pani nic nie kupowała.

— Hej, a czy ja twierdzę, że ci je daję? W żadnym razie. Ja ci je pożyczam, dziecinko.

I oczekuję zwrotu. I niech będą w równie dobrym stanie jak teraz, bo pozwę cię do Sądu Najwyższego i zażądam zadośćuczynienia za szkody.

Jane wyszczerzyła zęby.

— Ależ z pani twardziel.

— Jem gwoździe na śniadanie.

— Nie wchodzą pani w zęby?

— Wyciągam je szczypcami.

— Czy je pani też drut kolczasty?

— Nigdy na śniadanie. Od czasu do czasu na lunch.

Obie się roześmiały, a Carol spytała:

— A zatem, czy grasz w szachy?

— Nie wiem. Nie pamiętam.

— A w karty?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

— Nic ci się jeszcze nie przypomniało?

— Nic a nic.

— Nie martw się. Przypomni się.

— Moi bliscy też się nie pokazali.

— Cóż, upłynął dopiero jeden dzień. Daj im trochę czasu. Za wcześnie jeszcze, aby się tym martwić.

Rozegrały trzy partie szachów. Jane pamiętała wszystkie reguły, ale nie mogła sobie przypomnieć, gdzie albo z kim grała wcześniej.

Popołudnie szybko minęło, a Carol cieszyła się każdą jego minutą. Jane była czarująca, bystra, obdarzona świetnym poczuciem humoru. Grała tak, żeby wygrać, ale nie robiła kwaśnej miny w razie przegranej. Była dobrym kompanem.

Dziewczynka była tak urocza i sympatyczna, że Carol nie mogła zrozumieć, iż nikt jeszcze jej nie szuka.

Musi mieć przecież jakąś rodzinę, która ją kocha — myślała. — Teraz pewnie szaleją z rozpaczy. Prędzej czy później dowiedzą się, że ich dziecko znaleziono żywe, i odczują ulgę.

Ale dlaczego to trwa tak długo? Gdzie oni są?

Dzwonek u drzwi odezwał się dokładnie o trzeciej trzydzięci. Paul otworzył i zobaczył bladego, siwowłosego mężczyznę około pięćdziesiątki. Miał szare spodnie, jasnoszarą koszulę i ciemnoszary sweter.

— Pan Tracy?

— Tak. Jest pan z firmy „Bezpieczne domy”?

— Zgadza, się — odparł „szary” człowiek. — Nazywam się Bill Alsgood. „Bezpieczne domy” to ja. Założyłem tę firmę dwa lata temu.

Wymienili uścisk dłoni i Alsgood wszedł do przedpokoju, z zainteresowaniem rozglądając się po wnętrzu.

— Przyjemny domek. Miał pan szczęście, że mogłem przyjść już dzisiaj. Zwykle klienci czekają co najmniej trzy doby. Szczęśliwy zbieg okoliczności — ktoś odwołał wizytę.

— Jest pan inspektorem budowlanym? — spytał Paul, zamykając drzwi.

— Inżynierem budowlanym, jeśli mam być ścisły. Do zadań naszej firmy należy wycenianie i ekspertyza domów przed ich sprzedaniem; zwykle na polecenie kupującego. Staramy się uchronić go przed zrobieniem złego interesu. Oglądamy domy pod kątem przeciekających dachów, zalanych piwnic, rozpadających się fundamentów, wadliwej instalacji, złej kanalizacji i tak dalej. Pan sprzedaje czy kupuje?

— Ani to, ani to. Jesteśmy z żoną właścicielami tego domu i nie chcemy go sprzedawać.

Jednak mamy z nim kłopot, a ja nie mogę sprecyzować, na czym on polega. Pomyślałem, że pan mógłby mi pomóc.

Alsgood podniósł jedną z siwych brwi.

— Jeśli wolno mi coś poradzić, to potrzebuje pan dobrego fachowca, który zlokalizuje usterkę i dokona naprawy. My nie zajmujemy się remontami, tylko robimy oględziny.

— Mam tego świadomość. Sam jestem dość dobrym fachowcem, ale to przekracza moje możliwości. Potrzebuję porady eksperta, jakiej żaden rzemieślnik mi nie udzieli.

— Pamiętaj pan, że bierzemy dwieście pięćdziesiąt dolarów za poradę?

— Oczywiście — przytaknął Paul. — Sprawa jest niezwykle denerwująca i obawiam się, że mogą wystąpić poważne uszkodzenia konstrukcyjne.

— A więc słucham pana.

Paul opowiedział o hałasach, które od czasu do czasu wstrząsały domem.

— Dziwne — powiedział Alsgood. — Nigdy nie słyszałem o podobnych kłopotach.

Przez moment zastanawiał się, potem powiedział:

— Gdzie znajduje się piec?

— W piwnicy.

— Może mamy do czynienia z uszkodzeniem przewodów grzewczych. Mało prawdopodobne, ale od czegoś trzeba zacząć i stopniowo przechodzić aż do dachu, aby znaleźć przyczynę.

Przez następne dwie godziny Alsgood zaglądał w każdą szczelinę domu, grzebał, sondował, opukiwał i badał wzrokiem całe wnętrze, aż do dachu, a Paul chodził za nim jak cień, pomagając w miarę możliwości. Kiedy byli na dachu, zaczęło mżyć i obaj przemokli do suchej nitki, zanim skończyli pracę. Schodząc z drabiny, Alsgood tak nieszczęśliwie stąpnął na zalany wodą trawnik, że boleśnie skręcił kostkę. Całe to ryzyko i uciążliwości na nic się nie zdały, ponieważ nie znaleźli tego, czego szukali.

Siedząc w kuchni i rozgrzewając się kawą, Alsgood pisał ekspertyzę. Mokry, zziębnięty wyglądał jeszcze biedniej niż wtedy, gdy Paul otworzył mu drzwi. Jego szare ubranie deszcz przeistoczył w coś przypominającego uniform roboczy.

— To zdecydowanie solidny dom, panie Tracy. Naprawdę w świetnym stanie.

— Więc skąd, do diabła, bierze się ten dźwięk? I dlaczego cały dom trząsał się od niego?

— Chciałbym to usłyszeć.

— Miałem nadzieję, że będzie się pan sam mógł przekonać.

Alsgood sączył kawę, ale ciepły napar nie dodał koloru jego policzkom.

— Konstrukcji pańskiego domu nic nie można zarzucić. I to napisałem w sprawozdaniu, dając gwarancję.

— Ja jednak wracam do punktu wyjścia — upierał się Paul.

— Przykro mi, że będzie pan musiał wydać tyle pieniędzy, nie uzyskując odpowiedzi na pytanie — odezwał się Alsgood. — Naprawdę jest mi głupio z tego powodu.

— To nie pana wina. Jestem przekonany, że wykonał pan pracę sumiennie. A jeśli kiedyś będę kupował inny dom, na pewno zgłoszę się do pana po ekspertyzę. Teraz przynajmniej wiem, że problem nie leży w konstrukcji, co eliminuje wiele przypuszczeń i ogranicza pole poszukiwań.

— Może pan już nic nie usłyszy. Może to skończy się tak szybko, jak się zaczęło.

— Mam niejasne podejrzenia, że się pan myli.

Później, żegnając się, Alsgood nagle powiedział:

— Przyszła mi do głowy pewna myśl, ale waham się, czy w ogóle o niej wspominać.

— Dlaczego?

— Nie wiem, co by pan o mnie pomyślał.

— Panie Alsgood, jestem u kresu wytrzymałości. Pragnę wyjaśnienia, nieważne, jak dziwacznie będzie brzmieć.

Alsgood spojrzał na sufit, potem na podłogę, potem na korytarz za Paulem i na własne stopy.

— Duch — szepnął.

Paul spojrzał na niego zdumiony.

Alsgood nerwowo odchrząknął, przeniósł wzrok na podłogę, potem podniósł oczy i napotkał wzrok Paula.

— Pan może nie wierzy w duchy.

— A pan? — spytał Paul.

— Wierzę. Już od bardzo dawna interesuje mnie to zagadnienie. Mamy pokaźny zbiór publikacji dotyczących spirytyzmu. Widziałem także domy nawiedzane przez duchy.

— Widział pan ducha?

— Myślę, że tak. Cztery razy. Widma ektoplazmatyczne. Niematerialne, zbliżone kształtami do ludzkich, unoszące się w powietrzu. Dwa razy byłem też świadkiem działalności poltergeistów. A jeśli chodzi o ten dom... — Głos mu się załamał i Alsgood nerwowo obliznął wargi. —

Jeśli pan uważa to za nudne albo niedorzeczne, nie chciałbym zajmować czasu.

— Mówiąc całkiem szczerze, nie sądzę, aby był tu potrzebny egzorcysta. Ciężko mi zaakceptować, że w grę wchodzi duchy, lecz chciałbym pana posłuchać.

— Dość rozsądnie — ocenił Alsgood. Po raz pierwszy na jego bladej twarzy pojawiły się rumieńce, a w wodnistych oczach iskierka entuzjazmu. — W porządku. Trzeba zwrócić uwagę na parę rzeczy. Z tego, co pan mi powiedział, wnioskuję, że możemy mieć do czynienia z poltergeistem. Co prawda nie był pan świadkiem przemieszczania się czy niszczenia rzeczy, ale wstrząsy i uderzanie o siebie naczyń to wystarczające dowody na obecność poltergeista. Zaczyna wypróbowywać swoją moc. Jeśli to z nim mamy do czynienia, może pan oczekiwać najgorszego: poruszających się mebli, spadających ze ścian obrazów, urywających się i rozbijających lamp, fruujących półmisek. — Jego blade oblicze płonęło z podniecenia, kiedy wyliczał kolejne zniszczenia. — A do tego lewitacja ciężkich przedmiotów, takich jak kanapy, łóżka i lodówki. Myślę, że mamy tu do czynienia z działaniem łagodnych poltergeistów, które co prawda niewiele niszczą, ale nękają częstą obecnością. Jeśli oczywiście one są powodem pańskich zmartwień. — Coraz bardziej zapalał się do tematu. — Nawet najłagodniejszy poltergeist może całkiem dezorganizować gospodarstwo domowe, zakłócać sen i trzymać w ciągłym napięciu.

Przerażony tym, co usłyszał od Alsgooda, i osobliwym blaskiem w jego oczach, Paul powiedział:

— Cóż... hm... w rzeczywistości nie jest tak źle. Wcale nie tak źle. Tylko odgłos stukania i...

— Jeszcze nie tak źle — rzekł Alsgood posępnie. — Jeśli jednak mamy do czynienia z poltergeistem, sytuacja może się raptownie pogorszyć. Nie widział pan żadnego poltergeista w akcji, panie Tracy, więc nie jest pan w stanie uświadomić sobie powagi sytuacji.

Paul był zaniepokojony zmianą, jaka dokonana się w tym człowieku. Miał uczucie, jakby otworzył drzwi do prawdziwej osobowości pozornie zdrowo wyglądającego osobnika, która okazała się wylęgarnią świrowatych pomysłów.

— A jeśli okaże się, że to poltergeist — ciągnął Alsgood — i sprawy przyjmą poważny obrót, proszę natychmiast mnie wezwać. Miałem już to szczęście być świadkiem obecności dwóch poltergeistów, jak panu wspomniałem. Niczego bardziej nie pragnę, niż zobaczyć trzeciego. Nieczęsto zdarza się taka okazja.

— I ja tak sądzę — odparł Paul.

— Więc wezwie mnie pan?

— Wątpię, czy mamy tu do czynienia z poltergeistem, panie Alsgood. Jeśli wszystko sprawdzę wolno i starannie, znajdę logiczne wyjaśnienie tego, co się dzieje. Gdyby jednak okazało się, że to rzeczywiście jakiś złośliwy duch, obiecuję zadzwonić po pana w chwili, gdy pierwszy sprzęt zacznie lewitować.

Alsgood, udając, że nie słyszy kpiny w głosie Paula, powiedział:

— Właściwie nie powinienem oczekiwać, że potraktuje pan poważnie moje słowa.

— O, proszę nie myśleć, że nie jestem wdzięczny za...

— Nie, nie. — Alsgood uciszył go ruchem ręki. — Rozumiem. Bez obrazy. — Podniecenie zniknęło z jego wodnistych oczu. — Wychowywano pana w przekonaniu, że trzeba ściśle wierzyć nauce; w rzeczy, które można zobaczyć i zmierzyć, których można dotknąć. Taki nowoczesny styl. — Przygarbił się. Rumieniec znikł z twarzy, a skóra ponownie stała się blada, szarawa i matowa. — Prosić pana, by okazał pan otwartość umysłu na sprawy nadprzyrodzone, jest równie bezcelowe, jak opowiadać rybie mieszkającej w morskiej głębi o istnieniu ptaków. Smutne to, ale prawdziwe, jednak nie mam panu tego za złe. — Otworzył drzwi wejściowe, odgłos padającego deszczu nasilił się. — W każdym razie, przez wzgląd na pana, mam nadzieję, że to nie poltergeist. Życzę panu, aby znalazł pan owo logiczne wyjaśnienie, którego pan szuka. Naprawdę szczerze tego panu życzę, panie Tracy.

Zanim Paul zdołał odpowiedzieć, Alsgood odwrócił się i wyszedł. Nie wyglądał już na zapaleńca ogarniętego pasją. Był po prostu szczupłym, szarym człowiekiem, powłóczącym nogami w szarej mgłę, z lekko pochyloną głową, na którą padał deszcz; sam wydawał się niemal duchem.

Paul zamknął drzwi, oparł się o nie plecami i rozejrzał po holu. Poltergeist? Chyba niezbyt paskudny.

Wolał inną wersję Alsgooda: stukanie może skończyć się równie nagle i niewytłumaczalnie, jak się zaczęło, a przyczyna pozostanie na zawsze nieznana.

Spojrzał na zegarek. Szósta zero sześć po południu.

Carol mówiła, że zostanie w szpitalu do ósmej i wróci do domu na późną kolację. Miał ponad godzinę, aby popracować nad powieścią.

Poszedł na górę do gabinetu i usiadł przy maszynie do pisania. Podniósł ostatnią napisaną kartkę, by przeczytać ją kilka razy i wczuć się w historię, którą opisywał.

ŁUP! ŁUP!

Dom zatrzęsł się. Szyby zabrzęczały.

Zerwał się z krzesła.

ŁUP!

Dzbanek pełen piór i ołówków przewrócił się, pękł na kilka kawałków, a zawartość rozsypała się po podłodze.

Cisza.

Czekał. Minutę. Dwie.

Nic.

Słychać było jedynie uderzenie deszczu o szyby i bębnienie o dach.

Tym razem tylko trzy stuknięcia. Mocniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Ale tylko trzy.

Miał uczucie, jak gdyby ktoś bawił się z nim, drażnił go.

Krótko przed północą dziewczynka z pokoju 316 cicho zaśmiała się przez sen.

Za oknem szalała burza, a ciemność nocy co jakiś czas rozświetlały błyskawice.

Dziewczynka przekręciła się na brzuch, nie budząc się i mamrocząc coś do poduszki.

— Siekiera — powiedziała z tęsknym westchnieniem. — Siekiera...

Wraz z wybiciem północy, zaledwie czterdzieści minut po zaśnięciu, Carol zerwała się na równe nogi, drżąc gwałtownie. „To nadchodzi! To nadchodzi!” — usłyszała czyjś głos. Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w ciemny pokój, aż zdała sobie sprawę, że ten ściśnięty paniką głos należy do niej samej.

Nie mogąc znieść ciemności ani sekundy dłużej, rozpaczliwie zaczęła szukać włącznika lampki nocnej. Poczowała ulgę, gdy nacisnęła przycisk.

Światło nie przeszkadzało Paulowi. Zamruczał coś przez sen, ale się nie obudził.

Carol oparła się o podglówek i słuchała walenia własnego serca, które stopniowo zwalniało do normalnego tempa.

Miała lodowate ręce. Włożyła je pod kołdrę i zwinęła pięści, by zatrzymać ciepło.

Te koszmary muszą się skończyć — powiedziała do siebie. — Nie mogę co noc przez to przechodzić. Potrzebuję snu.

Może brak urlopu, zbyt intensywna praca, silny stres, w jakim ostatnio się znajdowała (nierozstrzygnięta kwestia adopcji, niemal tragiczne wydarzenia w biurze O'Briana, wypadek z Jane, amnezja dziewczynki, za którą czuła się odpowiedzialna...), nerwowe życie są przyczyną nocnych koszmarów. Tydzień w górach, z dala od codziennych problemów, wydawał się idealnym lekarstwem.

W dodatku, jakby wszystkiego było za mało, zbliżał się dzień urodzin jej dziecka, które oddała do adopcji. To za tydzień minie szesnaście lat, odkąd zrzekła się do niego praw. Już teraz czuła ciężar winy, a gdy nadejdzie ten dzień, popadnie w depresję, jak zwykle. Tydzień w górach, z dala od codziennych problemów, może być idealnym lekarstwem także na tę dolegliwość.

W zeszłym roku ona i Paul kupili na raty domek letniskowy z akrem spękanej ziemi w górach. Przytulne miejsce — dwie sypialnie, łazienka, salon z dużym kominkiem i w pełni wyposażona kuchnia — samotnia, która łączyła wszelkie wygody cywilizacji z czystym powietrzem, cudownymi widokami i spokojem, jakiego nie ma w mieście.

Planowali, że spędzą tam przynajmniej co drugi weekend podczas lata, ale tylko w połowie zrealizowali zamierzenie. Paul ostro pracował nad powieścią, a ona przejęła opiekę nad większą liczbą pacjentów. Praca zaczęła przysłańać im wszystko. Może i byli ludźmi sukcesu, jak sugerował Alfred O'Brian.

Będzie inaczej, kiedy dostaniemy dziecko — mówiła sobie. — Dużo czasu poświęcimy na wypoczynek i na wspólne spacerunki, bo dobro dziecka postawimy na pierwszym miejscu.

Teraz, siedząc w łóżku, wspominając przerażający koszmar, postanowiła zmienić swoje życie od razu, od tej chwili. Wezmą kilka wolnych dni, może cały tydzień, i pojedą w góry jeszcze przed posiedzeniem komisji rekomendacyjnej, aby wypocząć i pozbierać się do czasu, gdy poznają przyznane im dziecko. Musi ułożyć nowy harmonogram wizyt dla pacjentów, poczekać, aż pojawią się rodzice Jane Doe, co powinno nastąpić lada dzień, i najpóźniej w przyszłym tygodniu wyrwać się na parę dni w góry. Rano od razu powie o tym Paulowi.

Podjąwszy decyzję, poczuła się lepiej. Perspektywa wakacji, nawet krótkich, w dużym stopniu poprawiła jej samopoczucie.

Spojrzała na Paula i powiedziała:

— Kocham cię.

Dalej pochrapywał cicho.

Uśmiechając się, wyłączyła światło i wśliznęła pod kołdrę. Przez parę minut słuchała deszczu i rytmicznego oddechu męża; potem zapadła w mocny, pokrzepiający sen.

Deszcz padał przez całą sobotę, kończąc ten monotonicznie wodnisty, pozbawiony słońca tydzień. Dzień także był chłodny, a wiatr pokazał, co potrafi.

W sobotnie popołudnie Carol odwiedziła Jane w szpitalu. Grały w karty i rozmawiały na temat przeczytanych artykułów. Przez cały czas Carol bacznie ją obserwowała, choć w sposób niezauważalny dla małej, mając nadzieję, że amnezja się cofa. Daremne nadzieje; przeszłość Jane pozostawała poza jej zasięgiem.

Pod koniec popołudniowych odwiedzin, kiedy Carol zmierzała do windy, spotkała w korytarzu doktora Sama Hannaporta.

— Czy policja jest na jakimś tropie? — spytała.

Wzruszył potężnymi ramionami.

— Jeszcze nie.

— To już ponad dwa dni od wypadku.

— To wcale niedługo.

— Dla tego biednego dziecka to wieczność — rzekła Carol, pokazując gestem na drzwi 316.

— Wiem — odparł Hannaport. — I podobnie jak pani czuję się nieswojo. Wciąż jednak za wcześnie, by tracić nadzieję.

— Jeśli byłaby to moja córka i jeśli zaginęłaby choćby na jeden dzień, postawiłabym na nogi policję i postarałabym się, do diabła, żeby cała ta historia znalazła się we wszystkich gazetach; dobijałabym się do wszystkich drzwi, narobiłabym hałasu na całe miasto.

Hannaport kiwnął głową.

— Wiem, że tak by pani postąpiła. Widziałem panią w akcji i podziwiam zaangażowanie.

Proszę posłuchać, sądzę, że pani wizyty u dziewczynki mogą bardzo podnieść ją na duchu.

Dobrze, że przebywa z nią pani tyle czasu.

— Nie uważam, abym robiła więcej, niż powinnam — odparła Carol. — Mam na myśli fakt, że jestem w pewien sposób odpowiedzialna za to, co się wydarzyło.

Obok przeszła pielęgniarka, prowadząc pacjenta. Carol i Hannaport zeszli jej z drogi.

— Jak sądzę, Jane przynajmniej jest w dobrej formie fizycznej — powiedziała Carol.

— Tak jak mówiłem pani w środę — nie odniosła poważnych obrażeń. I dlatego że jest w takim dobrym stanie, mamy problem. Prawdę mówiąc, nie nadaje się do szpitala. Mam tylko nadzieję, że jej rodzice zjawią się, zanim będę musiał ją wypisać.

— Wypisać ją? Ależ nie może pan tego zrobić, jeśli ona nie ma dokąd pójść. Nie można jej tak zostawić. Na litość boską, ona nawet nie wie, kim jest!

— Naturalnie zatrzymam ją tu tak długo, jak będę mógł, ale zwykle brakuje u nas wolnych łóżek. Jeśli przywiozą faceta z pękniętą w wypadku czaszką lub kobietę dźgniętą przez zazdrosnego przyjaciela, musi znaleźć się dla nich miejsce w szpitalu. Nie może go zajmować zdrowa dziewczynka.

— Ale jej amnezja...

— Tego jeszcze nie potrafimy leczyć.

— Ale ona nie ma dokąd pójść — powiedziała Carol. — Co się z nią stanie?

Spokojnym, cichym, budzącym zaufanie głosem Hannaport odparł:

— Nic jej nie będzie. Naprawdę. Nie wyrzucimy jej przecież na ulicę. Wystąpimy o wyznaczenie nadzoru sądowego, dopóki nie zgłoszą się jej rodzice. Do tego czasu równie dobrze może przebywać w jakimś zakładzie opiekuńczym.

— O którym zakładzie pan mówi?

— Trzy przecznice stąd znajduje się ochronka dla dziewcząt, które uciekły z domu lub są w ciąży. Czystsza i lepiej prowadzona niż przeciętna placówka państwowa.

— Polmar Home. Znam go.

— A zatem przyzna pani, że to bardzo przyzwoita placówka.

— Jednak jestem przeciwna przenoszeniu stąd Jane — upierała się Carol. — Poczuję się odtrącona i niechciana. I tak stąpa po niepewnym gruncie, a to może pogorszyć jej stan.

Marszcząc brwi, Hannaport odrzekł:

— I mnie niezbyt się to podoba, lecz nie mam innego wyjścia. Nie może zabraknąć miejsca w szpitalu dla tych najbardziej potrzebujących.

— Rozumiem, i nie winię pana. Do diabła, kiedy wreszcie ktoś przyjdzie i upomni się o małą!

— W każdej chwili możemy się tego spodziewać.

Carol potrząsnęła głową..

— Nie. Mam złe przeczucia. Powiedział pan już o tym Jane?

— Nie. Nie wystąpimy do sądu wcześniej niż w poniedziałek rano, więc mogę jeszcze zaczekać. Może do tego czasu sytuacja się wyjaśni i rozmowa nie będzie konieczna.

Carol dobrze pamiętała swój pobyt w podobnej placówce wychowawczej, dopóki nie zjawiała się Grace i nie zaopiekowała się nią. Była twardzielem, dzieckiem o sprycie ulicznika, życie jej nie przerażało. Jane była inteligentna, dzielna, silna i miła, ale nie była twardzielem. Co się z nią stanie, jeśli będzie musiała pozostać tam dłużej? Czy da sobie radę, przebywając między dziećmi z marginesu społecznego, mającymi styczność z narkotykami, sprawiającymi kłopoty wychowawcze? Jane stanie się ofiarą, może nawet spotka się z okrucieństwem. A ona potrzebowała prawdziwego domu, miłości, opieki...

— Oczywiście! — odezwała się i uśmiechnęła szeroko. — Czemuż nie miałyby pójść ze mną?

Hannaport spojrzał na nią zdziwiony.

— Co?

— Proszę posłuchać, doktorze Hannaport. Jeśli Paul, mój mąż, się zgodzi, mogłabym wystąpić do sądu o powierzenie mi nadzoru nad Jane, aż zjawi się ktoś z jej bliskich.

— Radzę dobrze to przemyśleć — powiedział Hannaport. — Biorąc ją, dezorganizuje pani sobie życie...

— To nie będzie dezorganizacja — oświadczyła Carol. — Tylko przyjemność. Ona jest wspaniałym dzieckiem.

Hannaport patrzył na nią przez chwilę badawczo.

— A w ogóle — przekonywała Carol, używając wszystkich środków perswazji — tylko psychiatra potrafi wyleczyć Jane z amnezji. Jak pan wie, ja jestem psychiatrą. Nie tylko będę w stanie stworzyć jej dom, ale także intensywnie ją leczyć.

Hannaport uśmiechnął się wreszcie.

— Myślę, że to wielkoduszna propozycja, doktor Tracy.

— Zarekomenduje pan nas w sądzie?

— Tak. Oczywiście, choć nigdy nie można mieć pewności, jaki będzie werdykt. Myślę jednak, że istnieje duża szansa, biorąc pod uwagę interes dziecka.

Parę minut później, w szpitalnym holu na dole, Carol zadzwoniła z automatu do Paula. Opowiedziała szczegółowo rozmowę, którą przeprowadziła z doktorem Hannaportem, ale zanim przeszła do konkretów, Paul przerwał:

— Chcesz zaopiekować się Jane — powiedział.

Zdumiona Carol spytała:

— Skąd wiesz?

Zaśmiał się.

— Znam cię, ślicznotko. Jeśli chodzi o dzieci, masz serce z budyniu waniliowego.

— Ona nie będzie wchodziła ci w drogę — szybko dodała Carol. — Nie przeszkodzi ci w pisaniu. A poza tym, skoro O'Brian nie może przedłożyć naszego podania o adopcję przed końcem miesiąca, nie znajdziemy się w sytuacji, że będziemy musieli opiekować się dwojgiem dzieci. A może ta nieprzewidziana zwłoka w agencji była nam pisana, abyśmy zaopiekowali się Jane, dopóki jej bliscy się nie zgłoszą. To tymczasowe, Paul. Naprawdę. A my...

— Dobra, dobra — odparł. — Nie musisz mnie przekonywać. Pochwalam ten plan.

— Mógłbyś najpierw przyjechać tutaj i poznać Jane, żeby...

— Nie, nie. Jestem pewny, że odpowiada dokładnie twojemu opisowi. Nie zapominaj jednak, że planowałaś za tydzień wybrać się w góry.

— Do tego czasu możemy już nie mieć Jane. W przeciwnym razie prawdopodobnie będziemy mogli zabrać ją z sobą.

— Kiedy musimy stawić się w sądzie?

— Nie wiem. Chyba w poniedziałek lub wtorek.

— Będę robił dobre wrażenie.

— Wyszorujesz się za uszami?

— Dobra. I włożę buty.

Szczerząc zęby, Carol poradziła mu:

— Nie dłub w nosie w obecności sędziego.

— Jeśli on nie zacznie dłubać pierwszy.

— Kocham cię, doktorze Tracy.

— Kocham cię, doktor Tracy.

Kiedy odłożyła słuchawkę, czuła się cudownie. Nawet jaskrawy wystrój poczekalni nie działał jej na nerwy.

Tej nocy w domu Tracych nie słyhać było walenia; nie grasował poltergeist, przed którym przestrzegał Paula pan Alsgood. Następnego dnia również panował spokój. Dziwne hałasy i wibracje skończyły się równie nagle, jak się zaczęły.

Zniknęły też koszmarne sny Carol. Spała mocno, spokojnie, nie budząc się do rana. Szybko zapomniała o srebrzystym ostrzu siekiery, huśtającym się tam i z powrotem w dziwnej próżni.

Pogoda także się poprawiła. Rozchmurzyło się w niedzielę, a w poniedziałek niebo było błękitne jak w lecie.

We wtorek po południu, kiedy Paul i Carol załatwiali w sądzie przyznanie tymczasowej opieki nad Jane Doe, Grace Mitowski sprzątała kuchnię. Skończyła właśnie odkurzanie, kiedy zadzwonił telefon.

— Halo.

Cisza.

— Halo — odezwała się znowu.

Słaby, przytłumiony męski głos powiedział:

— Grace...

— Tak? Nie mogę pana zrozumieć. Może pan mówić głośniej?

Próbował, ale słowa zanikały. Wydawały się dobiegać z olbrzymiej odległości, z niewyobrażalnie bezdennej otchłani.

— Strasznie złe połączenie. Musi pan mówić głośniej — prosiła.

— Grace — starał się, by go słyszała. — Gracie... może już za późno. Musisz... szybko działać. Musisz to zatrzymać... żeby znów... się nie stało. — Głos się załamał, zachrypiał. —

Już chyba... za późno... za późno...

Rozpoznała ten głos i zamarła. Zacisnęła rękę na słuchawce. Zaparło jej dech.

— Gracie... to nie może trwać wiecznie. Musisz... położyć temu kres. Chroń ją, Gracie.

Chroń ją...

Głos zanikał.

I nastąpiła cisza. Idealna cisza, bez syczenia, buczenia typowego dla łącz telefonicznych. Bezdenna cisza. Nieskończona.

Odłożyła słuchawkę.

Zaczęła się trząść.

Podeszła do kredensu i wyjęła butelkę szkockiej, którą trzymała dla gości. Nalała dużą porcję i usiadła przy stole kuchennym.

Alkohol nie rozgrzał jej, wciąż wstrząsały nią dreszcze.

Głos w telefonie należał do Leonarda. Jej męża. Ale on nie żył od osiemnastu lat.

CZĘŚĆ DRUGA

ZŁO CHODZI WŚRÓD NAS...

*Zło nie jest nieznanym bez twarzy,
mieszkającym w odległym sąsiedztwie.*

*Zło ma zdrową, znajomą twarz,
wesołe oczy i otwarty uśmiech.*

*Zło chodzi wśród nas; nosi maskę,
która wygląda jak twarze nas wszystkich.*

„Księga policzonych smutków”

ROZDZIAŁ 7

We wtorek, po przyznaniu im przez sąd tymczasowej opieki nad Jane Doe, Paul pojechał do domu, żeby pracować nad powieścią, a Carol zabrała dziewczynkę na zakupy. Jane nie miała żadnych ubrań poza tym, które nosiła owego pamiętnego dnia. Była zakłopotana faktem, że Carol wydaje na nią pieniądze, i z początku wzbraniała się przed kupieniem czegokolwiek.

Wreszcie Carol powiedziała:

— Kochanie, ubrania są ci potrzebne, więc proszę, odpręż się i wybieraj. Dobra? Pieniądze, które wydamy, najprawdopodobniej zwrócą mi twoi rodzice albo departament rodzin zastępczych.

Ten argument zadziałał. Szybko kupiły kilka par dżinsów, parę bluzek, bieliznę, parę solidnych tenisówek, skarpetki, sweter i wiatrówkę.

Kiedy dotarły do domu, Jane była pod wrażeniem budynku w stylu Tudorów, zachwyciły ją ołowiowe okna, spadzisty dach i kamienne ściany. Zakochała się w pokoju gościnnym, w którym ją ulokowano. Miał lekko zaokrąglony sufit, długie siedzisko ustawione w wykuszu okiennym i oszkloną lustrami szafę na całą ścianę. Utrzymany w tonacji błękitu i bladego beżu, z meblami z epoki królowej Anny, wykonanymi z drewna wiśniowego na wysoki połysk.

— Czy to tylko pokój gościnny? — spytała Jane z niedowierzaniem. — Nie korzystacie z niego na co dzień? Och, gdyby to był mój dom, przychodziłabym tu ciągle! Siadałabym i czytała, czytała i siedziała, tam w oknie, i chłonęła atmosferę.

Carol zawsze lubiła ten pokój, ale teraz, dzięki Jane, zaczęła doceniać go na nowo. Kiedy obserwowała dziewczynkę uchylającą drzwi szafy, sprawdzającą widok z każdego kąta, twardość materaca na królewskich rozmiarów łożu, zdała sobie sprawę, że jedną z zalet posiadania dzieci jest niewinność i świeżość ich reakcji. To sprawia, że rodzice pozostają młodzi i otwarci na świat.

Tego wieczora Carol, Paul i Jane przygotowywali kolację. Choć z natury nieco nieśmiała, dziewczynka natychmiast dostosowała się do tutejszych zwyczajów. W kuchni i przy stole jadalnym było dużo śmiechu.

Po kolacji Jane zaczęła zmywać naczynia, podczas gdy Carol i Paul sprząтали ze stołu. Kiedy przez moment zostali sami, Paul cicho powiedział:

— Ona jest wspaniałym dzieciakiem.

— A nie mówiłam?

— Śmieszna sprawa.

— Co?

— Od momentu gdy ją zobaczyłem dziś po południu przed salą sądową, nie opuszcza mnie uczucie, że już ją gdzieś widziałem.

— Gdzie?

Potrząsnął głową.

— Żebyś mnie zabiła, nie wiem. Ale w jej twarzy jest coś znajomego.

Przez całe wtorkowe popołudnie Grace czekała na telefon.

Drętwiała na myśl, że będzie musiała odebrać.

Poprzez działanie próbowała dać upust energii, która brała się ze zdenerwowania; sprzątała dom. Wyszorowała podłogę w kuchni, odkurzyła meble we wszystkich pokojach i wyczyściła dywany.

Nie mogła jednak przestać myśleć o tamtej rozmowie: głos suchy jak papier i zniekształcony echem, ale z pewnością należący do Leonarda; osobliwe rzeczy, które powiedział; niesamowita cisza, kiedy skończył mówić; niepokojące uczucie niezmiernie odległości, niewyobrażalnej otchłani czasu i przestrzeni...

To musiał być kawał. Ale kto za tym stoi? Dlaczego naśladuje głos Leonarda osiemnaście lat po jego śmierci? Jaki jest cel takich zabaw teraz, gdy minęło tyle czasu?

Aby nie myśleć, zabrała się do pieczenia jabłek w cieście. Duże soczyste jabłka — podawane z cynamonem, mlekiem i tylko odrobiną cukru — były jej ulubionym daniem na kolację.

Urodziła się i wychowała w Lancaster, w Pensylwanii, gdzie podawano je jako oddzielny posiłek. We wtorkowy wieczór nie miała jednak apetytu, nawet na jabłka w cieście. Przełknęła parę kęsów, dziobiąc je bezmyślnie widelcem, kiedy zadzwonił telefon.

Podsłoczyła. Gapiła się na aparat wiszący na ścianie.

Zadzwonił znów. I znów.

Drżąc, wstała, podeszła do telefonu i podniosła słuchawkę.

— Gracie...

Głos był słaby, lecz wyraźny.

— Gracie... już chyba za późno...

To był on. Leonard. Albo ktoś, kto mówił dokładnie jak on.

Nie mogła odpowiedzieć. Miała ściśnięte gardło.

— Gracie...

Nogi miała jak z waty. Wysunęła krzesło spod blatu i szybko usiadła.

— Gracie... powstrzymaj to, żeby znów się nie zdarzyło. To nie może... trwać wiecznie...

raz za razem... krew... morderstwo...

Zamknęła oczy i zmusiła się do mówienia. Głos miała słaby, trzęsący, obcy nawet dla niej samej — znużonej, słabej, starej kobiety.

— O kim mówisz?

Szepczący, urywany głos w telefonie powiedział:

— Chroń ją, Gracie.

— Czego pan ode mnie chce?

— Chroń ją.

— Dlaczego pan to robi?

— Chroń ją.

— Kogo chronić? — dopytywała się.

— Willę. Chroń Willę.

Wciąż przerażona i zmieszana, nagle poczuła gniew.

— Nie znam nikogo o tym imieniu, do cholery! Kto mówi?

— Leonard.

— Nie! Myśli pan, że jestem trzęsącą się, głupią staruszką? Leonard nie żyje. Od osiemnastu lat! Pan nie jest Leonarodem. Co tu jest grane?

Chciała zakończyć rozmowę, sądząc, że to jedyna metoda na tego rodzaju wybryki, ale nie mogła się zdobyć na odłożenie słuchawki. On miał głos tak podobny do Leonarda, że była jak zahipnotyzowana.

Odezwał się znów, o wiele ciszej niż przedtem.

— Chroń Willę.

— Mówię panu, nie znam jej. Jeśli dalej będzie pan mnie niepokoił, powiadomię policję...

— Carol... Carol... — mówił mężczyzna, a jego głos zanikał. — Willa... ale nazywaj ją Carol.

— Co się tu, do diabła, dzieje?

— Strzeż się... kota.

— Co?

Głos był teraz tak odległy, że musiała wytężyć słuch, aby coś zrozumieć.

— Kota...

— Arystofanesa? Co z nim? Zrobił mu pan coś? Otruł go pan? Czy dlatego ostatnio coś mu dolega?

Cisza.

— Jest tam pan?

Nic.

— Co z kotem? — dopytywała się.

Brak odpowiedzi.

Słuchała idealnej ciszy i zaczęła się trząść tak gwałtownie, że z trudnością utrzymała słuchawkę.

— Kim pan jest? Dlaczego pan mnie tak dręczy? Dlaczego chce pan zrobić krzywdę Arystofanesowi?

Gdzieś z oddali boleśnie znajomy głos jej dawno zmarłego męża wypowiedział kilka ledwie słyszalnych słów.

— Chciałbym... tu być... na... jabłkach w cieście.

Zapomniły kupić piżamę. Jane położyła się do łóżka w podkolanówkach, majteczkach i jednej z koszulek Carol, trochę dla niej za obszernej.

— Co będziemy robiły jutro? — spytała, już leżąc, z głową uniesioną na poduszce.

Carol usiadła na brzegu łóżka.

— Myślę, że mogłybyśmy rozpocząć leczenie nastawione na wyważenie drzwi do twojej pamięci.

— Na czym ono polega?

— Czy wiesz, co to terapia metodą regresji hipnotycznej?

Jane przeraziła się. Od czasu wypadku kilka razy czyniła świadome wysiłki, by przypomnieć sobie, kim jest, ale za każdym razem, kiedy wydawało jej się, że jest na tropie jakiejś niepokojącej rewelacji, czuła się zdezorientowana, oszołomiona i wystraszona. Kiedy zmuszała umysł do cofnięcia się w głąb, dalej, aż do prawdy, psychologiczny mechanizm obronny ucinął jej ciekawość tak nagle, jak pętla dusiciela odcina ofierze dopływ powietrza. A za każdym razem, na krawędzi nieświadomości, widziała dziwny, srebrzysty przedmiot huśtający się tam i z powrotem w ciemności; wizja nie do rozszyfrowania, a zarazem mrożąca krew w żyłach. Czuła, że w jej przeszłości jest coś ohydneho, coś tak strasznego, że lepiej, aby nie pamiętała. Już prawie podjęła decyzję, by nie szukać tego, co zagubione, by zaakceptować nowe życie bezimiennej sieroty. A tu, dzięki regresji hipnotycznej, może zostać zmuszona do konfrontacji z upiorną przeszłością, bez względu na to, czy będzie tego chciała, czy nie. Ta myśl ją przerażała.

— Dobrze się czujesz? — spytała Carol.

Dziewczynka zamrugła oczami, oblizała wargi.

— Tak. Myślałam tylko o tym, co pani powiedziała. Regresja hipnotyczna. To znaczy, że pani zamierza wprowadzić mnie w trans i sprawić, że wszystko sobie przypomnę?

— Cóż, to nie takie łatwe, kochanie. Nie ma gwarancji, że zadziała. Zahipnotyzuję cię i poproszę, żebyś wróciła myślą do czwartkowego wypadku; potem poprowadzę cię dalej i dalej w przeszłość. Jeśli jesteś dobrym medium, możesz przypomnieć sobie, kim jesteś i skąd pochodzisz. Regresja hipnotyczna może czasami pomóc pacjentowi na nowo przeżyć głęboko ukryte, wywołane urazem doświadczenie. Osobiście nigdy nie stosowałam tej techniki w przypadku amnezji, ale wiem, że podejmowane są takie próby. Oczywiście, nie zawsze dają efekty, i wymagają kilku seansów. To może być nudny, frustrujący proces. Na jutro nic specjalnego nie zaplanowałam, a twoi rodzice pojawią się pewnie, zanim będę mogła ci pomóc w odzyskaniu pamięci, nie szkodzi jednak zacząć. Jeśli, oczywiście, dobrze się czujesz.

Nie chciała, żeby Carol wiedziała, jak boi się przeszłości, więc powiedziała:

— Pewnie! To brzmi fascynująco.

— Świetnie. Jutro mam czterech pacjentów, więc tobą będę mogła zająć się o jedenastej.

Spędzisz dużo czasu w poczekalni, przed seansem i po nim, dlatego zabierz ze sobą jakąś książkę. Lubisz czytać kryminały?

— Chyba tak.

— Agaty Christie?

— Nazwisko brzmi znajomo, ale nie wiem, czy kiedyś czytałam którąś z jej książek.

— Przekonamy się. Jeśli byłaś miłośniczką tajemniczych opowiadań, może Agata Christie otworzy ci pamięć. Każdy bodziec, każde połączenie z przeszłością może zadziałać jak drzwi.

— Pochyliła się i pocałowała Jane w czoło. — Ale nie martw się tym teraz. Po prostu wyśpij się dobrze, dziecinko.

Kiedy Carol wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi, Jane nie od razu zgasiła światło.

Błądziła powoli wzrokiem po pokoju tam i z powrotem, skupiając uwagę na każdym pięknym przedmiocie.

Boże, proszę — myślała — pozwól mi tu zostać. Jakimś sposobem pozwól mi zostać w tym domu na zawsze. Nie każ mi wracać tam, skąd pochodzę, gdziekolwiek by to było. Chcę mieszkać właśnie tutaj. Chcę umrzeć właśnie tutaj, gdzie jest tak ładnie.

Wreszcie wyciągnęła rękę i wyłączyła nocną lampkę.

Ciemność rozpostarła się jak skrzydła nietoperza.

Za pomocą kawałka ceraty i czterech gwoździ Grace Mitowski przytwierdziła prowizoryczną „plombę” zasłaniającą wyjście dla kota.

Arystofanes stał pośrodku kuchni, z ogonem wyprężonym i przekrzywionym w jedną stronę i obserwował ją z wyrazem zainteresowania w błyszczących oczach. Co kilka sekund przeciągle miauczał.

Kiedy przybiła ostatni gwóźdź, powiedziała:

— Dobra, kocie. Przez pewien czas nie będziesz miał wychodnego. Może ktoś karmi cię małymi dawkami narkotyków czy jakiejś trucizny, i to jest przyczyną twojego złego zachowania. Musimy po prostu poczekać i zobaczyć, czy twój stan się poprawia. Miałeś wysokie loty na haju, ty głupi kocie?

Arystofanes miauknął pytająco.

— Tak — rzekła Grace. — Wiem, że to brzmi dziwnie. A poza tym, gdyby okazało się, że to nie sprawka jakiegoś pomyleńca, telefon musiał być od Leonarda. A to jeszcze dziwniejsze, nie sądzisz?

Kot przekrzywił łepkę z boku na bok, jakby rzeczywiście starał się uchwycić sens tego, co mówiła.

Grace wyciągnęła rękę i potarła palcem wskazującym o kciuk.

— Tutaj, kiciu. Tutaj, kici, kici, kici.

Arystofanes syknął, parsknął, odwrócił się i uciekł.

Tym razem kochali się przy zapalonym świetle. Czuł gorący oddech Carol przy swojej szyi.

Mocno się przytuliła; kołysała, wyprężała, skręcała i zginała w idealnej harmonii z nim; jej łagodne ruchy były płynne jak prądy w ciepłej rzece. Wyginała kark, unosiła się i opadała w tempie dostosowanym do jego rytmicznych poruszeń. Była giętka i jedwabista, i tak wszechogarniająca jak ciemność.

A potem trzymali się za ręce i gadali o błahostkach; stawali się coraz bardziej senni. Carol usnęła, a Paul jeszcze mówił. Kiedy nie odpowiedziała na jedno z jego pytań, delikatnie rozplótł ich dłonie.

Był zmęczony, ale nie mógł usnąć tak szybko, jak by pragnął. Wciąż myślał o dziewczynce.

Był pewny, że gdzieś już ją widział. Podczas kolacji jej twarz coraz bardziej kogoś mu przypominała. To nie dawało mu spokoju. Ale żeby nie wiadomo jak się starał, nie mógł sobie przypomnieć, skąd ją zna.

Kiedy tak leżał w ciemnej sypialni, wyęzając pamięć, poczuł niepokój. Miał wrażenie — całkiem bez powodu — że jego poprzednie spotkanie z Jane było dziwne, może nawet nieprzyjemne. Potem zastanawiał się, czy dziewczynka stanowi jakieś zagrożenie dla niego i Carol.

Ależ to absurd — pomyślał. — To nie ma sensu. Muszę być bardziej przemęczony, niż sądziłem. Nie potrafię już logicznie rozumować. Co złego może nas spotkać ze strony Jane? Jest takim miłym dzieckiem. Wyjątkowo miłym.

Westchnął, przekręcił się na drugi bok i zaczął przypominać sobie akcję swojej pierwszej powieści (tej, która poniosła klęskę), a to go szybko uspiło.

O pierwszej w nocy Grace Mitowski siedziała w łóżku i oglądała film w przenośnym telewizorze. Miała świadomość, że Humphrey Bogart i Lauren Bacall prowadzą jakąś dowcipną, ostrą wymianę zdań, ale tak naprawdę straciła wątek już w parę minut po rozpoczęciu filmu.

Myślała o Leonardzie, mężu, którego osiemnaście lat temu zwyciężył rak. Był dobrym człowiekiem, pracowitym, wielkodusznym, kochającym; był duszą towarzystwa. Bardzo go kochała.

Ale nie każdy kochał Leonarda. Miał wady, bez wątpienia. Jedną z najgorszych była niecierpliwość i cięty język — skutek braku cierpliwości. Nie tolerował ludzi leniwych, apatycznych, ignorantów lub głupców. A oni stanowią dwie trzecie ludzkości, mawiał często, gdy popadał z szczególnie zrzędlawy nastrój. Był człowiekiem szczerym, za nic mającym reguły towarzyskie, toteż mówił ludziom dokładnie to, co o nich sądził. W związku z tym prowadził życie wolne od kłamstw, lecz takie postępowanie przysparzało mu wrogów.

Zastanawiała się, czy to jeden z nich dzwonił do niej, udając Leonarda, czerpiąc przyjemność z dręczenia wdowy. Trucie kota, nękanie jej dziwnymi telefonami, straszenie mogło sprawiać mu rozkosz.

Ale dopiero po osiemnastu latach? A poza tym któż jeszcze pamiętał głos Leonarda, by naśladować go tak idealnie? Z pewnością tylko ona potrafiła go rozpoznać. I po cóż mieszać w to Carol? Leonard zmarł trzy lata przed tym, jak Carol wkroczyła w życie Grace; nigdy jej nie znał. Dlaczego rozmówca określił Carol imieniem Willa? A co najdziwniejsze, skąd wiedział, że właśnie zrobiła jabłka w cieście?

Istniało tylko jedno wytłumaczenie, aczkolwiek przyjmowała je z niechęcią. Telefon był od samego Leonarda. Od nieboszczyka.

Nie. Niemożliwe.

Wielu ludzi wierzy w duchy.

Nie ja.

Pomyślała o dziwnych snach, które miała w zeszłym tygodniu. Wtedy w nie nie wierzyła, teraz zmieniła zdanie. Więc czemu nie duchy?

Nie. Była przecież kobietą zrównoważoną, prowadzącą ustabilizowane, racjonalne życie; pewną, że na wszystkie wątpliwości i pytania można znaleźć logiczną odpowiedź. Teraz, w wieku siedemdziesięciu lat, jeśli zgodzi się na istnienie duchów w ramach swojej racjonalnej filozofii, w co będzie musiała uwierzyć w następnej kolejności? W wampiry? Zacznie nosić ze sobą ostry drewniany kołek i krucyfiks? A

wilkołaki? W takim razie gdzie pudełko ze srebrnymi nabojami? Złe elfy mieszkające w środku ziemi i powodujące trzęsienia i wybuchy wulkanów?

Pewnie! Czemu nie?

Grace zaśmiała się gorzko.

Nie mogła nagle pozwolić sobie na wiarę w duchy, bo zaakceptowanie jednego przesądu mogło pociągnąć za sobą przyjęcie innych. Była za stara, wygodna i zbyt przywiązana do wypracowanych przez siebie poglądów, by przestawić cały system filozofii życiowej. A z pewnością nie zamierzała dokonywać aż tak gruntownego przewartościowania tylko dlatego, że odebrała dwa dziwaczne telefony.

Musiała jednak podjąć decyzję: Czy powiedzieć Carol, że ktoś ją nęka? Próbowała wyobrazić sobie, jak zostanie to przyjęte. Tajemnicze telefony i kot narkoman zupełnie nie pasowały do Grace Mitowski. Wyszłaby na rozhisteryzowaną starą kobietę, szukającą nieistniejących konspiratorów za każdymi drzwiami i pod każdym łóżkiem.

Mogliby nawet pomyśleć, że się starzeje.

A może się starzeję? — zastanawiała się. — Czy te telefony to tylko wytwór mojej wyobraźni? Nie. Z pewnością nie.

Nie wmówiła też sobie zmian w osobowości Arystofanesa. Spojrzała na ślady pazurów na dłoni; goiły się, chociaż wciąż były czerwone i spuchnięte. Dowód. Te ślady stanowiły dowód, że coś nie gra.

Nie jestem stara — mówiła sobie. — Ani trochę. Ale wolałabym nie udowadniać Carol, że nie brak mi piątej klepki. Lepiej zachować spokój. Poczekać. Zobaczyć, co się jeszcze wydarzy. W każdym razie mogę sobie sama z tym poradzić. Dam radę.

Kiedy Jane obudziła się w środku nocy, zauważyła że chodzi we śnie. Znajdowała się w kuchni, ale nie pamiętała, żeby wstawała z łóżka i schodziła po schodach.

Panowała cisza. Jedyne dźwięki dobiegały od mrużącej z cicha lodówki. Przez duże okna wdzierало się blade światło księżycy w pełni.

Jane otworzyła jedną z szuflad i wyjęła nóż rzeźniczy.

Gapiła się na niego przerażona.

W srebrnej poświacie zaśniło zimne ostrze.

Włożyła go z powrotem do szuflady.

Zasunęła ją.

Ścisnęła nóż tak mocno, że czuła jeszcze ból w ręce.

Dlaczego wzięła nóż?

Chłód przebiegł jej po plecach jak stonoga.

Nagie ramiona i nogi pokryły się gęsią skórką i uświadomiła sobie, że jest prawie nieubrana.

Silnik lodówki wyłączył się z suchym grzechotem, aż podskoczyła i odwróciła się.

W domu panowała teraz nienaturalna cisza. Mogła nawet uwierzyć, że ogłuchła.

Co ja robiłam z nożem?

Splotła ramiona na piersi, aby opanować dreszcze, które nią wstrząsały.

Może poczuła głód i przyszła tutaj we śnie, żeby zrobić kanapkę. Tak. Prawdopodobnie tak było. Właściwie chętnie by coś zjadła. Sięgnęła do szuflady po nóż, aby ukroić plaster pieczeni.

Widziała ją w lodówce, kiedy pomagała Carol i Paulowi robić kolację.

Jednak rozmyśliła się. Nie potrafiłaby nic przełknąć. Bose nogi zziębły i czuła się nieskromnie obnażona. Chciała natychmiast wrócić do łóżka, pod kołdrę.

W ciemności, wspinając się po schodach, trzymała się blisko ściany, bo tam deski mniej trzeszczały. Wróciła do swojego pokoju, nie budząc nikogo.

Na zewnątrz, gdzieś w oddali, zawył pies.

Jane schowała się głęboko pod kocami.

Przez chwilę miała kłopot z zaśnięciem, czuła się winna, że grasuje po domu, kiedy państwo Tracy śpią. Nie chciała, aby fakt, iż była w szpitalu, tłumaczył jej niewłaściwe zachowanie.

Oczywiście, to głupie. Nie węszyła w jakimś określonym celu. Chodziła we śnie, a osoba w takim stanie nie panuje nad sobą.

Po prostu chodziła we śnie.

ROZDZIAŁ 8

W gabinecie Carol Tracy niepodzielnie panowała Myszka Miki. Większość przedmiotów, które wypełniały pokój, ozdabiały wizerunki sławnej gwiazdy filmów rysunkowych w najróżniejszych pozach i sytuacjach. Dziesiątki figurek ulubionego przez wszystkie dzieci gryzonia uśmiechały się szeroko z każdego kąta i półki do małych pacjentów Carol.

Ten imponujący zbiór łamał pierwsze lody w kontaktach z dziećmi.

Jane zareagowała podobnie, jak większość pacjentów. Mówiła „oooch” i „aach” i śmiała się radośnie. Zanim skończyła podziwiać kolekcję i usiadła w jednym z wielkich skórzanych foteli, była już gotowa do seansu hipnotycznego — jej napięcie i obawa zniknęły. Magia Miki jak zwykle nie zawiodła.

W gabinecie Carol zamiast typowej kanapy stały naprzeciw siebie dwa duże fotele z oparciami, dla niej i pacjenta. Nieco przysłonięte okna i dyskretne światło sączące się z narożnych lamp stwarzały przytulny nastrój.

Przez parę minut gawędziły o kolekcji, a potem Carol powiedziała:

— Dobra, kochanie. Myślę, że powinniśmy zacząć.

Niepokój pojawił się na twarzy dziewczynki.

— Sądzi pani, że hipnoza to dobry pomysł?

— Tak. To najlepsza metoda, jaką znamy, by przywrócić ci pamięć. Nie bój się. To proste.

Tylko odpręż się i popłyn. Dobrze?

— Hm... dobrze.

Carol wstała i ruszyła w kierunku Jane, która także zaczęła się podnosić.

— Nie, ty zostań na swoim miejscu. — Carol stanęła za dziewczynką i przyłożyła koniuszki palców do jej skroni.

— Odpręż się, kochanie. Odchyl do tyłu. Ręce na udach. Dłonie wewnętrzną stroną do góry, palce luźno. Świetnie. Teraz zamknij oczy. Są zamknięte?

— Tak.

— Dobrze. Bardzo dobrze. Teraz chcę, żebyś pomyślała o latawcu. Dużym latawcu w kształcie rombu. Wyobraź go sobie. Jest olbrzymi, niebieski i żegluje wysoko po błękitnym niebie.

Widzisz go?

Po krótkim wahaniu dziewczynka odparła:

— Tak.

— Obserwuj latawiec, kochanie. Patrz, jak łagodnie wznosi się i opada wraz z prądami powietrznymi. Wznosi się i opada, w górę i w dół, w górę i w dół, z boku na bok, żegluje z wdziękiem, daleko ponad ziemią, w pół drogi między ziemią i chmurami, daleko ponad twoją głową. —

Carol mówiła aksamitnym, kojącym głosem i patrzyła na bujne blond włosy dziewczynki. —

Kiedy tak obserwujesz latawiec, stopniowo stajesz się tak lekka i wolna jak on. Uczysz się wznosić coraz wyżej w błękitne niebo. — Koniuszkami palców Carol zataczała delikatne koła na skroniach Jane. — Opuszcza cię napięcie. Wszystkie troski i niepokoje odpływają daleko, i myślisz tylko o latawcu żeglującym po błękitnym niebie. Wielki ciężar zostaje zdjęty z twojej głowy, czoła i skroni. Czujesz się o wiele lżej. — Zsunęła ręce na kark dziewczynki. — Mięśnie na karku rozluźniają się.

Napięcie znika. Wielki ciężar zostaje zdjęty. Jesteś teraz tak lekka, że możesz wznieść się jak latawiec... prawie... prawie... — Opuściła ręce na ramiona malej. —

Odrpuż się. Niech napięcie odejdzie. Jesteś lżejsza, coraz lżejsza. Ciężar spada także z twoich piersi. A teraz unosisz się. Tylko kilka centymetrów nad ziemią, ale unosisz się.

— Tak... unoszę... — powiedziała niskim głosem.

— Latawiec szybuje daleko w górze, a ty powoli, powoli poruszasz się, aby do niego dołączyć...

Mówiła jeszcze chwilę, a potem wróciła na swój fotel.

Jane osunęła się na oparcie, głowę przekrzywiła na bok, zamknęła oczy, twarz miała spokojną i rozluźnioną; oddychała cicho.

— Jesteś teraz pogrążona w bardzo głębokim śnie — powiedziała Carol. — To odrpużający, bardzo głęboki sen. Rozumiesz?

— Tak — wymamrotała dziewczynka.

— Odpowiesz mi na kilka pytań.

— Dobrze.

— Pozostaniesz w tym głębokim śnie i będziesz odpowiadała na moje pytania, dopóki ci nie powiem, że już czas się obudzić. Rozumiesz?

— Tak.

— Dobrze. Bardzo dobrze. A teraz powiedz mi, jak się nazywasz.

Dziewczynka milczała.

— Jak się nazywasz, kochanie?

— Jane.

— Czy to twoje prawdziwe imię?

— Nie.

— Jak brzmi twoje prawdziwe imię?

Jane zmarszczyła brwi.

— Ja... nie pamiętam.

— Skąd pochodzisz?

— Ze szpitala.

— A przedtem?

— Znikąd.

Kropelka śliny błysnęła w kąciku jej ust. Zlizła ją ospale, zanim zdążyła spłynąć po policzku.

— Kochanie, przypominasz sobie zegar z Myszką Miki, który oglądałaś kilka minut temu?

— spytała Carol.

— Tak.

— Biorę zatem ten zegar z półki — powiedziała Carol, nie poruszając się z miejsca.
—

A teraz kręcę jego wskazówkami do tyłu, dookoła cyferblatu, cały czas do tyłu. Czy widzisz wskazówki poruszające się do tyłu na zegarze z Myszką Miki?

— Tak.

— A teraz dzieje się coś zdumiewającego. Kiedy kręcę wskazówkami do tyłu, czas zaczyna płynąć w odwrotnym kierunku. Nie ma już kwadransa po jedenastej. Teraz jest jedenasta. To magiczny zegar. Rządzi upływem czasu. A teraz jest dziesiąta rano... dziewiąta... ósma... Rozejrzyj się. Gdzie się teraz znajdujesz?

Dziewczynka otworzyła oczy. Utkwiła je w jakimś odległym punkcie. Powiedziała:

— Hmm... w kuchni. Tak. Stolik śniadaniowy. O rany, boczek jest smaczny i chrupiący.

Stopniowo Carol przenosiła ją w czasie, cofając się do pobytu w szpitalu, wreszcie do wypadku w ubiegły czwartek rano. Dziewczynka skrzywiła się z bólu i krzyknęła, na nowo przeżywając moment zderzenia, a potem cofnęły się jeszcze o parę minut.

— Stoisz na chodniku — mówiła Carol. — Jesteś ubrana tylko w bluzkę i dżinsy. Pada deszcz. Jest chłodno.

Dziewczynka znów zamknęła oczy. Drżała.

— Jak się nazywasz? — spytała Carol.

Cisza.

— Jak się nazywasz, kochanie?

— Nie wiem.

— Skąd przyszedłeś?

— Znikąd.

— Chcesz powiedzieć, że masz amnezję?

— Tak.

— Już przed wypadkiem?

— Tak.

Chociaż wciąż skoncentrowana na dziewczynce, Carol poczuła ulgę, słysząc, że nie ponosi odpowiedzialności za stan Jane. Przez chwilę czuła się jak niebieski latawiec, mogący szybować wysoko w górze. Kontynuowała:

— Dobrze. Masz właśnie wkroczyć na jezdnię. Czy chcesz tylko przejść przez nią, czy też zamierzasz rzucić się pod samochód?

— Ja... nie... wiem.

— A jak się czujesz? Wesoła? Przygnębiona? Zobojętniała?

— Przestraszona — dziewczynka odezwała się słabym, roztrzęsionym głosem.

— Co cię wystraszyło?

Cisza.

— Czym jesteś przestraszona?

— To nadchodzi.

— Co nadchodzi?

— Za mną!

— Co jest za tobą?

Dziewczynka znów otworzyła oczy. Wciąż gapiała się na jakiś odległy punkt.

— Co jest za tobą? — spytała ponownie Carol.

— O Boże — jęknęła Jane.

— Co to jest?

— Nie, nie. — Potrząsnęła głową.

Carol pochyliła się do przodu.

— Odpręż się, kochanie. Odprężysz się i uspokoisz. Zamknij oczy. Spokojna... jak latawiec... daleko ponad wszystkim... unosisz się... ciepło.

Napięcie zniknęło z twarzy Jane.

— W porządku — rzekła Carol. — Jesteś spokojna, odprężona i spokojna. Powiesz mi, czego się boisz?

Dziewczynka nie odpowiedziała.

— Kochanie, co cię wystraszyło? Co jest za tobą?

— Coś...

— Co?

— Coś...

— Wyrażaj się ściśle.

— Nie wiem... co to... ale nadchodzi... i mnie przeraża.

— Dobrze. Cofnijmy się jeszcze trochę.

Odwołując się do obracających się wstecz wskazówek zegarka z Myszka Miki, przesunęła wydarzenia o cały dzień do tyłu

— Teraz się rozejrzyj. Gdzie się znajdujesz?

— Nigdzie.

— Co widzisz?

— Nic.

— Musisz coś widzieć, kochanie.

— Ciemność.

— Jesteś w ciemnym pokoju?

— Nie.

— Jesteś w nocy na dworze?

— Nie.

Cofnęła dziewczynkę o jeszcze jeden dzień.

— A co teraz widzisz?

— Tylko ciemność.

— Musi tam być coś jeszcze.

— Nie.

— Otwórz oczy, kochanie.

Dziewczynka posłuchała. Jej niebieskie oczy były puste, szkliste.

— Nic.

Carol zmarszczyła brwi.

— Siedzisz czy stoisz w tym ciemnym miejscu?

— Nie wiem.

— A co czujesz pod sobą? Krzesło? Podłogę? Łóżko?

— Nic.

— Sięgnij. Dotknij podłogi.

— Tu nie ma żadnej podłogi.

Zaniepokojona obrotem sprawy, Carol uniosła się na krzesło i wpatrywała przez chwilę w Jane, zastanawiając się, czego teraz spróbować. Wreszcie się odezwała.

— W porządku. Znów obracam wskazówki w przeciwnym kierunku. Czas płynie wstecz, godzina za godziną, dzień za dniem, szybciej i szybciej. Chcę, żebyś mnie zatrzymała, ale dopiero wtedy, gdy wyjdiesz z ciemności i będziesz potrafiła powiedzieć, gdzie się znajdujesz.

Obracam teraz wskazówki. Do tyłu... do tyłu...

Mijały sekundy. Dwadzieścia, trzydzieści.

Po minucie Carol spytała:

— Gdzie się znajdujesz?

— Jeszcze nigdzie.

— Idziemy dalej. Do tyłu... do tyłu w czasie...

Po następnej minucie Carol zaczęła się niepokoić, że straciła kontrolę nad sytuacją i sprawa może przybrać nieoczekiwany obrót. Już miała zaprzestać eksperymentowania, gdy Jane wreszcie przemówiła:

— Niech mi ktoś pomoże! Mamo! Ciociu Rachael! Na litość boską, pomóżcie mi! — Zerwała się z krzesła, wymachując ramionami.

To nie był głos Jane. Wydobywał się z jej ust, przez jej wargi i język, ale brzmiał inaczej.

Miał inny tembr, akcent i brzmienie.

— Ja tu umrę! Na pomoc! Wydostańcie mnie stąd!

Carol zerwała się na nogi.

— Kochanie, przestań. Uspokój się.

— Ja się palę! Ja się palę! — krzyczała, wykonując ruchy, jakby chciała strząsnąć ogień

z ubrania.

— Nie! — ostro powiedziała Carol. Schwyciła Jane za ramię, jednocześnie dokonując gorączkowej analizy wydarzeń.

Jane biła na oślep i próbowała się uwolnić.

Carol, nie puszczając jej ręki, zaczęła mówić cichym, monotonnym, spokojnym głosem.

Jane przestała walczyć, ale jej oddech stał się urywany i charczący.

— Dym — mówiła, przykładając dłoń do ust. — Tyle dymu.

Uspokajana i pocieszana Jane opadła wreszcie na krzesło. Była wyczerpana, a jej czoło pokryło się kroplami potu. Niebieskie oczy, wpatrzone w jakiś odległy punkt, były nieprzytomne.

Carol uklękła obok krzesła i wzięła małą za rękę.

— Kochanie, słyszysz mnie?

— Tak.

— Nic ci nie jest?

— Boję się...

— Nie ma ognia.

— Ale był. Wszędzie.

— Już go nie ma.

— Jeśli pani tak twierdzi.

— Tak. Teraz powiedz, jak się nazywasz.

— Laura.

— A pamiętasz nazwisko?

— Laura Havenswood.

Carol triumfowała.

— Bardzo dobrze. Po prostu świetnie. Gdzie jest twój dom, Lauro?

— W Shippensburgu.

Shippensburg to małe miasteczko o niecałą godzinę drogi od Harrisburga. Spokojne, miłe miejsce, istniejące po to, by stanowić siedzibę college'u stanowego oraz być zapleczem okolicznych farm.

— Czy pamiętasz ulicę, na której mieszkasz w Shippensburgu? — spytała Carol.

— Ulica nie ma nazwy, to po prostu farma. Tuż za miastem, obok Walnut Bottom Road.

— Mogłabyś mnie tam zaprowadzić?

— O, tak. To ładne miejsce. Dwa kamienne słupy na skraju głównej drogi wytyczają wejście na naszą ziemię. Długi podjazd wysadzany jest klonami, a wokół domu rosną wielkie dęby.

Latem w cieniu drzew jest chłodno i przewiewnie.

— Jak ma na imię twój ojciec?

— Nicholas.

— A jego numer telefonu?

Dziewczynka zmarszczyła brwi.

— Słucham?

— Jaki jest numer waszego telefonu?

Dziewczynka potrząsnęła głową.

— Nie wiem, co pani ma na myśli.

— Nie macie telefonu?

— Co to jest telefon?

Carol była zdumiona. Niemożliwe, aby osoba zahipnotyzowana wykręcała się od odpowiedzi lub żartowała. Przyjrzała się dziewczynce. Laura poruszyła się niespokojnie, zmarszczyła czoło, szeroko otworzyła oczy i zaczęła oddychać z trudem.

— Lauro, posłuchaj mnie. Musisz się uspokoić. Odprężyć i...

Dziewczynka nie reagowała. Zaczęła wić się na krześle, jęczeć, dyszeć, a potem zsunęła się na podłogę, dygocąc i rzucając się jak w ataku epilepsji. Coś z siebie strzepywała, zasłaniała się przed ogniem, wzywała kobietę o imieniu Rachael i krztusiła się od nieistniejącego dymu.

Upłynęła minuta, zanim Carol zdołała ją uspokoić. Zwykle wystarczało na to zaledwie parę sekund. Widocznie Laura przeżyła jakiś szczególnie dramatyczny pożar albo

straciła kogoś bliskiego w płomieniach. Najchętniej Carol podążyłaby tym tropem, aby dowiedzieć się, co było powodem takiego zachowania, ale nie mogła przemęczać pacjentki. Zdawała sobie sprawę, że trzeba szybko zakończyć seans.

Pomogła dziewczynce usiąść na fotelu, a sama, kucnąwszy obok, nakazała jej zapamiętać wszystko, co zostało do tej pory powiedziane, i wyprowadziła ją z transu.

Jane potrząsnęła głową, odchrząknęła, spojrzała na Carol i powiedziała:

— Chyba się nie udało, co? — Znów mówiła swoim głosem.

Dlaczego zmienił się jej głos, kiedy mówiła jako Laura? — zastanawiała się Carol.

— Czy nic nie pamiętasz? — spytała.

— Niewiele jest do pamiętania. Próbowала mnie pani uspić, mówiąc o niebieskim latawcu, a skoro zdawałam sobie z tego sprawę, nic nie wyszło.

— Ależ udało się — zapewniła ją Carol. — I zaraz się o tym przekonasz.

Dziewczynka miała sceptyczny wyraz twarzy.

— Co? Co pani odkryła?

— Laura.

Dziewczynka nawet nie drgnęła, wyglądała jednak na zdumioną.

— Nazywasz się Laura.

— Kto pani o tym powiedział?

— Ty.

— Laura? Nie. Chyba nie.

— Laura Havenswood — powiedziała Carol.

Dziewczynka zmarszczyła brwi.

— To mi nic nie mówi.

— Powiedziałaś mi, że mieszkasz w Shippensburgu.

— Gdzie to jest?

— Jakąś godzinę stąd.

— Nigdy nie słyszałam tej nazwy.

— Mieszkasz tam na farmie. Kamienne słupy stoją u wejścia do posiadłości twojego ojca i jest tam długi podjazd wysadzany klonami. Tak mi powiedziałaś, i jestem pewna, że mówiłaś prawdę. Człowiek zahipnotyzowany nigdy nie kłamie. A poza tym

nie masz żadnego powodu, żeby mnie oszukiwać. Nie masz nic do stracenia, a wszystko do zyskania, jeśli przełamiemy blokadę pamięci.

— Być może jestem Laurą Havenswood, ale nie mogę sobie tego przypomnieć. Tak mi przykro. Miałam nadzieję, że gdy poznam swoje imię, wszystko jakoś zaskoczy na swoje miejsce.

A tu wciąż pustka. Laura, Shippensburg, farma — nic nie kojarzę.

Carol podniosła się z kolan i rozprostowała zeszywniałe nogi.

— Jeszcze nigdy nie spotkałam się z czymś podobnym. Z tego, co wiem, żadne z fachowych czasopism nie opisuje podobnej reakcji. Jeśli pacjent poddał się hipnozie, zawsze następuje oczekiwany efekt badań. Natomiast twoja reakcja jest zaprzeczeniem wszystkiego, co wiem na ten temat. Bardzo dziwne. Jeśli byłeś w stanie przypomnieć sobie fakty pod hipnozą, powinnaś umieć je powtórzyć. Brzmienie twojego prawdziwego imienia powinno otworzyć drzwi do pamięci.

— Ale nie otworzyło.

— Dziwne...

Dziewczynka podniosła wzrok.

— Co teraz?

Carol pomyślała przez chwilę.

— Sądzę, że powinniśmy poprosić policję o sprawdzenie tożsamości Havenswoodów.

Podeszła do biurka, podniosła słuchawkę i wykręciła numer komendy policji w Harrisburgu.

Telefonistka połączyła ją z detektywem Lincolnem Werthem, który zajmował się osobami zaginionymi. Wysłuchał Carol z zainteresowaniem, obiecał wszystko sprawdzić i natychmiast poinformować o wynikach akcji.

Cztery godziny później, o trzeciej pięćdziesiąt pięć po południu, po wizycie ostatniego pacjenta, Carol i Jane wybierały się do domu, kiedy Lincoln Werth zadzwonił zgodnie z obietnicą.

Carol odebrała telefon przy swoim biurku, a dziewczynka przycupnęła na krawędzi, wyraźnie podenerwowana.

— Pani doktor Tracy — odezwał się Werth — całe popołudnie poświęciłem na zbieranie interesujących panią informacji. Telefonowałem do policji w Shippensburgu i do biura miejscowego szeryfa. Obawiam się, że została pani wprowadzona w błąd.

— Nie rozumiem.

— Zarówno w Shippensburgu, jak i w całym okręgu nie możemy znaleźć nikogo o nazwisku Havenswood. Nie istnieje telefon zarejestrowany na kogoś o tym nazwisku, a...

— Może oni po prostu nie mają telefonu.

— Oczywiście, braliśmy pod uwagę i taką możliwość — rzekł Werth. — Proszę mi wierzyć, niczego nie przegapiliśmy. Szukając dalej, przyjęliśmy, że ludzie, których poszukujemy, mogą być amiszami mieszkającymi w tych lasach. Udaliśmy się więc do miejscowego urzędu podatkowego. Dowiedzieliśmy się, że nikt o nazwisku Havenswood nie posiada domu ani farmy na tym terenie.

— Mogą być dzierżawcami — powiedziała Carol.

— Mogą, ale według mnie oni w ogóle nie istnieją. Dziewczynka musiała kłamać.

— Po cóż by miała to robić?

— Nie wiem. Może i cała ta amnezja to kawał. Prawdopodobnie uciekła z domu.

— Nie. Zdecydowanie nie. — Carol spojrzała na Laurę; nie, ciągle jeszcze Jane; w jej jasne, błękitne oczy. — A poza tym w stanie hipnozy nie można kłamać tak przekonująco.

Jane, przysłuchując się rozmowie, domyśliła się, że poszukiwania nie przyniosły rezultatu.

Jej twarz spochmurniała. Wstała i podeszła do okna.

— W tej całej sprawie jest coś cholernie dziwnego — odezwał się Werth.

— Dziwnego? — powtórzyła Carol.

— Cóż, na podstawie opisu farmy, podanego nam przez panią, dotarliśmy do tego miejsca.

Ono istnieje.

— Cóż, zatem...

— Ale nie mieszka tam nikt o nazwisku Havenswood — odparł Werth. — Teren jest własnością rodziny Ohlmeyerów, powszechnie znanej w tych stronach i mającej dobrą pozycję. Oren Ohlmeyer, jego żona i dwaj synowie. Nigdy nie mieli córki. Oren odziedziczył farmę po ojcu, który kupił ją siedemdziesiąt lat temu. Nikt z rodziny Ohlmeyerów nie słyszał o Laurze Havenswood lub kimś o podobnym nazwisku. Nie znali także nikogo pasującego do rysopisu Jane Doe.

— A jednak farma tam jest, dokładnie taka, jak nam opisała.

— Tak — odrzekł Werth. — Zabawne, prawda?

W drodze do domu, kiedy jechały jesiennymi ulicami zalanyymi słońcem, dziewczynka powiedziała:

— Myśli pani, że udawałam trans?

— Na Boga, nie! Byłaś w bardzo głębokim śnie. Nawet przy najlepszych zdolnościach aktorskich nie potrafiłabyś tak odegrać sceny z pożarem.

— Pożarem?

— Tego też nie pamiętasz? — Carol zacytowała wypowiedziane przez Jane kwestie.

— Twoje przerażenie było szczere i jestem pewna, że byłaś świadkiem tych tragicznych wydarzeń.

— Niczego nie pamiętam. Sądzi pani, że kiedyś naprawdę się paliłam?

— Możliwe. — Światła zmieniły się na czerwone. Carol zatrzymała samochód i spojrzała na Jane. — Nie masz żadnych blizn, więc jeśli nawet przeżyłaś pożar, wyszłaś z niego bez obrażeń.

Oczywiście może być i tak, że nie ty sama, lecz ktoś z twoich bliskich zginął w płomieniach, i w stanie hipnozy wczułaś się w jego położenie. Jasno się wyrażam?

— Chyba rozumiem, o co pani chodzi. Może szok wywołany pożarem stał się przyczyną amnezji, a czekanie na rodziców jest bezcelowe, ponieważ... nie żyją, spłonęli.

Carol wzięła dziewczynkę za rękę.

— Nie martw się tym teraz, kochanie. Nie wiemy jeszcze, jak było naprawdę, ale i na taką ewentualność musisz być przygotowana.

Dziewczynka przygryzła wargę, kiwnęła głową.

— Z pewnością jest to tragiczne, ale nie odczuwam smutku. Nie pamiętam swoich bliskich, więc nie przeżywam ich utraty.

Kierowca zielonego datsuna stojącego za nimi nacisnął klakson.

Światła się zmieniły. Carol puściła rękę dziewczynki i nacisnęła pedał gazu.

— Podczas jutrzejszego seansu skoncentrujemy się na pożarze.

— Sądzi pani, że jestem Laurą Havenswood?

— Cóż, na razie będziemy nazywać cię Jane, ale nie widzę przeszkód, aby mówić do ciebie Lauro, jeśli to twoje imię.

— Nie potwierdzono tożsamości — przypomniała jej dziewczynka.

Carol potrząsnęła głową.

— Niezupełnie tak. Na razie stwierdzono, że nie mieszkałaś w Shippensburgu, ale musiałaś tam być przynajmniej raz, choćby przejazdem. Twoje wspomnienia są pogmatwane i należy zrobić wszystko, aby je uporządkować. Muszę się zastanowić,

w jaki sposób zadawać ci pytania i o co pytać. Trzeba po prostu poczekać i zobaczyć.

Jechały przez chwilę w milczeniu.

— Mam nadzieję, że nie rozwiążemy zagadki zbyt szybko — powiedziała Jane. — Od momentu kiedy wiem o domku w górach, nie mogę doczekać się, aby go zobaczyć.

— Doczekasz się, nie martw się. Wyjedziemy w piątek bez względu na przebieg seansu.

Ostrzegałam cię, że leczenie może być powolnym, skomplikowanym i frustrującym procesem.

Prawdę powiedziawszy, nie spodziewałam się, że osiągniemy dzisiaj tak wiele, i będę zadowolona, gdy jutro posuniemy się chociaż o krok dalej.

— Chyba ma mnie pani już dość.

Carol westchnęła i udała zmęczenie.

— Na to wygląda. Och, jesteś dla mnie strasznym ciężarem. Nie wiem, jak długo to jeszcze zniosę. — Zdjęła jedną rękę z kierownicy i przyłożyła do serca melodramatycznym gestem, czym wywołała chichot Jane. — Och, och!

— Wie pani co? — spytała dziewczynka.

— Co?

— Ja też panią lubię.

Spojrzały na siebie i pokazały zęby w uśmiechu.

— Mam przeczucie dotyczące gór — powiedziała Jane.

— Tak?... Że...

— Że będzie tam świetna zabawa. Naprawdę wspaniała. Coś wyjątkowego. Prawdziwa przygoda. — Jej niebieskie oczy były jeszcze jaśniejsze niż zwykle.

Po obiedzie Paul zaproponował, żeby zagraли w scrabble. Rozłożył planszę na stoliku, a Carol wyjaśniła Jane reguły, jako że dziewczynka nie mogła sobie przypomnieć, czy już w to kiedyś grała.

Jane, zgodnie z wylosowaną kolejnością, rozpoczęła zabawę od słowa za dwadzieścia dwa punkty (pole o podwójnej punktacji oraz automatycznie podwojona liczba punktów za pierwsze słowo w grze).

OSTRZE

— Niezły start — ocenił Paul. Chciał, aby mała wygrała, gdyż zdawał sobie sprawę, że w jej sytuacji nawet najmniejsze zwycięstwo, sukces czy komplement mają

ogromne znaczenie, ale nie zamierzał stosować taryfy ulgowej tylko dlatego, by sprawić jej przyjemność. Powinna, na Boga, zapracować na to. Zwrócił się do Jane:

— Podejrzewam, że należysz do tego rodzaju dzieciaków, które mówią, że nigdy nie grały w pokera, po czym zgrabnie zagarniają całą pulę po każdym rozdaniu.

— Możemy się założyć, że tak nie będzie? — spytała Jane.

— Nie namówisz nas do tego — odparł Paul.

— Boicie się?

— Strasznie. Puścisz nas z torbami.

— Pozwolę wam dalej tu mieszkać.

— Jesteś wspaniałomyślna.

— Ustalę niski czynsz.

— Ach, to dziecko ma doprawdy złote serce!

Kiedy tak przekomarzał się z Jane, Carol analizowała swój zestaw liter.

— Hej — powiedziała. — Mam litery, które pasują do słowa Jane. — Dodała K, E, W do R, tworząc słowo KREW.

— Z tego, co widzę — odrzekł Paul — jest to zabawa w poderżnięcie gardła.

Carol i Jane skrytykowały kiepski dowcip i uzupełniły swoje zestawy liter, dobierając ze stosiku leżącego na pokrywce pudełka.

Paul ze zdumieniem stwierdził, że ze swojego siedmioliterowego zestawu może ułożyć jedynie słowo ŚMIERĆ, kontynuując ten makabryczny temat.

— Niesamowite — rzekła Carol.

— A tu jeszcze coś bardziej niesamowitego — odezwała się Jane, uzupełniając w drugiej kolejce słowo OSTRZE słowem POGRZEB.

Ś M P K I O S T R Z E G E R R W Ć Z E B

Paul wpatrywał się w planszę. Nagle poczuł niepokój. Jaka jest szansa, aby pierwsze cztery słowa w grze wykazywały tak ściśle powiązanie tematyczne? Jedna na dziesięć tysięcy? Nie.

Jeszcze mniej. Jedna na sto tysięcy? Jedna na milion?

Carol podniosła wzrok znad swojego zestawu niezwykłych liter.

— W to już na pewno nie uwierzycie.

Ś M P K I O S T R Z E G E R Z A M O R D O W A Ć Z E B

— Zamordować? — powiedział Paul. — Och, daj spokój. Wystarczy już tego. Zabieraj to słowo i ułóż jakieś inne.

— Nie mogę — powiedziała Carol. — Mam tylko takie. Z pozostałych liter nie da się nic ułożyć.

— Ale możesz wstawić MA i AĆ po obu stronach Z w słowie POGRZEB. Powstanie wtedy MAZAĆ zamiast ZAMORDOWAĆ.

— Z pewnością, ale zarobię mniej punktów. Widzisz? Nie ma tu pola z podwójną punktacją.

Kiedy Paul słuchał wyjaśnienia Carol, poczuł się dziwnie. Lodowaty chłód w środku ciała.

Pustka. Balansowanie na linie i świadomość, że spadnie, spadnie, spadnie...

Ogarnęło go *déjà vu*; niesamowite uczucie, że już kiedyś przeżywał tę scenę. A przecież nic takiego nigdy nie miało miejsca. Skąd więc ta pewność, że był świadkiem podobnych wydarzeń? W momencie postawienia pytania znalazł na nie odpowiedź. Uczucie *déjà vu* niewiele miało wspólnego z makabrycznym zestawem słów w niewinnej grze. Raczej ponownie przeżywał coś, jak w ubiegłym tygodniu na strychu, gdy tajemniczy stukający dźwięk wydawał się wychodzić z rozrzedzonego powietrza na wprost jego twarzy, gdy każde *tup!* brzmiało jak młot kowalski walący w kowadło gdzieś w innym wymiarze czasu i przestrzeni. Tak właśnie czuł się teraz, nad planszą gry w obliczu czegoś niezwykłego, nienaturalnego, może nadnaturalnego.

— Posłuchaj, po prostu zabierz te ostatnie litery z planszy, włóż z powrotem do pudełka, wybierz nowe i ułóż jakieś inne słowo zamiast ZAMODROWAĆ — zwrócił się do Carol.

Dostrzegł, że była przerażona jego propozycją.

— Dlaczego mam to zrobić? — spytała.

Paul zmarszczył brwi.

— Ostrze, krew, śmierć, pogrzeb, zamordować — cóż to za zestaw słów w miłej, spokojnej, przyjacielskiej grze?

Wpatrywała się w niego przez chwilę, a jej przenikliwe spojrzenie sprawiło, że poczuł się trochę nieswojo.

— To tylko zbieg okoliczności — tłumaczyła zakłopotana jego napięciem.

— Wiem, że to tylko zbieg okoliczności — odrzekł, chociaż nie mógł pozbyć się osobliwego przeświadczenia, że słowa na planszy to dzieło jakiejś siły o wiele potężniejszej niż zwykły przypadek. — A jednak dostałem gęziej skórki — powiedział nieprzekonująco. Odwrócił się do Jane, szukając sprzymierzeńca. — Czy ty nie dostajesz gęziej skórki?

— Tak. Trochę — zgodziła się. — Ale jest to także fascynujące. Zastanawiam się, jak długo możemy jeszcze układać słowa, które pasują tematycznie.

— Ja też jestem ciekawa. — Carol żartobliwie klepnęła Paula po ramieniu. — Wiesz, na czym polega twój kłopot, kochanie? Nie masz w sobie za grosz ciekawości naukowca. No, dalej. Twoja kolej.

Po ułożeniu na planszy słowa ŚMIERĆ nie uzupełnił zapasu liter. Wyciągnął cztery tekturowe kwadraciki i położył je przed sobą.

Zamarł.

O Boże. Znów znajdował się na linie, krocząc ponad wielką otchłanią.

— I co? — spytała Carol.

Zbieg okoliczności. To musiał być zbieg okoliczności.

— I co?

Podniósł na nią wzrok.

— Co tam masz? — spytała.

Oniemiały, przeniósł spojrzenie na dziewczynkę.

Pochylona nad stołem jak Carol, niecierpliwie oczekiwała odpowiedzi, czy makabryczny ciąg ma kontynuację.

Paul opuścił oczy na rząd liter w drewnianej przegródce. To słowo wciąż tu było. Niemożliwe. A jednak.

— Paul?

Zareagował tak szybko i gwałtownie, że Carol i Jane aż podskoczyły. Zgarnął litery z przegródki i niemal cisnął je z powrotem do pudełka. Zmiotł pięć wstrętnych wyrazów z planszy, zanim ktokolwiek zdołał zaprotestować, i zmieszał tabliczki z pozostałymi.

— Paul, na litość boską!

— Zaczniemy od nowa — oznajmił. — Może te słowa was nie drażniły, ale mnie tak. Jeśli chcę słuchać o krwi, śmierci i mordowaniu, włączam dziennik.

— Jakie słowo miałeś? — dopytywała się Carol.

— Nie wiem — skłamał. — Nie dopasowałem do pozostałych liter. Daj spokój, zacznijmy od nowa.

— Jednak coś ułożyłeś — stwierdziła.

— Nie.

— Mnie też się wydaje, że pan coś ułożył — odezwała się Jane.

— Przyznaj się — prosiła Carol.

— W porządku, miałem słowo. Obsceniczne. Dżentelmen, taki jak ja, nie użyłby go w wyrafinowanej grze, i to w obecności dam.

W oczach Jane zamigotały ogniki przekory.

— Naprawdę? Niech pan powie. Niech pan nie będzie nudny.

— Nudny? Cóż to za maniery, młoda damo?

— E tam, maniery!

— Nie masz ani krzty skromności?

— Ani trochę.

— Pochodzisz z motłochu?

— A z motłochu. — Kiwnęła głową stanowczo. — Z motłochu z dziada pradziada. Więc niech nam pan powie, co to za słowo.

— Wstyd, wstyd, wstyd! — odparł. Udało mu się jednak zmienić temat i zaczęli nową grę.

Tym razem wszystkie słowa były zwyczajne i nie tworzyły żadnego niepokojącego ciągu.

Później, w łóżku, kochał się z Carol. Nie był specjalnie podniecony. Chciał po prostu znaleźć się jak najbliżej niej.

Potem, kiedy wyszeptali już wszystkie słowa miłości, spytała:

— Jakie było twoje słowo?

— Ehm? — udawał, że nie wie, o co jej chodzi.

— Twoje obsceniczne słowo w grze. Nie udawaj, że zapomniałeś.

— Nic ważnego.

Zaśmiała się.

— Po tym wszystkim, co robiliśmy w łóżku, nie powinieneś tak bardzo martwić się o moją niewinność.

— Nie miałem żadnego obscenicznego słowa. — To prawda. — Właściwie nie miałem żadnego słowa. — Tu skłamał. — Tylko... myślałem, że pierwsze pięć słów na planszy mogło źle wpłynąć na Jane.

— Na Jane?

— Tak. To znaczy, powiedziałaś mi, że być może straciła jedno z rodziców albo oboje podczas pożaru. Mogła znajdować się na krawędzi przypomnienia sobie strasznej tragedii z niedawnej przeszłości. A dzisiejszy wieczór miał być relaksowy i radosny. Cóż to za gra, w której słowa na planszy układały się w tak makabryczny ciąg.

Carol obróciła się na bok, trochę uniosła i pochyliła nad nim, a nagie piersi musnęły jego tors. Spojrzała mu w oczy.

— Czy tylko dlatego tak się zdenerwowałeś?

— Nie sądzisz, że miałem rację? Chyba nie przesadziłem?

— Może tak. Może nie. — Pocałowała go w nos. — Wiesz, dlaczego tak bardzo cię kocham?

— Bo jestem wspaniałym kochankiem?

— Jesteś, ale nie dlatego cię kocham.

— Bo jestem ci bezgranicznie wierny?

— Nie dlatego.

— Bo utrzymuję swoje paznokcie w czystości?

— Nie dlatego.

— Poddaję się.

— Jesteś taki cholernie wrażliwy, tak się troszczysz o innych ludzi. Jakie to typowe dla mojego Paula — martwić się, żeby Jane dobrze się bawiła, grając w scrabble'a! Oto dlaczego cię kocham.

— Sądziłem, że to ze względu na moje orzechowe oczy.

— Nieee.

— A mój klasyczny profil?

— Żartujesz.

— A sposób, w jaki środkowy palec mojej lewej stopy podkłada się pod sąsiedni palec?

— Och, zapomnijmy o tym. Hmm. Masz rację. Dlatego cię kocham. Wpadam w szał nie ze względu na twoją wrażliwość, lecz dla twoich palców u nóg.

Przekomarzenie doprowadziło do przytulania, a przytulanie do pocałunków, a pocałunki — znów do namiętności. Osiągnęła szczyt zaledwie kilka sekund przed nim. Kiedy wreszcie odsunęli się od siebie, Paul czuł się zmęczony, ale szczęśliwy.

Carol usnęła pierwsza. A on gapił się w ciemny sufit sypialni i myślał o grze.

OSTRZE, KREW, ŚMIERĆ, POGRZEB, ZAMORDOWAĆ...

Pomyślał o słowie, które ukrył przed Carol i Jane, przez które przerwał grę. Po ułożeniu wyrazu ŚMIERĆ zostały mu trzy litery w przegródce: X, U, C. Kiedy wyciągnął następne cztery litery, pasowały one niepokojąco dobrze do C. Najpierw odkrył A, potem R. I wiedział już, co będzie dalej. Bał się patrzeć, ale był zbyt ciekawy, żeby przerwać, kiedy powinien to zrobić.

Wyciągnął trzecią tabliczkę, O, a potem L.

C... A... R...O...L...

OSTRZE, KREW, ŚMIERĆ, POGRZEB, ZAMORDOWAĆ, CAROL.

Oczywiście, nawet gdyby słowo pasowało do planszy, nie mógł umieścić tam wyrazu CAROL, bo to imię własne, a reguły gry na to nie zezwalały. Nie o to jednak chodziło. Najważniejsze, że jej imię leżało tak ładnie, tak wyraźnie w przegródce. Niesamowite. Wyciągnął litery we właściwej kolejności, na litość boską! Czy można mówić o przypadku?

To jakiś omen. Ostrzeżenie, że coś ma się stać Carol. Tak jak dwa koszmarne sny Grace Mitowski okazały się prorocze.

Pomyślał o innych dziwnych wydarzeniach, które ostatnio się zdarzyły: nadnaturalnie silny piorun dewastujący gabinet Alfreda O'Briana, odgłos stukania, który wstrząsnął domem, intruz na trawniku podczas burzy. Czuł, że to wszystko jakoś się ze sobą wiązało. Ale, Chryste, jak?

OSTRZE, KREW.

ŚMIERĆ, POGRZEB.

ZAMORDOWAĆ, CAROL.

Jeśli kolejność słów w scrabble'u była proroczym ostrzeżeniem, co Paul miał zrobić? Omen, jeśli to omen, zbyt był dosłowny, by przerażać. Czego konkretnie się strzec? Nie mógł chronić Carol, dopóki nie znał kierunku, z którego nadciągało niebezpieczeństwo. Wypadek samochodowy? Katastrofa lotnicza? Aligator? Rak? Cokolwiek. Nic by nie zyskał, mówiąc Carol, że z liter ułożył jej imię, jedynie wytrąciłby ją z równowagi.

A on nie chciał jej denerwować.

I tak denerwował się, gdy leżał w ciemności i czuł pod kołdrą lodowaty chłód.

O drugiej nad ranem Grace czytała jeszcze w swoim gabinecie. Nie było sensu kłaść się teraz na godzinę czy dwie. Wydarzenia ostatniego tygodnia przyprawiły ją w bezsenność.

Tego dnia nie wydarzyło się nic szczególnego. Arystofanes wciąż zachowywał się dziwnie — ukrywał się przed nią, podkładał, obserwował ją, kiedy myślał, że go

nie widzi — ale nie darł już więcej poduszek ani nie niszczył mebli. Używał też swojej kuwety, tak jak przedtem.

Wszystko to napawało optymizmem. Nie dzwonił też człowiek, który podawał się za Leonarda.

Tak, to był dość zwyczajny dzień.

A jednak...

Wciąż odczuwała napięcie i nie mogła spać; miała wrażenie, że znajduje się w oku cyklonu.

Czuła, że cisza i spokój w jej domu to jakieś oszukaństwo, że wokół niej biją pioruny i migają błyskawice, ale ona niczego nie widzi ani nie słyszy. Czekala, że w każdej chwili zostanie wciągnięta w tę burzę, i to oczekiwanie wywoływało stałe napięcie.

Usłyszała jakiś szmer i podniosła wzrok znad powieści.

W otwartych drzwiach gabinetu pojawił się Arystofanes, bacznie się rozglądał.

Ich spojrzenia się spotkały.

Przez chwilę miała uczucie, że w jego oczach kryje się inteligencja, mądrość, doświadczenie. Intelpekt z całą pewnością niezwyrcący.

Arystofanes syknął.

Miał zimne oczy. Bliźniacze kuleczki kryształowo czystego, niebieskozielonego lodu.

— Czego chcesz, kocie?

Przerwał te zmagania wzrokowe. Odwrócił się z wyniosłą obojętnością, otarł o drzwi i wolno poszedł przez korytarz, udając, że wcale jej nie szpieguje, chociaż oboje wiedzieli, że było inaczej.

Szpieguje, pomyślała. Czy ja zwariowałam? Dlaczego miałby szpiegować mnie kot?

Ale ten pozornie absurdalny pomysł nie wywołał uśmiechu na jej ustach.

Zamiast tego siedziała z książką na kolanach, zastanawiając się, czy jeszcze jest normalna.

ROZDZIAŁ 9

Czwartek po południu.

Zasłony w gabinecie były szczelnie zasunięte, jak zwykle. Dwie stojące lampy dawały złote, rozproszone światło. Myszka Miki wciąż uśmiechała się szeroko we wszystkich swoich wcieleniach.

Carol i Jane siedziały w fotelach.

Dziewczynka weszła w trans z niewielką tylko pomocą Carol. Większość pacjentów za drugim razem jest podatniejsza na hipnozę, i Jane nie stanowiła wyjątku.

I znów, używając wyimaginowanego zegarka, Carol kręciła wskazówkami wstecz i cofnęła Jane do przeszłości. Tym razem dziewczynka nie potrzebowała aż dwóch minut, żeby znaleźć się poza granicą amnezji. Po dwudziestu lub trzydziestu sekundach osiągnęła punkt, w którym zaczynały się jej wspomnienia.

Nagle szarpnęła się i wyprostowała. Otworzyła oczy jak lalka; patrzyła na wylot przez Carol.

Twarz wykrzywiła w grymasie zgrozy.

— Laura? — odezwała się Carol.

Dziewczyna uniosła obie ręce do gardła. Chwytała się kurczowo za szyję, sapała, zakrywała dłonią usta, krzywiła twarz z bólu. Wydawało się, że przeżywa na nowo to samo traumatyczne doświadczenie, które wywołało jej panikę podczas wczorajszego seansu; dzisiaj jednak nie krzyczała.

— Nie możesz czuć ognia — powiedziała jej Carol. — Nic cię nie boli, kochanie. Odpręż się. Uspokój. Nie czuć też dymu. Nic cię nie niepokoi. Oddychaj swobodnie, normalnie. Uspokój się i odpręż.

Nie posłuchała. Trzęsa się i pociła. Krztusiła się co jakiś czas, gwałtownie, sucho, a zarazem cicho.

Obawiając się, że znów straciła kontrolę nad sytuacją, Carol zdwoiła wysiłki, by uspokoić pacjentkę; bez sukcesu.

Jane zaczęła dziko gestykulować; jej ręce cięły, kłuły, szarpały i uderzały powietrze.

Próbowała mówić, ale z jakiejś przyczyny straciła głos. Łzy spłynęły jej po twarzy. Poruszała ustami bez skutku, rozpaczliwie starając się coś powiedzieć. Oprócz zgrozy w jej oczach pojawiła się frustracja.

Carol chwyciła notes i flamaster z biurka. Notes położyła na kolanach Jane, a pisak wcisnęła jej do ręki.

— Zapisz mi to, kochanie.

Dziewczynka ścisnęła pisak tak mocno, że kostki dłoni zbieleły i zaostrzyły się jak u kościotrupa. Opuściła wzrok na notes. Przestała się krztusić, ale nadal drżała.

Carol kucnęła obok niej.

— Co chcesz powiedzieć?

Ręka Jane dygotała jak dłoń niedołężnej staruszki. Pośpiesznie nabazgrała dwa ledwie czytelne słowa: *Pomóż mi*.

— Dlaczego potrzebujesz pomocy?

Znów: *Pomóż mi.*

— Dlaczego nie możesz mówić?

Głowa.

— Wyrażaj się jaśniej.

Moja głowa.

— Co z twoją głową?

Ręka Jane nakreśliła jedną literę, lecz potem opadła linijkę niżej, próbując od nowa — bez rezultatu, znów zaczęła — z tym samym skutkiem, jak gdyby nie udawało się jej wyrazić tego, co chciała. Wreszcie, w szale, zaczęła uderzać flamastrem w papier, gryzmołąc beładną plątaninę czarnych linii.

— Przestań! — rozkazała Carol. — Cholera, odpręż się. Uspokój.

Jane znieruchomiła. W milczeniu gapiała się w notes na kolanach.

Carl wydarła pomazaną stronę i rzuciła na podłogę.

— Dobrze. Teraz odpowiesz na pytania spokojnie i w miarę wyczerpująco. Jak się nazywasz?

Millie.

— Millie? Jesteś pewna, że tak się nazywasz?

Millicent Parker.

— Gdzie jest Laura?

Kto to jest Laura?

Carol wpatrywała się w pociągłą twarz dziewczynki. Kropelki potu na jej gładkiej jak porcelana skórze zaczynały wysychać. Niebieskie oczy były puste, rozbiegane. Usta się trochę rozchyliły.

Nagle uderzyła Jane w twarz, ale ta ani drgnęła. Nie udawała transu.

— Gdzie mieszkasz, Millicent?

W Harrisburgu.

— Czyli w tym mieście. Twój adres?

Front Street.

— Nad rzeką? Znasz numer domu?

Dziewczynka napisała.

— Jak nazywa się twój ojciec?

Randolph Parker.

— Jak nazywa się matka?

Pisak nakreślił nic nieznaczący zygzak.

— Jak nazywa się matka? — powtórzyła Carol.

Dziewczynka zaczęła się trząść, krztusiła się bezgłośnie i raz jeszcze uniosła rękę do gardła.

Flamaster zrobił czarny ślad pod jej podbródkiem.

Najprawdopodobniej już samo wspomnienie matki ją przerażało. Oto teren do poszukiwań, aczkolwiek jeszcze nie teraz.

Carol przemawiała do niej, uspokajała ją i zadała nowe pytanie.

— Ile masz lat, Millie?

Jutro są moje urodziny.

— Naprawdę? Ile lat skończysz?

Nie skończę.

— Ilu lat nie skończysz?

Szesnastu.

— Teraz masz piętnaście?

Tak.

— I sądzisz, że nie dożyjesz szesnastu? Tak?

Nie dożyję.

— Dlaczego?

Nowe kropelki potu pojawiły się na linii włosów.

— Dlaczego nie dożyjesz swoich urodzin? — powtórzyła Carol.

Tak jak przedtem, dziewczynka ze złością zaatakowała notes flamastrem.

— Przestań — rozkazała Carol. — Odpręż się, uspokój i odpowiedz na moje pytanie.

—

Wydarła zniszczoną stronicę i odrzuciła ją. — Dlaczego nie dożyjesz swoich szesnastych urodzin, Millie?

Głowa.

A więc wróciliśmy do tego — pomyślała Carol.

— Co z twoją głową? Co jest nie tak?

Obciąć.

Carol przez chwilę wpatrywała się w napisane słowo, a potem podniosła wzrok na twarz dziewczynki.

Millie-Jane usiłowała zachować spokój, zgodnie z życzeniem Carol, ale w rozbieganych oczach kryła się zgroza. Wargi całkiem straciły kolor i dygotały. Pod strużkami potu płynącymi z czoła skóra świeciła jak wosk i była biała jak mąka.

Dalej bazgrała coś szaleńczo; wciąż to samo: *obciąć, obciąć, obciąć, obciąć, obciąć...* Przyciskała flamaster z taką siłą, że końcówka pisaka zmieniła się w bezkształtną miazgę.

Mój Boże — pomyślała Carol — to jak reportaż na żywo z otchłani piekła.

Laura Havenswood. Millicent Parker. Jedna dziewczynka krzyczała z bólu, gdy trawiły ją płomienie; druga była ofiarą dekapitacji. Cóż każda z tych dziewczynek miała wspólnego z Jane Doe? Nie mogła przecież być obiema z nich. Może nie była żadną. Może tylko je znała? Albo stanowiły wytwory jej wyobraźni?

Chryste, co tu się dzieje? — zastanawiała się Carol.

Położyła rękę na piszącej dłoni i zatrzymała zgrzytający flamaster. Spokojnym monotonnym głosem powiedziała Millie-Jane, że wszystko w porządku, że jest całkowicie bezpieczna i musi się odprężyć.

Oczy dziewczynki przestały nerwowo krążyć. Opadła na krzesło, rozluźniona.

— W porządku. Sądzę, że na dziś wystarczy, kochanie.

I znów, używając zegara wyobraźni, przeniosła ją do teraźniejszości.

Przez kilka sekund wszystko szło zgodnie z planem, ale nagle, bez ostrzeżenia, Jane zerwała się z krzesła, zrzucając notes z kolan i ciskając pisak. Jej blada twarz nabiegła krwią, a łagodny wyraz twarzy ustąpił miejsca wściekłości.

Carol podniosła się z klęczek i stanęła przed Jane.

— Kochanie, co się stało?

Dziewczyna, patrząc ze wściekłością, zaczęła wrzeszczeć, opryskując Carol śliną.

— Cholera! Ta suka to zrobiła! Pieprzona, cholerna suka!

To nie był głos Jane.

Ani głos Laury.

To był nowy głos, trzeci, o specyficznym brzmieniu, a Carol przeczuwała, że nie należał do niemej Millicent Parker. Pojawiła się nowa osoba.

Dziewczynka stała sztywna, wyprostowana, z rękami opuszczonymi, zaciśniętymi w pięści, gapiąc się gdzieś przed siebie. Na twarzy malował się gniew.

— Ta kurewska suka to zrobiła! Znów mi to zrobiła!

Krzyczała na cały głos, wyzywając, przeklinając, klnąc, jęcząc. Carol próbowała ją uciszyć, ale nie było to łatwe. Dopiero po wielokrotnych próbach pacjentka zaczęła się kontrolować, przestała wrzeszczeć, ale na twarzy pozostał gniew.

Trzymając ją za ramiona, stojąc twarzą w twarz, Carol spytała:

— Jak się nazywasz?

— Linda.

— A na nazwisko?

— Bektermann.

A więc jeszcze inna osoba — pomyślała Carol. Kazała jej przeliterować nazwisko.

— Gdzie mieszkasz, Linda?

— Second Street.

— W Harrisburgu?

— Tak.

Było to zaledwie o kilka przecznic od Front Street, a więc adresu podanego przez Millicent Parker.

— Jak się nazywa twój ojciec, Lindo?

— Herbert Bektermann.

— A twoja matka?

To pytanie wywołało u Lindy podobną reakcję jak u Millie. Nagle stała się nerwowa i zaczęła krzyczeć.

— Suka! O Boże, co ona mi zrobiła! Podła, kurewska suka! Nienawidzę jej. Nienawidzę jej!

Carol uspokoiła ją i szybko zmieniła temat.

— Ile masz lat, Lindo?

— Jutro są moje urodziny.

Carol zmarszczyła brwi.

— Czy znów rozmawiam z Millicent?

— Kto to jest Millicent?

— Czy rozmawiam wciąż z Lindą?

— Tak.

— Ile lat skończysz?

— Nie skończę.

Carol zamrugała oczami.

— Masz na myśli, że nie dożyjesz swoich urodzin?

— Zgadza się.

— Czy to szesnaste urodziny?

— Tak.

— Teraz masz piętnaście lat?

— Tak.

— Dlaczego myślisz, że umrzesz?

— Bo wiem, że umrę.

— Skąd wiesz?

— Bo już umarłam.

— Już umierasz?

— Umarłam.

— Już umarłaś?

— Umrę.

— Wyrażaj się ściśle, proszę. Mówisz, że już umarłaś? Czy też twierdzisz, że masz wkrótce umrzeć?

— Tak.

— To znaczy co?

— I tak, i tak.

Carol czuła się jak w domu wariatów.

— Dlaczego uważasz, że umrzesz, Lindo?

— Ona mnie zabije.

— Kto?

— Ta suka.

— Twoja matka?

Dziewczynka zgięła się wpół i złapała za bok, jak uderzona. Krzyknęła, obróciła się, zrobiła dwa chwiejne kroki i upadła. Leżąc, wciąż trzymała się za bok, kopała, wiła. Odczuwała niewypowiedziany ból, choć nierealny, ale dla niej nie do odróżnienia od rzeczywistego.

Przerażona Carol uklękła obok, wzięła ją za rękę, uspokajała i jak najszybciej wyprowadziła z transu.

Jane zamrugła oczami, utkwiała wzrok w Carol i jedną ręką dotknęła podłogi, sprawdzając, czy dobrze widzi.

— O rany, co ja tu robię?

Carol pomogła się jej podnieść.

— Na pewno nie pamiętasz?

— Nie. Czy powiedziałam coś więcej o sobie?

— Nie. Chyba nie. Powiedziałas, że jesteś Millicent Parker, a potem Lindą Bektermann, ale oczywiście nie możesz być obiema, a do tego Laurą. Podejrzewam zatem, że nie jesteś żadną z nich.

— Ja też tak sądzę — odparła Jane. — Te dwa nowe nazwiska nie mówią mi więcej niż Laura Havenswood. Ale kim one są? Skąd znałam ich imiona i dlaczego powiedziałam pani, że jestem którąś z nich?

— Nie mam pojęcia. Jednak prędzej czy później wyjaśnimy to. Dojdziemy do sedna sprawy, dziecinko. Obiecuję ci.

Ale cóż, na Boga, tam znajdziemy, na dnie, w ciemności? — zastanawiała się Carol.

—

Może będzie to coś, czego wolelibyśmy nigdy nie oglądać?

W czwartek po południu Grace Mitowski pracowała w swoim ogrodzie różanym za domem.

Dzień był ciepły i jasny, a ona chciała się trochę rozruszać. A poza tym tu nie docierał dźwięk telefonu, więc i nie będzie miała pokus, aby go odebrać. Nie czuła się psychicznie przygotowana na takie telefony ani nie wiedziała, jak postępować z tego rodzaju dowcipniami.

Padające ostatnio ulewne deszcze sprawiły, że róże miały już za sobą szczyt świetności i potraciły część płatków, chociaż ogród wciąż był pełen barw i życia.

Pozwoliła Arystofanesowi wyjść, aby rozprostował kości, jednak pilnowała, by nie opuścił terenu. Postanowiła trzymać go z dala od każdego, kto mógłby go podtruwać lub narkotyzować.

Arystofanes najwyraźniej nie miał ochoty na wędrówki i trzymał się w pobliżu, czaił się wśród róż na pełzające i fruwające owady.

Grace, klęcząc przed różnobarwną grządką kwiatową, przekopywała rydlem ziemię, kiedy usłyszała nad sobą głos:

— Ma pani wspaniały ogród.

Przestraszona podniosła wzrok i ujrzała chudego mężczyznę o pożółkłej cerze, w pogniecionym, niemodnym niebieskim garniturze. Jego koszula i krawat wyglądały żałośnie i staroświecko. Miała wrażenie, że zszedł do niej wprost z jakiejś fotografii zrobionej w latach czterdziestych. Przerzedzone włosy miały kolor letniego kurzu, oczy zaś niezwykle odcień delikatnego brązu, niemal beżu. Twarz składała się wyłącznie z wąskich bruzd i ostrych kątów, co upodabniało go do jastrzębia lub lichwiarza z powieści Karola Dickensa. Na oko przekroczył pięćdziesiątkę.

Grace spojrzała w stronę wychodzącej na ulicę furtki z białych desek. Była otwarta na oścież.

Widocznie mężczyzna przechodził obok, przez przerwę w topolowym żywopłocie, zobaczył róże i postanowił z bliska przyjrzeć się ogrodowi.

Miał sympatyczny uśmiech, dobre oczy i nie sprawiał wrażenia intruza, chociaż nim był.

— Z pewnością ma pani ze dwa tuziny różnych odmian róż.

— Trzy tuziny — poprawiła.

— Naprawdę wspaniałe — powiedział, kiwając głową z aprobatą.

Głos miał głęboki, aksamitny, zupełnie niepasujący do jego mizernej postaci.

— Sama opiekuje się pani ogrodem?

Grace przysiadła na piętach, wciąż trzymając rydel w dłoni.

— Oczywiście. Lubię to. I chyba... to już by nie był mój ogród, gdybym wynajęła kogoś do pomocy.

— Właśnie! — odezwał się nieznajomy. — Rozumiem, co pani ma na myśli.

— Pan mieszka w sąsiedztwie? — spytała Grace.

— Nie, nie. Mieszkałem o przecznicę stąd, ale to było dawno, dawno temu. — Wziął głęboki oddech i znów się uśmiechnął. — Ach, cudowny aromat róż! Nie znam

równie pięknego zapachu. Tak, ma pani nadzwyczajny ogród. Naprawdę nadzwyczajny.

— Dziękuję.

Strzelił palcami, jak gdyby coś mu przyszło do głowy.

— Powinienem o tym napisać. To byłby świetny artykuł, trafiający w gusty czytelników.

Oto i kraina fantazji ukryta za żywopłotem otaczającym zwykły dom. Tak, myślę, że to byłoby niezłe. Coś innego, niż zazwyczaj robię.

— Pan jest pisarzem?

— Reporterem. — Cały czas głęboko wdychał aromat kwiatów.

— Z gazety lokalnej?

— Z „Morning News”. Nazywam się Palmer Wainwright.

— A ja Grace Mitowski.

— Miałem nadzieję, że moje nazwisko jest ogólnie znane — zażartował Wainwright.

— Przykro mi, nie czytuję „Morning News”. Gazeciarz przynosi mi „Patriot-News”.

— No cóż. — Wzruszył ramionami. — To też dobra gazeta. Ale skoro nie czytuje pani

„Morning News”, nie mogła pani zapoznać się z moim reportażem o sprawie Bektermannów.

Grace, widząc, że przybysz nie ma zamiaru skończyć rozmowy, podniosła się z kłęczek i rozprostowała zdrętwiałe nogi.

— Sprawa Bektermannów? Coś mi się obilo o uszy.

— Wszystkie gazety o tym donosiły. Sam napisałem pięć artykułów na ten temat. Dobra robota, nie chwaląc się. Dostałem za nie nominację do Pulitzera.

— Naprawdę? No, to już jest coś — powiedziała Grace, niepewna, czy może przyjąć lekki ton. — To naprawdę sukces. Pomyśleć tylko — nominacja do Pulitzera!

Miała uczucie, że ich rozmowa przybrała nagle odmienny obrót. Nie była już zdawkowa.

Róże stały się pretekstem do poinformowania jej o nominacji.

— Nie przyznano mi nagrody. Ale, jak sądzę, sama nominacja jest już dużym sukcesem.

Z tysięcy artykułów publikowanych co roku tylko garstka uzyskuje nominacje do nagrody.

— Proszę mi łaskawie przypomnieć — poprosiła Grace — czego dotyczyła sprawa Bektermannów?

Roześmiał się dobrodusznie i potrząsnął głową.

— Nie tego, czego się spodziewałem. To jasne. Opisałem wszystko jako skomplikowaną,

„freudowską” układankę. Wie pani: apodyktyczny ojciec, prawdopodobnie czujący chorobliwy pociąg do córki, matka alkoholiczka i biedna dziewczynka tkwiąca w tym wszystkim. Wykończona psychicznie młoda dziewczyna, nie mogąca znieść sytuacji, w której się znalazła, po prostu pękła. Tak to widziałem. Tak to opisałem. Myślałem, że jestem błyskotliwym detektywem, dokopującym się do źródeł tragedii Bektermannów. Jednak prawdziwa historia była o wiele dziwniejsza, niż mogłem sobie wyobrazić. Do diabła, zbyt dziwna dla liczącego się reportera, żeby nie bał się ryzyka i śmieszności. Żadna gazeta ciesząca się dobrą reputacją nie wydrukowałaby tego. Gdybym, znając prawdę, chciał ją opublikować, zniszczyłbym swoją karierę.

Co tu się, do diaska, dzieje? — zastanawiała się Grace. — On chyba musi to komuś ze szczegółami opowiedzieć, bez względu na to, czy go zna. Czy zaciera się granica między życiem a literaturą? Czy poemat Coleridge’a rozgrywa się w moim różanym ogrodzie? Czy ja jestem Weselnikiem, a Wainwright — Starym Żeglarzem?

Kiedy spojrzała w beżowe oczy Wainwrighta, nagle zdała sobie sprawę, jakże jest samotna.

Jej posiadłość była otoczona drzewami, ukryta, odosobniona.

— Czy ta sprawa dotyczyła morderstwa?

— Dotyczyła i dotyczy — odparł Wainwright. — Nie skończyła się z Bektermannami. Wciąż trwa. Przeklęty krąg. Wciąż trwa i teraz trzeba go przerwać. Dlatego tu jestem. Przyszedłem powiedzieć pani, że Carol znalazła się w centrum wydarzeń. Jak w potrzasku. Pani musi jej pomóc. Nie może mieć nic wspólnego z tą dziewczynką.

Grace wpatrywała się w niego, nie wiedząc, czy dobrze słyszy.

— Istnieją pewne siły, mroczne i potężne — szepnął Wainwright — które chcą zobaczyć...

Miaucząc wściekle, Arystofanes skoczył na Wainwrighta, wylądował na jego klatce piersiowej i wspiął się do twarzy.

Mężczyzna zatoczył się, chwycił kota obiema rękami i próbował, bez powodzenia, oderwać od siebie.

— Ari! — krzyknęła Grace. — Przestań!

Arystofanes wczepił się pazurami ramiona nieznajomego i gryzł go w szyję.

Wainwright nie krzyczał, co byłoby naturalne. W milczeniu zmagał się z kotem, który wyraźnie chciał rozdrapać mu twarz. Nagle przeraźliwie zamiauczał, wtopił zęby w szyję ofiary i odgryzł kawałek ciała.

O Jezu, nie!

Grace podbiegła, chwyciła rydel, ale w ostatniej chwili się zawahała. Bała się, że zamiast kota uderzy mężczyznę.

W tym samym momencie Wainwright odwrócił się i potykając, podążył przez krzaki róż w kierunku wysokiego żywopłotu, za którym zniknął. Kot wciąż wisiał uczepiony jego szyi.

Grace z walącym sercem pośpieszyła za nimi, obeszła żywopłot, ale Wainwrighta nie było; tylko kot śmignął obok niej, przeleciał jak strzała przez ogród, po schodkach ganku i przez na wpół otwarte drzwi do domu.

Gdzie Wainwright? Czy pokuścił się gdzieś, w szoku, ranny? Czy poszedł w jakiś kąt ogrodu i wykrwawia się na śmierć?

Przeszukała wszystkie zarośla, lecz bez skutku.

Spojrzała w stronę furty prowadzącej na ulicę. Nie. Nie mógł odejść tak daleko niezauważony.

Przestraszona, zdezorientowana zmrużyła oczy i spojrzała na zalany słońcem ogród, próbując coś zrozumieć.

W książce telefonicznej Harrisburga nie było ani Randolpha Parkera, ani Herberta Bektermanna. Carol była zakłopotana, lecz nie zaskoczona.

Kiedy pożegnała ostatniego tego dnia pacjenta, pojechała z Jane na Front Street, gdzie miała mieszkać Millicent Parker. Było to duże, robiące wrażenie domostwo w stylu wiktoriańskim, ale od dłuższego czasu nie służyło jako budynek mieszkalny. Trawnik od frontu zamieniono na parking. Przy bramie wjazdowej umieszczono małą, gustowną tabliczkę z napisem:

MAUGHAM & CRICHTON, INC.

PRZYCHODNIA LEKARSKA

Wiele lat temu ten odcinek Front Street należał do najelegantszych miejsc w stolicy stanu Pensylwania. Jednak w ciągu ostatnich dziesięcioleci wiele starych domów przy bulwarach nadrzecznych wyburzono, aby zrobić miejsce dla nowoczesnych, sterylnych biurów.

Uchowało się kilka pojedynczych (może ze snobizmu), ich fasady pięknie odrestaurowano, a wnętrza przystosowano na potrzeby handlu. Dalej, na północ, wciąż istniał fragment ulicy, gdzie stały reprezentacyjne rezydencje, ale nie tutaj, gdzie Millicent Parker przysłała Carol i Jane.

Maugham i Crichton firmowali przychodnię, w której pracowało siedmiu lekarzy: dwóch ogólnych i pięciu specjalistów. Carol ucięła sobie pogawędkę z rejestratorką, kobietą imieniem Polly, o włosach ufarbowanych henną. Poinformowała ją, że żaden z lekarzy nie nazywa się Parker, jak również nie ma osoby o tym nazwisku wśród pielęgniarek i pracowników administracyjnych. Co więcej, Maugham i Crichton działali pod tym adresem prawie od siedemnastu lat.

Carol przyszło do głowy, że Jane mogła być kiedyś pacjentką któregoś z zatrudnionych tu specjalistów i jej podświadomość zarejestrowała adres przychodni, łącząc go z Millicent Parker. Jednak Polly, pracująca u Maughama i Crichtona od samego początku, była pewna, że nigdy nie widziała tej dziewczynki. Zaintrygowana jednakże przypadkiem amnezji Jane zgodziła się przejrzeć kartotekę, aby sprawdzić, czy leczono tu kiedyś jakąś Laurę Havenswood, Millicent Parker lub Lindę Bektermann. Bezowocny trud; żadna z tych osób nie figurowała w spisie pacjentów.

Grace wyszła na ulicę i rozejrzała się wokół. Nie było śladu Palmera Wainwrighta.

Wróciła na podwórko, zamknęła furtkę na klamkę i ruszyła w stronę domu.

Wainwright siedział na stopniach ganku, czekając na nią.

Podeszła na odległość pół metra, oszołomiona, zdumiona. Podniósł się ze schodków.

— Pana twarz — rzekła zdziwiona.

Nie było na niej śladu zadrapań.

Uśmiechnął się, jak gdyby nic się nie stało, i zrobił dwa kroki w jej kierunku.

— Grace...

— Kot — odezwała się. — Widziałam pana policzek... pana szyję... jego pazury...

— Proszę posłuchać — powiedział, robiąc jeszcze jeden krok — są pewne siły, mroczne i potężne, które chcą, żeby wydarzenia potoczyły się zgodnie z ich planami. Dążą do tragedii.

Chcą znów być świadkiem jej końca, pełnego gwałtu i krwi. Nie wolno dopuścić, żeby to się wydarzyło, Grace. Musisz trzymać Carol z dala od dziewczynki, dla dobra ich obydwu.

Grace patrzyła na niego, zdumiona.

— Kim, do diabła, pan jest?

— A kim pani jest? — spytał Wainwright, kpiarsko unosząc brew. — Oto ważne pytanie w tej sprawie. Nie jest pani tylko tą osobą, którą jest. Nie jest pani tylko Grace Mitowski.

Oszalał — pomyślała. — Albo to ja oszalałam. Albo oboje. Czyste, wściekłe szaleństwo.

— To pan dzwonił. To pan podszywa się pod Leonarda i udaje jego głos.

— Nie — odrzekł. — Ja jestem...

— Nic dziwnego, że Ari pana zaatakował. To pan daje mu narkotyki albo truciznę. To pan, a kot pana poznał.

A rany na twarzy i rozorana szyja? — pytała samą siebie. — Jak, na Boga, mogły się tak szybko zagoić?

Jak?

Odepchnęła te myśli od siebie, nie chcąc się nad nimi zastanawiać. Musiała się pomylić. To tylko w jej wyobraźni Ari zranił tego człowieka.

— Tak — odezwała się. — To pan stoi za wszystkimi niesamowitościami, które dzieją się w moim domu. Wynoś się, ty sukinsynu!

— Grace, te moce rosną w siłę... — Zarówno teraz, jak i kilkanaście minut przedtem, kiedy zaczął z nią rozmawiać, nie wyglądał na szaleńca, a jednak paplał o mrocznych siłach. — ...dobre i złe, wrogie i przyjazne. Ty jesteś po właściwej stronie, Grace. Ale kot, och, to inna historia.

Przez cały czas musisz się strzec kota.

— Zejdź mi z drogi — powiedziała.

Zrobił krok w jej stronę.

Zamierzyła się na niego rydlem ogrodniczym i chybiła zaledwie o centymetr czy dwa.

Zamierzyła się znów i jeszcze raz, i jeszcze raz, tnąc tylko powietrze. Właściwie nie chciała trafić, ale nie miała wyboru. Musiała go jakoś zatrzymać, żeby prześliznąć się do domu, a on stał jej na drodze. I minęła go; odwróciła się i pobiegła w stronę drzwi kuchennych, aż do bólu świadoma, że ma stare, artretyczne nogi. Po paru krokach uświadomiła sobie, że nie powinna obracać się plecami do szaleńca. Obejrzała się zasapana, pewna, że ją goni, może z nożem w ręce i...

Odszedł.

Zniknął. Znów.

Przez tę krótką chwilę, kiedy biegła odwrócona do niego plecami, nie zdołałby skryć się za żadnym z krzewów w ogrodzie. Nawet gdyby był młodszy, w świetnej kondycji i trenowałby biegi — nawet wtedy nie przebiegłby więcej niż połowę odległości do furtki.

Gdzie więc był?

Gdzie był?

Z przychodni Maughama i Crichtona przy Front Street Carol i Jane pojechały kilka przecznic dalej, pod adres przy Second Street, gdzie miał stać dom Lindy

Bektermann. Przyjemne miejsce; ładny dom we francuskim stylu rustykalnym, liczący co najmniej pięćdziesiąt lat, lecz w dobrym stanie. Nikogo nie zastały, ale wizytówka przytwierdzona do skrzynki na listy była na nazwisko Nicholson.

Zadzwończyły do drzwi sąsiedniej posesji i porozmawiały z niejaką Jean Gunther.

— Mieszkamy tu z mężem od sześciu lat — powiedziała pani Gunther — a Nicholsonowie rezydowali tu przed nami, jak nam mówili, od 1965 roku.

Nazwisko Bektermann nic nie mówiło Jean Gunther.

W samochodzie, w drodze do domu, Jane się odezwała:

— Przysparzam pani naprawdę wiele kłopotów.

— Nonsens. Świetnie się bawię w roli detektywa. A poza tym, jeśli pomogę przełamać blokadę w twojej pamięci, jeśli odkryję prawdę leżącą za wszystkimi sztuczkami kuglarskimi, które wyczynia twoja podświadomość, będę mogła opisać twój przypadek i opublikować w jakimś psychologicznym czasopiśmie. Wzmocni to moją pozycję zawodową. Może pomyślę o książce.

Widzisz, dzięki tobie, dziecinko, pewnego dnia zostanę bogata i sławna.

— A kiedy już będzie pani bogata i sławna, nadal będziemy się spotykać? — przekomarzała się dziewczynka.

— Pewnie. Tyle że będziesz musiała zabiegać o termin spotkania na tydzień naprzód.

Roześmiały się.

Z telefonu w kuchni Grace zadzwoniła do redakcji „Morning News”.

Telefonistka z centrali w swoim wykazie nie miała nikogo o nazwisku Palmer Wainwright.

— Z tego, co widzę, nikt taki tu nie pracuje — odparła. — Z pewnością nie jest reporterem.

Może jednym z nowych redaktorów prowadzących.

— Czy mogłaby mnie pani połączyć z gabinetem redaktora naczelnego? — poprosiła Grace.

— Czyli z panem Quincym — powiedziała telefonistka i nacisnęła odpowiedni numer wewnętrzny.

Quincy'ego nie było w gabinecie, a sekretarka nie wiedziała, czy gazeta zatrudnia Palmera Wainwrighta.

— Jestem tu nowa — usprawiedliwiła się. — Jako sekretarka pana Quincy'ego pracuję od poniedziałku, więc nie znam jeszcze wszystkich. Jeśli zostawi pani swoje nazwisko i numer, pan Quincy zadzwoni do pani.

Grace dała jej swój numer i dodała:

— Proszę mu powiedzieć, że chce z nim mówić doktor Grace Mitowski i że zajmę mu tylko kilka minut. — Rzadko używała tytułu naukowego przed nazwiskiem, z wyjątkiem sytuacji takich jak ta. Telefony od doktora nie pozostawały bez odpowiedzi.

— Czy to jakaś pilna sprawa, pani doktor? Nie sadzę, aby pan Quincy wrócił wcześniej niż jutro rano.

— To wystarczy. Proszę, żeby od razu do mnie zadzwonił, bez względu na porę dnia.

Kiedy odłożyła słuchawkę, popatrzyła przez okno na ogród różany.

Jak Wainwright mógł tak zniknąć?

Już trzeci raz Paul, Carol i Jane przygotowywali razem kolację. Dziewczynka z każdym dniem czuła się swobodniej.

Jeśli zostanie jeszcze z tydzień — pomyślał Paul — będzie nam się wydawało, że mieszka tu zawsze.

Kiedy jedli deser, Paul odezwał się:

— Czy nie miałybyście nic przeciwko temu, aby przenieść wypad w góry o dwa dni?

— Dlaczego? — spytała Carol.

— Opóźniłem się z pisaniem w stosunku do tego, co zaplanowałem. Jestem w trakcie kluczowej dla utworu sceny i chciałbym ją skończyć. Nie bawiłbym się dobrze, mając to na głowie.

Jeśli wyjedziemy w niedzielę zamiast jutro, będę miał czas na zakończenie rozdziału. A i tak spędzimy osiem dni w górach.

— Nie krępujcie się mną — powiedziała Jane. — Jestem tylko nadbagażem. Pojadę tam, dokąd mnie zabierzecie, kiedy będzie wam to na rękę.

Carol potrząsnęła głową.

— Nie dalej niż w ubiegłym tygodniu, po rozmowie z panem O'Brianem, postanowiliśmy się zmienić, prawda? Musimy nauczyć się odpoczywać i nie pozwalać, by praca przysłała nam wszystko.

— Masz rację — potwierdził Paul. — Ale jeszcze ten raz... — przerwał w pół zdania, widząc zdecydowanie w oczach Carol. Rzadko się przy czymś upierała, ale jeśli już postanowiła nie ustępować, pozostawała niewzruszona jak skała. Westchnął.

— Dobra. Wygrałaś. Wyjeżdżamy jutro rano. Wezmę ze sobą maszynę do pisania i brudnopis. Mogę skończyć tę scenę w domku i...

— Nic z tego. — Carol podkreślała każde słowo stukaniem łyżeczką w pucharek z lodami.

— Jeśli już zamierzasz pisać, nie skończy się tylko na tej scenie. To dla ciebie zbyt duża pokusa.

Wiesz, że mam rację. Zepsujesz urlop sobie i nam.

— Ale ja po prostu nie mogę odłożyć tej sceny na dziesięć dni — błagał Paul. — Zanim do niej powrócę, cały nastrój i spontaniczność miną.

— Masz rację — powiedziała Carol. — Oto, co zrobimy. Jane i ja wyjeżdżamy w góry jutro z samego rana, tak jak planowaliśmy. Ty zostaniesz tutaj, skończysz swoją scenę i dojedziesz do nas.

Zmarszczył brwi.

— Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

— Czemu nie?

— Nie chcę, abyście jechały same. Sezon letni już się skończył. Wczasowiczów jest coraz mniej. Większość domków stoi pusta.

— Na litość boską — zaprotestowała Carol — w tych górach nie czai się żaden ohydny człowiek śniegu. Jesteśmy w Pensylwanii, nie w Tybecie. — Uśmiechnęła się. — To miło, że się tak o nas troszczysz, kochanie, ale nic nam nie grozi.

Później, kiedy Jane już się położyła, Paul zrobił ostatni wysiłek, by przekonać Carol, wiedział jednak, że to daremny trud.

Patrzył, jak Carol wybiera ubrania do zapakowania.

— Posłuchaj, bądź ze mną szczerą, dobrze?

— A kiedy nie jestem? Co masz na myśli?

— Chodzi o dziewczynkę. Czy ona może być niebezpieczna?

Carol odwróciła się i spojrzała na niego, wyraźnie zaskoczona pytaniem.

— Jane? Niebezpieczna? Cóż, dziewczynka tak ładna jak ona za parę lat z pewnością złamie niejedno męskie serce. A jeśli bystrość mogłaby zabijać, zostawiałaby za sobą ulice usłane zwłokami.

Nie zareagował na żart.

— Nie chcę, żebyś traktowała to tak lekko. Myślę, że to poważna sprawa. Proszę, przemyśl to dokładnie.

— Nie ma się nad czym zastanawiać, Paul. Straciła pamięć, to wszystko. Jest jednak zrównoważonym, zdrowym psychicznie dzieckiem. Właściwie trzeba mieć zdumiewająco dojrzałą osobowość, by traktować amnezję tak jak ona. Nie wiem, czy trzymałabym się chociaż w połowie tak dobrze, gdybym była na jej miejscu. Przypominałabym raczej kłębek nerwów albo wpadłabym w depresję. A ona jest

elastyczna, potrafi przystosować się do sytuacji. Tacy elastyczni ludzie nie są niebezpieczni.

— Nigdy?

— Prawie nigdy. To twardzi ludzie pękają.

— Po tym jednak, czego dowiedziałaś się podczas seansów terapeutycznych, nie sądzisz, że powinnaś zastanowić się, do czego jest zdolna? — spytał.

— To umęczona dziewczynka. Ma za sobą tak okropne przeżycia, że nawet w stanie hipnozy broni się przed przechodzeniem przez to jeszcze raz. Jest zbita z tropu, błądzi i blokuje istotne informacje, ale to nie znaczy, że stanowi jakiegokolwiek zagrożenie. Po prostu jest przestraszona.

Wydaje mi się, że padła ofiarą fizycznej lub psychicznej przemocy. Była ofiarą, Paul, nie sprawcą.

Włożyła kilka par dżinsów do walizek, stojących przy łóżku.

Paul podążył za nią.

— Zamierzasz kontynuować terapię, kiedy będziecie w górach?

— Tak. Myślę, że nie można ustawać w burzeniu muru, który zagradza drogę do jej pamięci.

— To nieuczciwe.

— Hm?

— Bo to praca — stwierdził. — Mnie nie pozwoliłaś zabrać pracy na urlop. Stosujesz dwa różne kryteria, pani doktor Tracy.

— Dwa kryteria, pocałuj mnie w dupę, panie doktorze Tracy. Potrzebuję tylko pół godziny dziennie na terapię Jane. To coś zupełnie innego niż taszczenie maszyny do pisania i walenie w klawisze dziesięć godzin dziennie. Nie zdajesz sobie sprawy, że wszystkie wiewiórki, jelenie i króliki będą się uskarżać na hałas?

Już później, kiedy leżeli w łóżku przy zgaszonych światłach, Paul ciągnął:

— Do diabła, jestem niewolnikiem książek. Najwyższy czas, abym się zbuntował i zostawił tę robotę na dziesięć dni. Byłoby to nawet z pożytkiem dla powieści, gdybym miał trochę czasu na przemyślenie. Pojadę z tobą i Jane jutro i nie zabiorę maszyny do pisania. Dobra? Nie zabiorę nawet ołówka.

— Nie — odparła Carol.

— Nie?

— Jeśli znajdziesz się w górach, chcę, żebyś całkiem zapomniał o książce. Chcę, żebyśmy chodzili na długie spacerunki po lesie, pływali łódką po jeziorze i wędkowali, i przeczytali parę książek, i zachowywali się jak włóczykije, którzy nie znają słowa

„praca”. Jeśli nie skończysz tej sceny przed wyjazdem, przez cały pobyt będziesz o niej myślał. Ani przez chwilę nie będziesz zrelaksowany, a ja przy tobie też. I nie mów mi, że nie mam racji. Znam cię lepiej niż samą siebie, ty draniu. Zostań tutaj, napisz zakończenie sceny, a potem odjedziesz do nas w niedzielę.

Pocałowała go na dobranoc, poprawiła poduszkę i ułożyła się do snu.

Leżał w ciemności, myśląc o słowach ułożonych we wczorajszej grze.

Ś M P K I O S T R Z E G E R Z A M O R D O W A Ć Z E B

I to jedno, którego ujawnienia odmówił: CAROL...

Dalej uważał, że dobrze zrobił, zachowując je dla siebie. Niepotrzebnie by się martwiła. Bo cóż mogła zrobić? Nic. Ani ona, ani on nic na to nie mogli poradzić. Pozostawało tylko czekać i patrzeć. Zagrożenie — jeśli rzeczywiście istniało — mogło pochodzić z dziesiątków albo setek tysięcy źródeł. Mogło nadejść o każdej porze, gdziekolwiek. W domu czy w górach. Wszystkie miejsca były równie bezpieczne — albo niebezpieczne.

Jakkolwiek by na to patrzeć, może pojawienie się tych sześciu słów stanowiło tylko zbieg okoliczności. Niewiarygodny, lecz pozbawiony znaczenia zbieg okoliczności.

Gapił się w ciemność, usiłując przekonać sam siebie, że nie istnieją takie rzeczy, jak przesłania ze świata duchów, omeny i jasnowidzenie. A jeszcze tydzień temu w ogóle nie myślał o takich problemach.

Krew.

Pozbyć się jej, zetrzeć, każdą parszywą kroplę, zmyć ją szybko, szybko splukać, każdy obciążający ślad, zmyć, zanim ktokolwiek odkryje, zanim ktoś zobaczy i zrozumie, co zostało popełnione, zmyć ją, zmyć...

Jane ocknęła się w łazience. Znowu chodziła we śnie.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że jest naga. Podkolanówki, majteczki i koszulka leżały rozrzucone na podłodze.

Stała przed umywalką, wycierając się mokrym ręcznikiem. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze i zamarła.

Miała twarz umazaną krwią.

Jej słodko zaokrąglone nagie piersi błyszcząły od kropel krwi.

Nagle zrozumiała, że to nie jej krew. To nie ona była ofiarą. To ona biła, rąbała.

O Boże.

Wpatrywała się w swoje makabryczne odbicie, chorobliwie zafascynowana widokiem wilgotnych od krwi warg.

— Co ja zrobiłam?

Powoli opuściła wzrok na purpurową szyję i niżej, na odbicie prawej brodawki sutkowej, z której zwisała obfita, karminowa kropla krwi. Błyszcząca perła krwi drgała przez chwilę na koniuszku nabrzmiałego sutka, a potem poddała się sile ciężenia i spadła.

Oderwała wzrok od lustra i podążyła za tą karminową łzą, szukając jej śladu na podłodze.

Nie było.

Spojrzała na swoje ciało. Było czyste, leciutko zaróżowione. Dotknęła nagich piersi. Były wilgotne, zroszone wodą. Dotknęła ramion. Nigdzie śladu krwi.

Podniosła ręcznik, dotknęła ciała. Puszysty materiał wchłonął kropelki wody z jej ramion.

Zdumiona, raz jeszcze spojrzała w lustro i ponownie ujrzała krew.

To wyobraźnia — pomyślała. — Niesamowite złudzenie. To wszystko. Nikogo nie zraniłam.

Nie przelałam niczyjej krwi.

Kiedy starała się zrozumieć, co zaszło, jej odbicie w lustrze zaczęło znikać, a szklana tafla poczerniała. Przeistoczyła się w okno wychodzące na inny wymiar, nieodbijające żadnego z przedmiotów znajdujących się w łazience.

To jakiś sen — pomyślała. — Gdy tymczasem leżę w łóżku i tylko mi się śni, że jestem w łazience. I mogę położyć temu kres, budząc się.

Z drugiej strony, jeśli to sen, to czemu tak realnie czuje zimną terakotę pod nagimi stopami?

Jeśli to naprawdę tylko sen, czy czułaby zimną wodę na nagich piersiach?

Zadrzała.

W mrocznej próżni po drugiej stronie lustra, w oddali coś migotało.

Obudź się!

Coś srebrzystego. Błysnęło jeszcze raz i jeszcze raz, tam i z powrotem. Przedmiot stawał się coraz większy.

Na litość boską, obudź się!

Chciała biec. Nie mogła.

Chciała krzyknąć. I nic.

W parę sekund migocący przedmiot wypełnił lustro, odepchnął ciemność, z której się wyłonił, i w jakiś sposób wyrwał się z lustra bez rozbijania szkła. Wyskoczył z próżni do łazienki jednym, ostatnim, śmiertelnym zamachem. Dostrzegła, że to siekiera

opuszczająca się na jej twarz. Stalowe ostrze błyszczało jak wypolerowane srebro we fluoryzującym świetle. Gdy ostra krawędź siekiery nieubłaganie opadała na głowę Jane, nogi ugięły się pod nią i dziewczynka zasłała.

Tuż przed świtem Jane znów się obudziła.

Leżała w łóżku. Była naga.

Odrzuciła kołdrę, i zobaczyła swoją koszulkę majteczki i podkolanówki na podłodze przy łóżku. Ubrała się szybko.

W domu panowała cisza. Państwo Tracy jeszcze nie wstali.

Jane pobiegła przez hol do łazienki, zawahała się na progu, potem weszła i zapaliła światło.

Nie było krwi, a lustro nad umywalką odbijało tylko jej zaniepokojoną twarz.

Dobra — pomyślała — może chodziłam we śnie. I może rzeczywiście tu byłam bez ubrania, usiłując zetrzeć nieistniejącą krew z ciała. Ale reszta to po prostu część koszmarnego snu. To się nie wydarzyło. Nie mogło. Niemożliwe. Lustro nie może mieć takich właściwości.

Popatrzyła w swoje niebieskie oczy. Nie była pewna, co w nich widzi.

— Kim jestem? — spytała cicho.

Przez cały tydzień Grace nic się nie śniło, jeśli tylko zdołała na chwilę zasnąć. Tej nocy jednak przez kilka godzin kręciła się w pościeli, próbując uwolnić się od kosmaru, który wydawał się trwać wieczność.

W tym śnie płonął dom. Wielki, pięknie wykończony, w stylu wiktoriańskim. Stała na zewnątrz płonącego budynku, wałąc w ukośne drzwi do piwnicy i wykrzykując wciąż jedno imię: „Laura!

Laura!”. Wiedziała, że Laura znalazła się w potrzasku, a te drzwi stanowiły jedyne wyjście. Ale drzwi były zamknięte od wewnątrz na zasuwę. Uderzała w nie dłońmi, bolały ją już ręce i ramiona, aż do karku. Rozpaczliwie pragnęła trzymać w tych dłoniach siekiere, łom albo jakieś inne narzędzie, którym mogłaby się przebić przez drzwi piwnicy. Nie miała jednak nic oprócz własnych pięści, więc waliła i waliła, aż ciało zsiniało i popękało, zaczęło krwawić, a ona nie zważała na to i przez cały czas wołała Laurę. Wypadły okna z drugiego piętra i szkło posypało się na nią, lecz nie odeszła od drzwi, nie uciekła. Dalej uderzała krwawymi pięściami w drewno, modląc się, żeby dziewczynka chociaż się odezwała. Nie zwracała uwagi na płomienie wydobywające się przez wszystkie szczeliny domu. Łzy jej ciekły i kaszlała, gdy wiatr kierował gryzący dym w jej kierunku, i przeklinała te drzwi, że z taką łatwością odpierają jej dziki, lecz daremny atak.

Koszmarny sen nie miał swojej kulminacji, punktu najwyższej grozy. Ciągnął się po prostu jednostajnym wciąż zapierającym dech rytmem, aż w parę minut po świtanie Grace wyrwała się z jego gorących, mocnych objęć i obudziła ze zduszonym krzykiem.

Usiadła na skraju łóżka i objęła rękami pulsującą głowę.

W ustach miała smak popiołu i żółci.

Sen był tak sugestywny, że czuła na sobie bawełnianą suknię w białoniebieskie paski, z długimi rękawami, zapinaną pod samą szyją, która obciskała jej ramiona i biust, kiedy uderzała w drzwi piwnicy. Teraz, całkowicie przytomna, dalej ją czuła, chociaż miała na sobie luźną koszulę nocną i w dodatku nigdy w życiu nie nosiła takiego stroju jak we śnie.

Co gorsza, czuła woń płonącego domu.

Woń dymu utrzymywała się tak długo po przebudzeniu, że nabrała przekonania, iż jej własny dom stanął w płomieniach. Szybko narzuciła na siebie szlafrok, wsunęła kapcie i przeszła od pokoju do pokoju, szukając ognia.

Nigdzie go nie znalazła.

A jednak prawie przez godzinę swąd płonącego drewna i smoły nie opuszczał jej.

ROZDZIAŁ 10

W piątek o dziewiątej rano Paul usiadł przy biurku, podniósł słuchawkę i zadzwonił do Lincolna Wertha, detektywa prowadzącego sprawę Jane Doe. Oznajmił Werthowi, że Carol na kilka dni wywozi dziewczynkę z miasta, żeby odpoczęła i rozerwała się trochę.

— To się dobrze składa — powiedział Werth. — Nie mamy żadnych sygnałów, i myślę, że nie należy oczekiwać rychłego przełomu w tej sprawie. Oczywiście rozszerzyliśmy pole poszukiwań. Najpierw przestaliśmy fotografię i rysopis dziewczynki do przedstawicieli władz w sąsiednich okręgach. Gdy to nic nie dało, wysłaliśmy telegramy do wszystkich jednostek policji w całym stanie. Wczoraj rano posunęliśmy się jeszcze dalej i przetelegrafowaliśmy te same dane do siedmiu sąsiednich stanów. Ale tak między nami. Jeśli nawet rozszerzymy pole poszukiwań aż do Hongkongu, czuję, że nie znajdziemy nikogo, kto zna dziewczynkę. Takie odnoszę wrażenie.

Po rozmowie z Werthem Paul zszedł do garażu, gdzie Carol i Jane pakowały rzeczy do bagażnika volkswagena. Nie chcąc jej martwić, Paul nie powtórzył małej pesymistycznej oceny sytuacji.

— Powiedział, że dobrze robicie, wyjeżdżając z miasta na parę dni. Podąłem mu adres waszego pobytu, gdyby ktoś zgłosił się po naszą dziewczynkę.

Carol pocałowała go na pożegnanie. Jane poszła za jej przykładem; był to nieśmiały, wstydliwy pocałunek leciutko złożony na jego policzku, który wywołał rumieniec na jej twarzy.

Paul stał przed domem i czekał, aż czerwony volkswagen rabbit zniknie mu z oczu.

Po prawie tygodniowym rozpogodzeniu znów nadciągnęły chmury. Rozłożyste, ciemnoszare. Podziały na Paula przygnębiająco.

Kiedy zadzwonił telefon, Grace nastawiła się na głos Leonarda. Usiadła na krześle przy wbudowanym w niszę blaciku, wyciągnęła rękę i położyła ją na słuchawce aparatu. Pozwoliła, żeby zadzwonił jeszcze raz, a potem odebrała. Ku jej uldze, był to Ross Quincy, redaktor naczelny „Morning News”, odpowiadający na jej wczorajszy telefon.

— Pytała pani o jednego z naszych reporterów, pani doktor?

— Tak. O Palmera Wainwrighta.

Quincy milczał.

— Pracuje u was, prawda? — spytała Grace.

— Hm... Palmer Wainwright był pracownikiem „Morning News”, tak.

— I chyba był bliski zdobycia nagrody Pulitzera.

— Tak. Oczywiście... jakiś czas temu.

— O?

— Cóż, jeśli wie pani o jego nominacji do Pulitzera, musi pani wiedzieć, że za cykl artykułów o morderstwie Bektermannów.

— Tak.

— Do którego doszło w 1943 roku.

— Tak dawno temu?

— Hm... Pani doktor, co właściwie chciałaby pani wiedzieć o Palmerze Wainwrightcie?

— Chciałabym z nim porozmawiać. Spotkaliśmy się i nie skończyliśmy omawiać pewnej sprawy, która mnie dość niepokoi. To sprawa... osobista.

Quincy zawahał się.

— Czy pani jest może odnalezioną po latach krewną?

— Pana Wainwrighta? Och, nie.

— A może dawną przyjaciółką?

— Nie, także nie.

— Cóż, chyba nie muszę być w tej kwestii delikatny. Pani doktor, obawiam się, że Palmer Wainwright nie żyje.

— Nie żyje! — krzyknęła zdumiona.

— Cóż, z pewnością brała pani pod uwagę taką możliwość. Nigdy nie należał do ludzi zdrowych, wręcz przeciwnie. A pani widocznie nie miała z nim kontaktu przez bardzo długi okres.

— Nie tak długi.

— W każdym razie przynajmniej trzydzieści pięć lat — odrzekł Quincy. — Zmarł w roku

Grace poczuła na karku powiew zimnego powietrza, jak gdyby nieboszczyk zionął na nią lodowatym oddechem.

— Trzydzieści pięć lat — powtórzyła odrętwiała. — Pan musi się mylić.

— Nie ma mowy. Byłem wtedy żółtodziobem, ot takim pomagierem w redakcji. Palmer Wainwright należał do moich idoli. Ciężko przeżyłem jego odejście.

— Czy my mówimy o tym samym człowieku? — spytała Grace. — Chudy, ostre rysy, bladobrazowe oczy i żółtawa cera. Głos o kilka tonów niższy, niż wskazywałby jego wygląd.

— Taki był Palmer, zgadza się.

— Około pięćdziesięciu pięciu lat?

— Miał trzydzieści sześć, kiedy umarł, ale w rzeczywistości wyglądał o dwadzieścia lat starzej. Pasma chorób, jedna po drugiej, a na końcu rak. To go zniszczyło. Należał do ludzi walczących z chorobą, ale w pewnym momencie musiał się poddać.

Trzydzieści pięć lat w grobie — pomyślała. — Ależ ja go widziałam wczoraj. Prowadziliśmy dziwną rozmowę w ogrodzie różanym. Co pan na to powie, panie Quincy?

— Pani doktor Mitowski? Jest tam jeszcze pani?

— Tak. Przepraszam. Proszę posłuchać, panie Quincy, nie chciałabym zabierać panu cennego czasu, ale to naprawdę ważne. Sądzę, że historia Bektermannów ma wiele wspólnego z pewną sprawą osobistą, którą chciałam omówić z panem Wainwrightem. Właściwie nic nie wiem o tych morderstwach. Czy zechciałby pan opowiedzieć mi, o co tam chodziło?

— To tragedia rodzinna — zaczął Quincy. — Córka Bektermannów wpadła w szal w przeddzień swoich szesnastych urodzin. Po prostu zwariowała. Wbiła sobie do głowy, że matka zamierza ją zabić, zanim ukończy szesnaście lat, co oczywiście nie było prawdą, i rzuciła się na nią z siekierą. Ojca i kuzyna, którzy próbowali jej w tym przeszkodzić, zabiła. Kiedy matce udało się wyrwać siekierę z rąk dziewczyny, ta chwyciła pogrzebacz, zdecydowana zaatakować nim rzekomą winowajczynię. Pani Bektermann nie miała wyboru, w obronie własnej uderzyła córkę siekierą w głowę, w wyniku czego mała zmarła w szpitalu następnego dnia. Zabójczyni nie postawiono żadnych zarzutów, ale poczucie winy i silny stres tak ją załamały, że wylądowała w szpitalu dla obłąkanych.

— I to za opisanie tej historii pan Wainwright dostał nominację do nagrody Pulitzera?

— Tak. Większość reporterów z tej tragedii wyłowiliby tylko sensacyjne fakty z mnóstwem drastycznych, makabrycznych szczegółów. Ale nie Palmer. Napisał głębokie, dobrze udokumentowane studium rodziny przeżywającej poważne problemy we wzajemnych relacjach. Ojciec, postać dominująca, stawiał córce niezwykle wysokie wymagania i prawdopodobnie darzył ją nie tylko ojcowskim uczuciem. Matka współzawodniczyła z nim o serce, umysł i lojalność dziewczynki, a kiedy spostrzegła, że przegrywa tę walkę, zaczęła pić. W tej atmosferze dorastała mała Bektermannówna, a dzięki pióru Palmera czytelnik mógł zrozumieć i wczuć się w jej położenie.

Grace podziękowała Rossowi Quincy'emu, że poświęcił jej tyle czasu i uwagi. Odłożyła słuchawkę.

Przez chwilę po prostu siedziała, gapiąc się na buczącą cicho lodówkę i usiłując uchwycić sens tego, co usłyszała. Skoro Wainwright zmarł w 1946 roku, z kim rozmawiała wczoraj w ogrodzie?

I co mogła ją obchodzić tragedia Bektermannów? Co miała wspólnego z Carol?

Przypomniała sobie słowa Wainwrighta: „Przeklęty krąg. Wciąż trwa i teraz trzeba go przerwać... Przeszedłem powiedzieć pani, że Carol znalazła się w centrum wydarzeń... Pani musi jej pomóc. Nie może mieć nic wspólnego z tą dziewczynką”.

Czuła, że chyba już wie, co miał na myśli. I przeraziła się. Chociaż w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zdarzyło się wiele nieprawdopodobnych rzeczy, nie kwestionowała już teraz ani swojej normalności, ani zdolności postrzegania. Była całkowicie zdrowa psychicznie, w pełni władz umysłowych. Jej wiek też nie miał nic wspólnego z tym, czego była świadkiem.

Czuła, że wyjaśnienie wszystkich wydarzeń jest bardziej przerażające niż starzenie się, którego tak się obawiała.

„Nie jest pani tylko tą osobą, którą jest. Nie jest pani tylko Grace Mitowski”. — Znowu słyszała jego słowa.

Wiedziała, że rozwiązanie zagadki leży w zasięgu ręki. Czuła w sobie obecność mrocznej wiedzy, skrywanych długo wspomnień, oczekujących na ujawnienie. Bała się je wyciągnąć na światło dzienne, ale musiała to zrobić, dla dobra Carol, a być może i swojego.

Nagle poczuła dym, duszący zapach płonącego drewna i smoły. Ciągle stała w swojej jasnej, czystej kuchni, a widziała płomienie i słyszała trzask ognia, chociaż nie było żadnego pożaru, tutaj, teraz, w tym miejscu i czasie.

Serce waliło jej jak szalone, usta stały się suche.

Zamknęła oczy i zobaczyła gorejący dom tak wyraźnie jak w swoich koszmarach snach.

Widziała drzwi do piwnicy i słyszała, jak woła Laurę.

Wiedziała, że to nie tylko sen. To było wspomnienie, uśpione przez lata i teraz wydobywające się na światło dzienne, uświadamiające jej, że nie jest tylko Grace Mitowski.

Otworzyła oczy.

Gorące powietrze zapierało dech.

Czuła, że władają nią siły, których nie mogła pojąć. Czy tego chcę? — pomyślała. — Czy rzeczywiście chcę popłynąć z nimi, odkryć prawdę i zburzyć swój mały świat? Czy to zniosę?

Czuła gęstniejący dym, który nie istniał.

Słyszała huk płomieni, których nie było.

Nie mam już chyba odwrotu — pomyślała.

Podniosła ręce do twarzy i patrzyła na nie zdumiona — posiniaczone, skrwawione dłonie, zdarty naskórek, drzazgi wbite w ciało. Drzazgi z drzwi piwnicy, w które waliła tak dawno, dawno temu.

O dziesiątej, kiedy zadzwonił telefon, Paul siedział już prawie godzinę przy biurku. Czuł natchnienie i praca szła mu gładko. Podniósł słuchawkę i powiedział, trochę zniecierpliwiony:

— Tak?

Jakiś nieznajomy kobiecy głos spytał:

— Czy mogłabym rozmawiać z doktor Tracy?

— Przy telefonie.

— Och, nie... z panią doktor Tracy, z kobietą.

— To moja żona — odparł. — Wyjechała z miasta na kilka dni. Może coś przekazać?

— Tak, bardzo proszę powiedzieć, że dzwoniła Polly z przychodni Maugham i Crichton.

Zapisał pośpiesznie nazwisko w notesie.

— A o co dokładnie chodzi?

— Pani doktor była u nas wczoraj po południu z dziewczynką cierpiącą na amnezję...

— Tak. — Paul nagle bardzo się zainteresował. — Znam tę sprawę.

— Doktor Tracy pytała, czy słyszeliśmy kiedykolwiek o Millicent Parker.

— Zgadza się. Opowiadała mi o tym. Wywnioskowałem, że to jeszcze jeden ślepy zaułek.

— Wczoraj na to wyglądało — powiedziała Polly — teraz jednak okazało się, że jeden z lekarzy zna to nazwisko. I to sam doktor Maugham.

— Niech pani posłucha. Może zamiast czekać, aż żona do pani zadzwoni, opowie mi pani, do czego doszliście. A ja jej przekażę informację.

— Oczywiście, czemu nie? Widzi pan, doktor Maugham jest założycielem tej przychodni.

Kupił tę posiadłość osiemnaście lat temu i osobiście nadzorował renowację ścian zewnętrznych i wnętrza. Ma naturę szperacza, więc zrozumiałe, że chciał znać dzieje budynku. Dowiedział się, że dom zbudował w 1902 roku Randolph Parker. Parker miał córkę imieniem Millicent.

— W 1902 roku?

— Zgadza się.

— Ciekawe.

— Nie wie pan jeszcze najważniejszego — mówiła Polly typowym dla plotkarki tonem. —

W 1905 roku, w wieczór poprzedzający przyjęcie z okazji szesnastych urodzin Millie, pani Parker była w kuchni i ozdabiała wielki tort dla córki. Millie zaczęła się za jej plecami i czterokrotnie dźgnęła ją w plecy.

Paul bezmyślnie złamał ołówek, którym notował dane relacjonowane przez Polly.

— Dźgnęła własną matkę? — spytał, mając nadzieję, że nie dosłyszał.

— Okropne, prawda?

— Zabiła ją? — spytał odrętwiały.

— Nie. Doktor Maugham mówi, że według doniesień prasowych dziewczynka użyła noża o krótkim ostrzu. Nie wszedł tak głęboko, by spowodować poważne obrażenia. Żaden ważny narząd ani naczynie krwionośne nie zostały uszkodzone. Louise Parker, czyli matka, zdołała chwycić z wieszaka topór do mięsa, próbując nastraszyć dziewczynkę, ale Millie widać całkiem postradała zmysły, bo znów rzuciła się na panią Parker i pani Parker zmuszona była użyć tego topora.

— Jezu.

— Taak. — Polly wyraźnie była usatysfakcjonowana wrażeniem, jakie wywołały jej słowa.

— Doktor Maugham twierdzi, że uderzyła toporem w szyję dziewczynki. Niemal odrąbała jej głowę. Czyż to nie straszne? Ale cóż mogła zrobić? Pozwolić, żeby dziecko dalej dźgało ją nożem?

Oszołomiony Paul pomyślał o wczorajszym seansie terapii hipnotycznej, który Carol szczegółowo mu zrelacjonowała. Podobno Jane utrzymywała, że jest Millicent Parker, pisemnie odpowiadała na pytania, twierdząc, że nie może mówić, bo ma odciętą głowę.

— Jest pan tam? — dopytywała się Polly.

— O, hm... przepraszam. Czy to wszystko?

— Wszystko? Jeszcze panu mało?

— Nie — odparł. — Ma pani całkowitą rację. Dosyć. A nawet więcej niż dosyć.

— Nie wiem, czy te informacje w jakikolwiek sposób pomogą pani doktor Tracy.

— Jestem pewien, że tak.

— Chociaż wątpię, czy ta historia może mieć coś wspólnego z dziewczynką, którą przyprowadziła wczoraj ze sobą...

— Też tak uważam — odrzekł Paul.

— ...jako że Millicent Parker zmarła przed siedemdziesięciu sześciu laty.

Grace stała przy biurku w swoim gabinecie, szukając w słowniku interesującego jej hasła.

REINKARNACJA *rzecz.* 1. doktryna głosząca, że dusza po śmierci ciała powraca na ziemię w innym ciele lub postaci. 2. powtórne narodziny duszy w nowym ciele. 3. nowe wcielenie jakiejś osoby.

Bzdura? Nonsens? Przesąd? Głupota?

Kiedyś, nie tak dawno, właśnie tych słów by użyła, aby podać własną, suchą definicję reinkarnacji. Ale nie teraz. Już nie.

Zamknęła oczy i bez najmniejszego wysiłku przywołała obraz płonącego domu. Po prostu go widziała; świadoma, obecna, waliła pięściami w drzwi piwnicy. Nie była już Grace Mitowski, była Rachael Adams, ciotką. Laury.

Nie tylko tę dramatyczną scenę z życia Rachael mogła przywołać z tak ostrą wyrazistością.

Znała najintymniejsze myśli tej kobiety, jej nadzieje i marzenia, niechęci i obawy; dzieliła jej najgłębiej skrywane sekrety, bo te myśli, nadzieje, marzenia, obawy i sekrety były jej własnością.

Otworzyła oczy i potrzebowała zaledwie chwili, by przestawić się na świat współczesny.

REINKARNACJA

Zamknęła słownik.

Boże, dopomóż — pomyślała. — Czy ja w to wierzę? Czy naprawdę żyłam już przedtem?

I Carol już żyła? I dziewczynka, którą nazwano Jane Doe?

Jeśli to prawda, jeśli dano jej szansę — przypominając poprzednie wcielenie, Rachael Adams — ocalenia życia Carol w obecnym wcieleniu, to marnuje cenny czas.

Podniosła słuchawkę, żeby zadzwonić do Tracych, zastanawiając się, jak na Boga, sprawić, aby jej uwierzyli.

Brak sygnału.

Przycisnęła kilka razy widełki.

Nic.

Odłożyła słuchawkę i podążyła wzrokiem za przewodem aż do gniazdka w ścianie. Został przegryziony. Na pół.

Arystofanes.

Przypomniała sobie inne rzeczy, które powiedział jej w ogrodzie Palmer Wainwright: „Są pewne siły, mroczne i potężne, które chcą, aby wydarzenia potoczyły się zgodnie z ich planami.

Dążą do tragedii. Chcą znów być świadkiem jej końca, pełnego gwałtu i krwi... Rosną w siłę...

dobrze i źle, wrogie i przyjazne. Ty jesteś po właściwej stronie, Grace. Ale kot, och, to inna historia. Przez cały czas musisz się strzec kota”.

Uświadomiła sobie, że ciąg paranormalnych zdarzeń był nierozzerwalnie związany z kotem od samego początku. Środa w zeszłym tygodniu. Kiedy tego dnia obudziła się nagle z popołudniowej drzemki — wyrwana z koszmaru o Carol — za oknem szalał niewiarygodnie potężny ogień zaporowy błyskawic. Chwiejnym krokiem przeszła przez pokój i oparła się o parapet, a kiedy stała tam na słabych, artretycznych nogach, na wpół rozbudzona i na wpół śpiąca, miała osobliwe uczucie, że coś potwornego wyszło za nią z koszmaru sennego, coś demonicznego, z uśmiechem nienasycenia przylepionym do twarzy. Przez kilka sekund uczucie to było tak silne, że bała się odwrócić i spojrzeć za siebie. Jednak odsunęła od siebie tę dziwną myśl jako pozostałość snu. Teraz oczywiście wiedziała, że tylko pozornie udało jej się o niej zapomnieć. Coś dziwnego rzeczywiście było z nią w pokoju — duch, czyjaś obecność; nazwijcie to, jak chcecie. Było tam. A teraz jest w kocie.

Wyszła z gabinetu i przeszła korytarz.

W kuchni znalazła przegryziony przewód drugiego telefonu.

Ani śladu Arystofanesa.

Grace czuła jednak, że czai się gdzieś w pobliżu, może nawet tak blisko, by ją obserwować.

Zdawała sobie sprawę z jego obecności albo tego czegoś w nim.

Nasłuchiwała. W domu panowała nienaturalna cisza. Chciała pokonać parę metrów dzielących ją od drzwi wejściowych, przekroczyć je i znaleźć się na dworze, ale obawa przed nagłym, gwałtownym atakiem była silniejsza niż ta pokusa.

Pomyślała o pazurach i zębach kota. To nie był tylko zwykły domowy pieszczoł, zabawny syjamczyk o puszystej mordce i bystrym spojrzeniu. Teraz był także bezlitosną małą maszyną do zabijania; pod cienką warstewką udomowienia kryły się dzikie instynkty. Myszy, ptaki i wiewiórki czuły przed nim respekt i lęk. Czy jednak mógł zabić dorosłego człowieka?

Tak — doszła do wniosku zaniepokojona. — Tak, Arystofanes mógłby mnie zabić, jeśli zaatakowałby z zaskoczenia i dobrał się do mojego gardła lub oczu.

Powinna zostać w domu i nie drażnić kota do czasu, aż sama się uzbroi i poczuje pewnie w takim stopniu, by wygrać walkę.

Pozostał jeszcze telefon w sypialni na drugim piętrze. Poszła ostrożnie na górę, chociaż wiedziała, że i to połączenie będzie przerwane.

I miała rację.

Jednak wyprawa nie była bezowocna. Pistolet. Wysunęła szufladę szafki nocnej i wyjęła naładowaną broń. Przeczuwała, że będzie jej potrzebna.

Syk. Szelest.

Za jej plecami.

Zanim zdążyła się odwrócić i stanąć twarzą w twarz z przeciwnikiem, już był na niej. Skoczył z podłogi na łóżko, skąd z impetem wylądował na jej plecach, niemal zwalając ją z nóg. Na szczęście nie straciła równowagi. Okręciła się i otrząsnęła, usiłując desperacko zrzucić go z siebie, zanim zrobi jej krzywdę.

Przebił pazurami ubranie i wbił się w skórę na plecach, raniąc ją i zadając ból. Trzymał się mocno.

Zgarbiła się i schowała głowę w ramiona, osłaniając szyję przed ostrymi jak żyłki szponami.

Próbowała go uderzyć, wykręcając rękę do tyłu, ale zręcznie unikał jej niezgrabnych ciosów.

Nagle miauknął dziko i zaatakował jej szyję. Skuliła bardziej ramiona, pozostawiając na jego pastwę węzeł gęstych włosów związanych na karku.

Użycie broni nie było możliwe bez równoczesnego zranienia siebie. Przewyciężając ostry artretyczny ból zamierzyła się jeszcze raz i trafiła napastnika.

Przynajmniej na chwilę poniechał bezlitosnych, aczkolwiek nieskutecznych ataków. Przejechał pazurami po dosięgającej go pięści i przeciął skórę na kostkach.

Palce natychmiast zalały się krwią, a oczy z bólu zasły łzami.

Widok i woń krwi jeszcze bardziej pobudziły kota.

Przez moment Grace przeleciało przez myśl, że przegra tę walkę.

Nie!

Za wszelką cenę chciała przezwyciężyć strach, który ją obezwładniał. Zmusiła umysł do logicznego myślenia i nagle znalazła sposób na ocalenie życia.

Kot wczepiony pazurami w jej plecy przyciskał pysk do podstawy czaszki Grace, prychając i burcząc. Czekał na moment, kiedy będzie mógł dobrać się do skrywanej szyi i rozerwać tętnicę.

Grace, słaniając się, dotarła do najbliższej ściany, zwróciła do niej plecami i całym ciężarem przyłgnęła do niej, przyciskając kota do tynku; trzymała go tak między swoim ciałem a ścianą w nadziei, że zgniecie mu grzbiet. Wysilek wywołał rwący ból w ramionach, a pazury zwierzęcia weszły głębiej w mięśnie jej pleców. Kot wrzasnął przeraźliwie, ale nie rozluźnił chwytu.

Grace oderwała się od ściany, a potem uderzyła o nią jeszcze raz. Zawył jak poprzednio, lecz trzymał się mocno. Zamierzała zrobić trzecie podejście, ale zanim opadła na ścianę, oderwał się od niej. Spadł na podłogę, przeokoziłkował, skoczył na nogi i kulejąc na prawą przednią łapę, zaczął uciekać.

Boże. Zraniła go.

Wyczerpana, oparła się o ścianę, podniosła pistolet i pociągnęła za spust.

I nic.

Zapomniała odbezpieczyć broń.

Tymczasem zwierzę wyszło przez otwarte drzwi i po schodach wspięło się na górę.

Grace podeszła do drzwi, zamknęła je i oparła się o nie, dysząc ze zmęczenia.

Rozdrapana lewa ręka krwawiła, a na plecach miała szramy po kocich pazurach, lecz wygrała pierwszą rundę. Napastnik utykał, był ranny, może równie paskudnie jak ona, i to on się wycofał.

Za wcześnie na fetowanie zwycięstwa. Jeszcze nie teraz.

Dopóki nie wydostanie się żywa z tego domu. I dopóki się nie dowie, że Carol jest bezpieczna.

Po rozmowie, którą odbył z rejestratorką przychodni Maughama i Crichtona, Paul nie wiedział, co ma robić.

Nie mógł pisać. To pewne. Nie mógł przestać myśleć o Carol.

Chciał zadzwonić na policję do Lincolna Wertha z prośbą, żeby zastępca szeryfa czekał na Carol i Jane w domku letniskowym, a potem przywiózł je do domu. Jednak zrezygnował z tego, wyobrażając sobie, jaki miałaby przebieg ewentualna rozmowa:

— *Chce pan, żeby szeryf czekał na nie w domku?*

— *Zgadza się.*

— *Dlaczego?*

— *Sądzę, że moja żona jest w niebezpieczeństwie.*

— *Co jej zagrażał*

— *Myślę, że ta dziewczynka, Jane Doe, może być niebezpieczna. Może nawet posunąć się do zabójstwa.*

— *Dlaczego pan tak uważa?*

— *Bo w stanie hipnozy twierdziła, że jest Millie Parker.*

— *A kto to taki?*

— *Millie Parker usiłowała kiedyś zabić swoją matkę.*

— *Naprawdę? Kiedy to było?*

— *W1905 roku.*

— *To dzisiaj byłaby staruszką, na Boga. To dziecko ma tylko czternaście czy piętnaście lat.*

— *Pan nie rozumie. Millie Parker nie żyje od siedemdziesięciu sześciu lat i...*

— *Chwileczkę, chwilczkę! Co pan, do diabła, wygaduje? Że pana żona może zostać zamordowana przez dziecko, które prawie od stu lat nie żyje?*

— *Nie. Oczywiście, że nie.*

— *Więc o co panu chodzi?*

— *Ja... nie wiem.*

Werth miałby prawo podejrzewać, że Paul przebalował całą noc albo zaczął dzień od kilku machów dobrej trawki.

A poza tym to nieuczciwe wobec Jane — oskarżać ją publicznie o zabójstwo. Może Carol ma rację, że dziecko było tylko ofiarą. Pomijając to, co mówiła w stanie hipnozy, z pewnością nie sprawiała wrażenia osoby zdolnej do przemocy.

Z drugiej jednak strony, dlaczego powiedziała, że jest Millicent Parker, a więc morderczynią?

Gdzie wcześniej usłyszała to nazwisko? Czy posłużyła się nim, aby okazać ukrytą wrogość?

Paul odsunął się z krzesłem od biurka i popatrzył przez okno na szare niebo. Wiatr nasilał się z każdą minutą. Chmury ciągnęły na zachód niczym olbrzymie, szybkie, ciemne statki z falującymi żaglami.

OSTRZE, KREW, ŚMIERĆ, POGRZEB, ZAMORDOWAĆ, CAROL.

Muszę pojechać po Carol — pomyślał z nagłą stanowczością i wstał. Może przesadził z tą całą historią o Millicent Parker, ale nie mógł siedzieć i tylko się zastanawiać.

Poszedł do sypialni i wrzucił parę rzeczy do walizki. Po krótkim wahaniu zdecydował zabrać rewolwer kalibru.38.

— Kiedy dojedziemy na miejsce? — spytała dziewczynka.

— Za dwadzieścia minut — odparła Carol. — Zwykle zajmuje nam to około dwóch godzin i piętnastu minut, a więc jedziemy z dobrą szybkością.

W górach było chłodno i pachniało jesienią. Większość drzew, oprócz tych wiecznie zielonych, zaczynała zmieniać kolor liści, przybierając różne odcienie zieleni i brązu.

— Pięknie tu — stwierdziła Jane, kiedy brały zakręt na dwupasmowej drodze lokalnej. Po prawej stronie strome pobocze porastały zielone skupiska krzewów rododendronu.

— Uwielbiam góry Pensylwanii — powiedziała Carol. Po raz pierwszy od wielu tygodni czuła się naprawdę rozluźniona. — Tak tu spokojnie. Wystarczy, że pobędziesz w naszej chatce dzień czy dwa, a zapomnisz o reszcie świata.

Wyjechały z zakrętu na prostą drogę, nad którą splecione gałęzie drzew tworzyły barwne tunele. Spomiędzy liści wyzierało niebo, po którym toczyły się szaroczarne chmury, zastygłe w falujących, brzydkich, groźnych kształtach.

— Mam oczywiście nadzieję, że nie będzie padało i nic nam nie zepsuje pierwszego dnia.

— Nawet deszcz nie jest w stanie nic zepsuć — zapewniła ją Carol. — Jeśli będziemy zmuszone siedzieć w domu, wrzucimy całe naręczce kłód do wielkiego kominka i upieczemy kielbaski.

Mamy szafę pełną gier towarzyskich: monopoli, scrabble, labirynt, risk, bitwę morską i co najmniej tuzin innych. Sądzę, że nie ma szans, abyśmy umarły z nudów.

— Będzie świetnie! — radośnie wykrzyknęła Jane.

ROZDZIAŁ 11

Grace usiadła na brzegu łóżka z dwudziestkdwójką w dłoni, rozważając, jakie ma możliwości działania. Nie było ich wiele.

Właściwie im dłużej się zastanawiała, tym większe szanse dawała kotu na wygranie tego pojedynku.

Gdyby była o dwadzieścia lat młodsza, spróbowałaby opuścić dom przez okno sypialni. Biorąc pod uwagę wiek, chore stawy i kruche kości, skok z okna drugiego piętra na betonowe patio mógłby skończyć się śmiertelnymi obrażeniami.

Tak czy inaczej musiała się stąd wydostać w stanie wystarczająco dobrym, by dotrzeć do Carol i Paula.

Mogła otworzyć okno i zacząć wołać o pomoc, ale bała się, że Arystofanes — lub to coś, co opanowało ciało Arystofanesa — zaatakuje każdego, kto się pojawi w progu domu. Nie chciała mieć na sumieniu któregoś z sąsiadów.

To była jej bitwa. Tylko jej. Musiała walczyć sama.

Rozważała różne sposoby wyjścia z domu, gdyby udało jej się dotrzeć na parter, ale żaden nie był bezpieczniejszy od pozostałych. Kot mógł czyhać wszędzie. Dosłownie wszędzie. Sypialnia była jedynym azylem. Jeśli zaryzykuje i wyjdzie stąd, zostanie zaatakowana, bez względu na to, którą drogę wybierze. Może przycupnął w jakimś ciemnym zakamarku. Może usadowił się na szczycie regału z książkami, na kredensie lub na komodzie, spięty i gotowy do ataku.

Miała pistolet. Jego bronią była umiejętność skradania się i działania przez zaskoczenie.

Jeśli zareaguje o ułamek sekundy wolniej niż on, skoczy jej na twarz, rozdrapie gardło czy wydlubie oczy ostrymi niczym sztylety pazurami.

Dziwne, chociaż zaakceptowała reinkarnację, chociaż bez cienia wątpliwości przyjmowała istnienie jakiejś formy życia po śmierci, nadal jej się bała. Życie wieczne, w które wierzyła, w żadnej mierze nie pomniejszało wartości życia doczesnego. A właściwie teraz, gdy dane jej było dostrzec boską obecność pod widzialną powierzchnią życia, nabrało ono większego znaczenia niż kiedykolwiek przedtem.

Nie chciała jeszcze umierać.

Ale musiała działać, bez względu na to, jakie miała szanse przeżycia. Brak wody, żywności, a przede wszystkim natychmiastowa pomoc dla Carol były wystarczającym powodem, aby najdalej w ciągu kilku minut opuścić sypialnię.

Jeśli Carol zginie tylko dlatego, że zabrakło mi odwagi, by zmierzyć się z tym przeklętym kotem, myślała Grace, to lepiej dla mnie, żebym umarła.

Odbezpieczyła broń.

Wstała i podeszła do drzwi.

Przez chwilę stała z uchem przyciśniętym do futryny, nasłuchując odgłosów świadczących o obecności Arystofanesa. Panowała cisza.

Trzymając pistolet w prawej dłoni, drugą nacisnęła klamkę. Otwierała drzwi z najwyższą ostrożnością, stopniowo, centymetr po centymetrze, spodziewając się w każdej chwili błyskawicznego ataku. Nie nastąpił.

Z wahaniem wysunęła głowę na korytarz, rozejrzała się w obie strony.

Kota nie było.

Przeszła przez drzwi i stanęła, bojąc się zbyt daleko odejść od sypialni.

Idź! — powiedziała sobie ze złością. — Rusz dupę, Gracie!

Zrobiła krok w stronę szczytu schodów. Potem następny. Starła się stąpać jak najciszej.

Odległość, którą miała do pokonania, zdawała się nie mieć końca.

Spojrzała za siebie.

Ani śladu Arystofanesa.

Jeszcze jeden krok.

To najdłuższy marsz, jaki kiedykolwiek odbyła.

Paul zatrzasnął walizkę, podniósł ją i ruszył w stronę drzwi, gdy wtem przeraźliwy huk zatrząsnął domem.

ŁUP!

Spojrzał na sufit.

ŁUP! ŁUP! ŁUP!

Chociaż przez pięć minionych dni panował spokój, Paul od czasu do czasu wracał myślami do tajemniczych hałasów, jednak mając inne zmartwienia, nie zastanawiał się nad tym dłużej.

Ale teraz...

ŁUP! ŁUP! ŁUP!

Szarpiący nerwy odgłos odbił się echem od szyb i ścian. Wydawał się wibrować, rozsadzając jego głowę i wnętrzności.

ŁUP!

Po wielokrotnym analizowaniu brzmienia dźwięku, Paul nagle zrozumiał: to siekiera. To nie było walenie młotkiem, jak sądził. Nie. Dźwięk był za ostry, a każde uderzenie kończyło się jak gdyby kruchym trzaskiem. To był odgłos rąbania.

ŁUP!

Był już pewien, co wywoływało hałas, natomiast nadal nie potrafił go umiejscowić. Bez względu na to, co waliło, na litość boską, dźwięk nie mógł brać się z powietrza.

Nagle, nie wiadomo czemu, pomyślał o toporze, którym Louise Parker uderzyła w szyję córki maniaczki w 1905 roku. Pomyślał o piorunie w biurze Alfreda O'Briana; o zagadkowym intruzie na trawniku za domem podczas burzy; o scrabble'u (OSTRZE, KREW, ŚMIERĆ, POGRZEG, ZAMORDOWAĆ, CAROL); o dwóch proroczych snach Grace. Nie miał już wątpliwości, choć nie wiedział, skąd wzięła się ta pewność — dźwięk siekiery był ostatnim ogniwem łańcucha, który łączył te osobliwe wydarzenia. Intuicyjnie przeczuwał, że siekiera zagraża życiu Carol. W jaki sposób? Dlaczego? Nie znał odpowiedzi. Ale był pewien.

ŁUP! ŁUP!

Obraz wiszący na ścianie zerwał się z haka i stuknął o podłogę.

Miał uczucie, jakby krew przestała mu krążyć w żyłach.

Musi jak najszybciej dotrzeć do Carol.

Ruszył do drzwi sypialni, a te zatrzasnęły się przed nim. Nikt ich nie dotknął. Nie było przeciągu. Szeroko otwarte drzwi nagle się zamykają, jakby popchnięte czyjąś niewidzialną ręką.

Kątem oka zobaczył, że coś się rusza. Z walącym sercem i ściśniętym gardłem odwrócił się w tę stronę i instynktownie zasłonił walizką.

Jedne z dwojga ciężkich, lustrzanych drzwi szafy powoli się otworzyły. Wpatrywał się w ciemne wnętrze, ale nie dostrzegł nic poza ubraniami i wieszakami. Potem drzwi się zamknęły, a otworzyły drugie. Następnie równocześnie oba skrzydła to otwierały się, to zamykały, tam i z powrotem, bezgłośnie kołysząc się na plastikowych zawiasach.

ŁUP! ŁUP!

Na jednej z szafek nocnych przewróciła się lampa.

Kolejny obraz spadł ze ściany.

ŁUP!

Dwie porcelanowe figurki stojące na toalecie — baletnica i jej partner — zaczęły krążyć wokół siebie, jak gdyby ożyły i dawały występ przed Paulem. Z początku poruszały się powoli, potem szybciej, aż zsunęły się i spadły na podłogę.

Letni domek, zbudowany z drewnianych bali, kulił się w chłodnym cieniu pod drzewami.

Miał długą, krytą, przeszkloną werandę od frontu i rozciągał się z niego wspaniały widok na jezioro.

Był to jeden z dziewięćdziesięciu domków letniskowych schowanych w tej malowniczej dolinie wśród gór; każdy z nich na działce o powierzchni akra lub pół. Wszystkie ustawiono na południowym brzegu jeziora i prowadziła do nich wewnętrzna droga żwirowa zakończona bramą.

Carol zaparkowała samochód blisko drzwi frontowych. Wsiadły i stały przez chwilę w milczeniu, słuchając ciszy i oddychając cudownie świeżym powietrzem.

— Przepięknie — odezwała się wreszcie Jane.

— Prawda?

— Tak spokojnie.

— Nie zawsze tak jest. W sezonie panuje tu duży ruch. Ale teraz prawdopodobnie nie ma nikogo oprócz Peg i Vince'a Gervisów.

— Kim oni są? — spytała Jane.

— To dozorczy. Zarząd właścicieli domków płaci im pensję. Mieszkają przez cały rok w ostatniej chatce, za jeziorem. Po sezonie kilka razy dziennie obchodzą teren, strzegąc go przed pożarem, wandalami i dzikimi lokatorami. Mili ludzie.

Na północy mignęła błyskawica. Rozległ się huk pioruna i odbił echem.

— Pośpieszmy się lepiej z wypakowaniem bagażu, zanim spadnie deszcz — powiedziała Carol.

Grace bała się zejść po schodach, licząc się z możliwością ataku. Lęk przed utratą równowagi ograniczał środki samoobrony. Upadek z tej wysokości z pewnością zakończyłby się złamaniem nogi lub biodra i ułatwił kotu zadanie. Schodziła więc ze schodów bokiem, z plecami przyciśniętymi do ściany, rozglądając się na wszystkie strony.

Ale Arystofanesa nigdzie nie było. Grace bez problemu dotarła na parter.

Aby dojść do frontowych drzwi, musiała przejść koło gabinetu i przez korytarzyk prowadzący do salonu. Z każdego z tych pomieszczeń mógł wyskoczyć kot, rzucić się na nią, zanim zdołałaby wycelować i pociągnąć za spust.

Aby dojść do drzwi z tyłu domu, należało minąć salon i kuchnię, co było ryzykowne i niebezpieczne ze znanych już powodów. Którą wybrać drogę?

Podjęcie decyzji ułatwił jej fakt, że kluczyki od samochodu znajdowały się w kuchni.

Stąpiła ostrożnie, posuwając się wzdłuż korytarza w stronę kuchni. Po drodze natknęła się na ozdobny stolik, na którym stały dwie wysokie wazy. Podniosła jedną z nich i bokiem skradała się w stronę otwartych drzwi jadalni.

Stanęła i nasłuchiwała.

Cisza.

Pochyliła się do przodu i zajrzała do środka. Panował półmrok. Zaciągnięte do połowy zasłony i pochmurny dzień sprzyjały napastnikowi, który z powodzeniem mógł się ukryć w licznych zakamarkach. Aby odwrócić od siebie uwagę, Grace cisnęła wazę, która z głośnym hukiem rozbiła się na środku jadalni. Błyskawicznie chwyciła za klamkę, zatrzasnęła drzwi i szybko cofnęła się do holu. Kot, jeśli tam był, został w środku.

Chwilę stała, nasłuchując, ale z jadalni nie dobiegał żaden odgłos. Najprawdopodobniej zniszczyła wazę i nic nie osiągnęła.

Rozglądając się na wszystkie strony, doczłapała się do kuchni, zawahała się i wkroczyła z pistoletem wyciągniętym przed siebie. Powoli, dokładnie zlustrowała wnętrze, zanim weszła dalej. Stolik i krzesła. Bucząca lodówka. Zwisający, przegryziony przewód telefonu. Byszczące chromowane przybory kuchenne pod szafkami. Dwukomorowy zlew. Białe blaty. Gaśnior na wino. Słój na bułeczki i pojemnik na pieczywo.

Nic się nie poruszyło.

Dobra — pomyślała. — Zaciśnij zęby i rusz się, Gracie.

Stąpała cichutko, rozglądając się bacznie. Ani śladu kota.

Może zraniłam go poważniej, niż sądziłam — wmawiała sobie z nadzieją. — Może nie tylko okuliłam tego bękarta. Może dowłókł się w jakiś kąt i zdechł.

Dotarła do zapasowych drzwi.

Oddychała bezgłośnie, aby nie zagłuszyć żadnego dźwięku.

Pęk kluczy, łącznie z kluczykami od samochodu, wisiał na małym kołku. Zdjęła go z wieszaka.

Sięgnęła do klamki.

Kot prychnął.

Grace krzyknęła i obróciła głowę w kierunku, skąd dolatywał dźwięk.

Stała przy końcu długiego rzędu szafek. Jeszcze raz, tylko pod innym kątem, przyjrzała się przedmiotom stojącym na blacie. Słój z bułeczkami i pojemnik na pieczywo, zwykle dosunięte do ściany, zostały przesunięte o kilkanaście centymetrów. Między nimi przycupnął kot, wpatrzony w drzwi i gotowy do skoku.

Konfrontacja zakończyła się w ciągu paru sekund, które dla Grace wlokły się w nieskończoność; czuła się jak postać z filmu puszczanego w zwolnionym tempie. Cofnęła się, opierając plecami o ścianę, podniosła pistolet i strzeliła dwa razy, raz za razem. Słój z bułeczkami rozprysł się, a z drzwiczek jednej z szafek posypały się drzazgi. Jednak chybiła. Kot wysunął się z kryjówki i ruszył powolnymi, dużymi krokami, z rozdziawionym pyskiem i obnażonymi zębami. Znów wystrzeliła, ale zadrżała jej ręka i kula odbiła się od blatu szafki, rykoszetując i wydając świdrujący, przeciągły świst. Tymczasem kot dotarł do końca blatu i skoczył, a Grace wystrzeliła

jeszcze raz. Tym razem celnie. Usłyszała przeraźliwe miauknięcie. Kula trafiła zwierzę na ułamek sekundy przed tym, zanim wylądowało jej na twarzy. Siła pocisku odrzuciła bestię do tyłu z taką mocą, że kocur odbił się od drzwi kuchni i jak kamień spadł na podłogę. Leżał cicho, bez ruchu.

Paul zastanawiał się, czym kierował się poltergeist, demonstrując swoją siłę. Czy próbował go zatrzymać, aby nie mógł pomóc Carol? A może w ten sposób dawał mu do zrozumienia, aby jak najszybciej wyruszał w drogę?

Trzymając w jednej ręce walizkę, zbliżył się do drzwi zamkniętych czyjaś niewidzialną ręką.

Gdy sięgał do klamki, zaczęły drgać — z początku delikatnie, potem gwałtownie.

Łup... łup... łup... łup!

Błyskawicznie cofnął rękę, niepewny, co robić.

ŁUP!

Odgłos uderzeń siekiery dobiegał właśnie z tej strony. Masywne jodłowe drzwi, obite dodatkowo drewnianymi płytami, zatrzęsły się i pękły przez środek.

Paul odskoczył w tył.

Pojawiło się następne pęknięcie, równoległe do pierwszego, a do pokoju posypały się drzazgi.

Huśtające się drzwi szafy oraz latające porcelanowe figurki mogły być dziełem poltergeista, z pewnością jednak żaden duch nie zdołałby rozłupać masywnych drzwi. Po przeciwnej stronie musiał stać ktoś wymachujący prawdziwą siekierą.

Paul poczuł się bezbronny. Rozejrzał się po pokoju, szukając jakiejś broni, ale bez powodzenia.

Trzydziestkaósemka znajdowała się w walizce. Nie było czasu, aby po nią sięgnąć, chociaż ile by dał, aby móc teraz trzymać w dłoni rewolwer.

ŁUP-ŁUP-ŁUP-ŁUP!

Drzwi sypialni eksplodowały do wewnątrz, rozpadając się na niezliczone kawałki i drzazgi.

Podniósł szybko ramię, żeby zasłonić oczy.

Kiedy mógł już spojrzeć, stwierdził, że za drzwiami nikt nie stoi, żaden człowiek z siekierą.

Rębaczem okazała się czyjaś niewidzialna obecność.

ŁUP!

Minął poszarpaną framugę i wyszedł na korytarz.

Korki znajdowały się w spizarni kuchennej. Carol włączyła wszystkie bezpieczniki i rozbłysło światło.

Z wyjątkiem telefonu znajdowały się tu wszystkie współczesne udogodnienia.

— Nie uważasz, że tu jest chłodno? — spytała Carol.

— Trochę.

— Mamy piec na gaz z butli, ale przyjemniej będzie nam przy kominku. Przynieśmy trochę polan.

— Czy mamy ścinać drzewa?

Carol zaśmiała się.

— To nie będzie konieczne. Chodź, zobaczysz.

Zaprowadziła dziewczynkę na tyły domku, gdzie po schodkach schodziło się na niewielkie podwórko graniczące z łąką porośniętą bujną trawą.

Carol zatrzymała się zaskoczona. Ten znajomy krajobraz skojarzyła z koszmarnym snem, jaki nękał ją przez kilka nocy w zeszłym tygodniu. Biegła przez jakiś dom, potem przez górską łąkę, a coś srebrzystego migotało w ciemności za jej plecami. Wtedy nie zdawała sobie sprawy, że łąka ze snu tak bardzo przypominała tę łąkę.

— Coś się stało? — spytała Jane.

— Co? Och. Nic. Weźmy to drewno.

Zaprowadziła dziewczynkę do szopy przylegającej do południowozachodniej ściany domku.

W oddali uderzył piorun. Deszcz jeszcze nie zaczął padać.

Carol otworzyła ciężką kłódkę, zdjęła ją ze skobla i wsunęła do kieszeni kurtki. Nie będzie potrzeby zakładać jej na nowo aż do chwili powrotu do Harrisburga, za dziewięć czy dziesięć dni.

Drzwi szopy otworzyły się, skrzypiąc nienasmarowanymi zawiasami. W środku Carol pociągnęła za łańcuszek włącznika, i goła stuwatowa żarówka oświetliła stosy zakurzonych polan schowanych tu przed deszczem i wilgocią.

Z haka w suficie zwisało wiadro do noszenia drewna. Carol zdjęła je i wręczyła dziewczynce.

— Jeśli napelnisz je cztery, pięć razy, wystarczy opału aż do jutra rana.

Zanim Jane obróciła z wiadrem po raz pierwszy, Carol zdążyła już porąbać siekierą krótką kłódę na cztery kawałki.

— Co pani robi? — spytała dziewczynka, nie podchodząc zbyt blisko i wpatrując się z rezerwą w siekierę.

— Kiedy rozpalam ogień — objaśniała Carol — kładę na spód drewno na rozpałkę, na to warstwę tych rozłupanych klocków, a potem całe kłody drewna. Ten sposób nigdy nie zawiódł.

Widzisz? Jestem zupełnie jak Daniel Boone.

Dziewczynka zrobiła naburmuszoną minę.

— Ta siekiera jest strasznie ostra.

— Musi być.

— Jest pani pewna, że to bezpieczne?

— Robiłam to przedtem wiele razy, tu i w domu — odparła Carol. — Jestem ekspertem. Nie martw się, kochanie. Nie zamierzam przez przypadek amputować sobie palców u nóg.

Podniosła następną kłodę i zaczęła rozdzielać ją na czworo.

Jane weszła do szopy, szerokim łukiem omijając pień do rąbania drzewa. Kiedy wróciła, niosąc drugą porcję do domu, znów spojrzała przez ramię, marszcząc brwi.

ŁUP!

Z walizką w ręku Paul szedł korytarzem drugiego piętra do schodów, a poltergeist szedł z nim. Po obu stronach otwierały się i zamykały z trzaskiem drzwi, raz po raz, wszystkie samoistnie i z tak wielką siłą, że miał wrażenie, jakby przemykał pod morderczym ostrzałem armatnim.

Gdy schodził ze schodów, żyrandol wiszący na łańcuchu u szczytu klatki schodowej zaczął zataczać szerokie kręgi, poruszony czyjąś niewidzialną ręką.

Mijając pierwsze piętro, zauważył leżące na podłodze obrazy, które pospadały ze ścian, i przewracane krzesła. Kanapa w salonie kołysała się gwałtownie na swoich czterech zgrabnych nóżkach. W kuchni trząsł się wieszak z wiszącymi na nim naczyniami; garnki, patelnie i chochle uderzały o siebie.

Zanim dotarł do garażu, wiedział już, że nie będzie mu potrzebna walizka z całą zawartością.

Początkowo, łudząc się jeszcze, że nie ma powodu do niepokoju, spakował oprócz rewolweru niezbędne rzeczy osobiste. Teraz, po rozmowie z Polly z przychodni Maughama i Crichtona i po zdumiewającym pokazie możliwości poltergeista, wiedział, że sprawy przybrały zły obrót;

istniało małe prawdopodobieństwo, że Carol nic nie grozi. Znalazł się w jakimś koszmarze. Co do tego nie miał wątpliwości. Otworzył walizkę i wyjął naładowany rewolwer, a resztę zawartości zostawił.

Kiedy tyłem wyjeżdżał z podjazdu, zobaczył niebieskiego forda Grace Mitowski wylaniającego się zza rogu. Ścinając kąt, podjechał do krawężnika przed domem, tak silnie się o niego ocierając, że wokół podniósł się niebieskobiały kurz.

Grace wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę pontiaca szybciej niż zwykle. Gwałtownym ruchem otworzyła drzwi od strony pasażera i pochyliła się. Włosy miała w kompletnym nieładzie, twarz białą jak kreda i splamioną krwią.

— Dobry Boże, Grace, co ci się stało?

— Gdzie Carol?

— Pojechała w góry.

— Już?

— Dziś rano.

— Cholera. Kiedy dokładnie?

— Trzy godziny temu.

Oczy Grace były półprzytomne.

— Dziewczynka pojechała z nią?

— Tak.

Zamknęła oczy, a Paul dostrzegł, że z wysiłkiem stara się przemóc i uspokoić.

— Właśnie tam jadę.

Spostrzegł jej zdumienie, gdy zauważyła rewolwer na przednim siedzeniu, wylotem lufy skierowany w stronę deski rozdzielczej.

Przeniosła wzrok z broni na twarz Paula.

— Ty wiesz, co się dzieje? — spytała zaskoczona.

— Niezupełnie — odrzekł, chowając rewolwer do skrytki na rękawiczki. — Wiem na pewno tyle, że Carol ma kłopoty. Cholernie poważne kłopoty.

— Nie tylko o Carol musimy się martwić. O nie obie — powiedziała Grace.

— Obie? Masz na myśli dziewczynkę? Ale myślę, że to właśnie ona zamierza...

— Tak. Zamierza zabić Carol. Ale to ona może zginąć. Tak jak przedtem.

Wsiadła do samochodu i zatrzasnęła drzwi.

— Jak przedtem? — spytał Paul. — Ja nie... — Spostrzegł zakrzepłą krew na jej ręce. — To powinien obejrzeć lekarz.

— Nie ma czasu.

— Co tu się, do diabła, dzieje? — dopytywał się. Lęk o Carol powodował rozdrażnienie. —

Wiem, że coś dziwnego, ale na Boga, co?

— Ja wiem — powiedziała. — Właściwie wiem o wiele więcej, niżbym chciała.

— Jeśli wiesz cokolwiek, co ma sens, cokolwiek konkretnego, powinniśmy wezwać gliniarzy. Oni zadzwonią do tamtejszego biura szeryfa i spowodują, że szybko zostanie wysłana pomoc, szybciej, niż my tam dotrzemy.

— To, co wiem, dla mnie jest konkretne i logicznie powiązane — odparła Grace — ale nie sądzę, by policja podzielała mój pogląd. Pomyślą, że jestem głupią, sklerotyczną staruszką, którą najlepiej zamknąć w pewnym miłym, bezpiecznym miejscu. Albo po prostu mnie wyśmieją.

Pomyślał o poltergeiście, o waleniu siekierą, rozłupanych drzwiach, poruszających się figurkach, przewróconych krzesłach.

— Taak. Wiem dokładnie, co masz na myśli.

— Musimy sami się z tym uporać. Zbierajmy się. Wszystko opowiem ci po drodze. Gdy pomyślę, co może wydarzyć się w górach, każda zmarnowana minuta nie daje mi spokoju.

Paul wyjechał tyłem na ulicę i skierował się do najbliższego zjazdu na autostradę. Potem nacisnął gaz i samochód pomknął przed siebie jak rakieta.

— Ile czasu trwa zwykle podróż do chatki? — spytała Grace.

— Około dwóch godzin i piętnastu minut.

— Za długo.

— Będziemy szybciej.

Wskazówka szybkościomierza dochodziła do stu dwudziestu kilometrów.

ROZDZIAŁ 12

Przywiezły wiele żywności w kartonowych pudłach i skrzyniach. Przeniosły wszystkie pakunki do szafek i lodówki, zgadzając się, że nie zjedzą lunchu, natomiast pozwolą sobie na godną obżartuchów kolację.

— W porządku — rzekła Carol, wyjmując jakąś kartkę z jednej z szuflad kuchennych, oto co musimy zrobić, aby to miejsce nadawało się do zamieszkania. — Czytała po kolei. — Zdjąć plastikowe pokrowce z mebli; odkurzyć; wyszorować zlew w kuchni; posprzątać łazienkę; położyć pościel i koce na łóżkach.

— I pani nazywa to urlopem? — spytała Jane.

— Czy coś nie tak? Czy według ciebie nie jest to wystarczająco atrakcyjny porządek dnia?

— Przyprawia mnie o dreszcze.

— Cóż, domek nie jest duży. Obie uporamamy się z tym w ciągu godziny.

Pracę przerwało im stukanie do drzwi. Był to dozorca, Vince Gervis. Wielki, brzuchaty mężczyzna o potężnych ramionach, olbrzymich bicepsach, dużych dłoniach i sympatycznym uśmiechu.

— Właśnie robię obchód — powiedział. — Zobaczyłem pani samochód. Chciałem się przywitać.

Carol przedstawiła mu Jane jako swoją siostrzenicę (poręczne kłamstewko). Ucieli sobie grzecznościową pogawędkę, a potem Gervis zapytał:

— Pani doktor Tracy, gdzie jest drugi doktor Tracy? Chciałbym i jemu złożyć wyrazy szacunku.

— Och, jeszcze go nie ma. Przyjedzie w niedzielę, kiedy skończy ważną pracę, której nie mógł odłożyć.

Gervis zmarszczył brwi.

— Coś nie tak? — spytała Carol.

— Cóż... planowaliśmy z żoną pojechać do miasta po zakupy, może pójść do kina, zjeść coś w restauracji. Robimy tak w każdy piątek, rozumie pani. Ale teraz... Poza panią i Jane nie ma tu żywej duszy. Może ktoś przyjedzie jutro, jak w każdą sobotę, jeśli pogoda będzie znośna.

— Nie martw się o nas — odparta Carol. — Wszystko będzie dobrze. Ty i Peg możecie jechać do miasta, tak jak planowaliście.

— Cóż... nie jestem pewien, czy to dobry pomysł, aby dwie panie zostały całkiem same na tym odludziu. O nie, wcale mi się to nie podoba.

— Nikt nas tu nie będzie nachodził, Vince. Brama wjazdowa jest zamknięta i bez karty magnetycznej nikt przez nią nie wejdzie.

— Każdy może wejść bez większego wysiłku.

Carol potrzebowała kilku minut i wielu słów, żeby go przekonać, aż w końcu zdecydował się nie zmieniać planów na piątkowy wieczór.

Niedługo po wyjeździe Vince'a zaczął padać deszcz. Delikatne stukanie milionów kropli uderzających o miliony szeleszczących liści działało na Carol kojąco.

Jane czuła się jednak nieswojo.

— Nie wiem dlaczego — rzekła — ale ten odgłos każe mi myśleć o ogniu... płomieniach pożerających wszystko na swojej drodze i skwierczeniu, skwierczeniu...

Deszcz zmusił Paula dojechania sześćdziesiątką, co i tak było ryzykowne, biorąc pod uwagę warunki panujące na drodze.

Wycieraczkami na szybie uderzały jak metronom, a opony obracały się cicho po mokrej tłuczniowej nawierzchni.

Dzień był pochmurny, a stawał się jeszcze bardziej ponury. Miało się wrażenie, że to zmrok, a nie środek dnia. Wiatr zaciął deszczem, tworząc zasłony na zdradliwie mokrej jezdni, a przejeżdżające samochody wzbijały szarobrunatną błotnistą zawiesinę.

Mieli uczucie, jakby pontiac był stateczkiem żeglującym wśród odmętów ogromnego, zimnego morza, jedyną ciepłą, jasną plamką na bezkresnym obszarze.

Grace powiedziała:

— Nie uwierzysz w to, co mam ci do powiedzenia, ale mogę cię zrozumieć.

— Po tym, co mi się dziś przydarzyło — odparł Paul — gotów jestem uwierzyć we wszystko.

A może właśnie poltergeistowi o to chodziło? — pomyślał. — Może chciał mnie przygotować na opowieść Grace? Właściwie, gdyby mnie nie zatrzymał, wyszedłbym z domu, zanim się zjawiała.

— Postaram się mówić jak najbardziej zrozumiale — powiedziała Grace. — Ale to wcale nie jest prosta i jasna sprawa. — Tuliła swoją rozoraną lewą dłoń w prawej; krwawienie ustało, a rany zasklepiły się, zakrzepły.

— Zaczyna się to wszystko w 1865 roku, w Shippensburgu, w rodzinie Havenswoodów.

Paul rzucił jej przestraszone spojrzenie.

Patrzyła prosto przed siebie na rozmokłą od deszczu okolicę.

— Matka nazywała się Willa Havenswood, a córka miała na imię Laura. Nie lubiły się specjalnie. Właściwie wcale się nie lubiły. Wina leżała po obu stronach, a powody ich skłócenia nie są ważne. W przeciwieństwie do tego, że pewnego wiosennego dnia Willa posłała Laurę do piwnicy, żeby zrobiła wiosenne porządki, aczkolwiek świetnie wiedziała, że dziewczynka śmi-

ertelnie boi się tam wchodzić. Rozumiesz, taka kara. I kiedy Laura była w piwnicy na dole, na piętrze wybuchł pożar. Znalazła się w potrzasku i spaliła. Umierając, musiała obwiniać matkę za to, że wpędziła ją w pułapkę. Może nawet podejrzewała Willę o zaproszenie ognia, co nie było zgodne z prawdą. Pożar spowodowała przypadkowo Rachael Adams, ciotka Laury. Zarówno dziecko, jak i matka miały zaburzenia emocjonalne, co sprzyjało tego typu melodramatycznym wyobrażeniom. W każdym razie Laura poniosła śmierć w płomieniach i możemy niemal mieć pewność, że jej ostatnią myślą było żarliwe pragnienie zemsty. Nie mogła przecież wiedzieć, że jej matka także spłonęła!

A zatem dlatego nie potwierdzono tożsamości Laury Havenswood, kiedy Carol zgłosiła to policji — pomyślał Paul. — Nie przyszło im do głowy, aby cofnąć się do dziewiętnastego wieku w poszukiwaniu rodziny Havenswoodów. Akta lokalnych urzędów z tego okresu prawdopodobnie już nawet nie istniały.

Naprzeciwko nich z mgły wynurzyła się wolno jadąca ciężarówka i Paul minął ją. Przez chwilę brudna zawiesina rozpryskiwana przez wielkie opony dudniła o tył maski pontiaca, a hałas był tak wielki, że Grace nie mogła go przekrzyczeć.

Po chwili jednak ciągnęła:

— Od 1865 roku Laura szukała zemsty co najmniej w dwóch różnych wcieleniach. Reinkarnacja, Paul. Uwierzyłbyś? Uwierzyłbyś, że w 1943 roku Laura Havenswood, jako piętnastoletnia dziewczynka, Linda Bektermann, w wieczór poprzedzający jej szesnaste urodziny próbowała zabić swoją matkę? Linda Bektermann wpadła w szal i rzuciła się na nią z siekierą, ale matka w obronie własnej zabiła dziewczynkę. Laura się nie zemściła. I czy uwierzysz, że Willa znów ożyła i jest naszą Carol? I że Laura także żyje?

— Jane?

— Tak.

Carol i Jane w ciągu godziny zrobili porządki. Carol była zachwycona, widząc, z jaką przyjemnością, entuzjazmem i sumiennością dziewczynka wykonuje jej polecenia.

Kiedy skończyły, w nagrodę nalały sobie po szklance pepsi i usiadły w dwóch potężnych fotelach naprzeciwko kominka.

— Za wcześnie, by zająć się kolacją — rzekła Jane. — I za mokro, żeby wyjść na spacer, więc w jaką grę chciałaby pani zagrać?

— Zgadzam się na wszystko, co wybierzesz. Przejrzyj gry i zdecyduj. Sądzę jednak, że przedtem powinnyśmy przeprowadzić seans terapeutyczny.

— Czy musimy to robić nawet podczas urlopu? — spytała dziewczynka wyraźnie zaniepokojona.

— Oczywiście, nie możemy przerywać leczenia — oznajmiła Carol. — Teraz, kiedy mamy już jakieś osiągnięcia, musimy próbować nadal.

— Cóż... w porządku.

— Dobrze. Obróćmy fotele.

Płomienie w kominku tworzyły tańczące cienie na ścianach paleniska.

Na dworze deszcz nieustannie stukał o dach i konary drzew, a Carol musiała przyznać, że te odgłosy rzeczywiście przypominają trzask palących się szczap.

Zaledwie parę sekund wprowadzała Jane w trans, ale minęły prawie dwie minuty, zanim cofnęła się do momentu, od którego zaczynały się jej wspomnienia. Tym razem Carol cierpliwie czekała, aż dziewczynka przemówi.

— Mamo? To ty? To ty, mamó? — powiedziała głosem Laury.

— Laura?

— To ty? To ty, mamó? Tak?

— Odpręż się — poleciła Carol.

Nie reagując na polecenie, Jane zgarbiła ramiona, zacisnęła pięści na kolanach. Pojawiły się zmarszczki na czole i w kąciach ust. Pochyliła się w stronę Carol.

— Chcę, żebyś odpowiedziała na parę pytań. Musisz się najpierw uspokoić i odprężyć. A teraz zrób dokładnie tak, jak mówię. Rozewrzyj pięści...

— Nie!

Dziewczynka otworzyła oczy, zerwała się z fotela i stanęła przed Carol, dygocząc.

— Usiądź, kochanie.

— Nie będę robić tego, co mi każesz! Mam już dosyć twoich kar.

— Siadaj. — Carol mówiła cicho, lecz stanowczo.

Mała spojrzała na nią.

— Ty mi to zrobiłaś — powiedziała. — Ty mnie wsadziłaś w to okropne miejsce.

Carol zawahała się, a potem zdecydowała podążać tym tropem.

— O jakim miejscu mówisz?

— Sama wiesz. — W głosie dziewczynki brzmiało oskarżenie. — Nienawidzę cię.

— Gdzie jest to okropne miejsce, o którym mówisz? — nalegała Carol.

— W piwnicy.

— A cóż w niej jest takiego okropnego?

Jane patrzyła z nienawiścią, rozciągając wargi w dzikim grymasie.

— Lauro? Odpowiadaj. Co jest okropnego w piwnicy?

Dziewczynka uderzyła ją w twarz.

Tego się nie spodziewała. Ostre, bolesne uderzenie. Przez chwilę po prostu nie mogła uwierzyć, że właśnie dostała w twarz.

Wtedy Jane uderzyła jeszcze raz. Otwartą dłonią.

I znowu. Jeszcze mocniej.

Carol chwyciła ją za wiotkie nadgarstki, ale mała się wywinęła. Kopnęła Carol w goleń, a kiedy ta krzyknęła i przez chwilę rozcierała bolące miejsce, przyskoczyła i chwyciła ją za gardło. Carol broniała się z trudem, usiłując wstać z fotela. Jane pchnęła ją z powrotem i opadła na nią całym ciężarem. Carol poczuła, że dziewczynka gryzie ją w ramię i nagle jej szok i zdumienie zmieniły się w strach. Fotel przewrócił się i obie, walcząc, potoczyły się po podłodze.

Równina, przez którą jechali, zaczynała się wznosić i układać w łagodne, zaokrąglone wzgórza.

Jeśli w ciągu ostatniej półgodziny pogoda się zmieniła, to na gorsze. Padał ulewny deszcz; ciężkie, napęczniałe krople wody rozbijały się o jezdnię jak szklane kule i rozpryskiwały wysoko. Paul utrzymał wskazówkę szybkościomierza na stałej prędkości.

— Reinkarnacja — odezwał się zamyślony. — Jeszcze parę minut temu powiedziałem ci, że dziś uwierzyłbym we wszystko, ale tego już za wiele. Reinkarnacja? Jak, do diabła, natrafiłaś na tę teorię?

Grace opowiedziała mu o telefonach od Leonarda, o wizycie dawno zmarłego reportera, o proroczych snach i bitwie z Arystofanem.

— Jestem Rachael Adams, Paul. Uświadomiono mi to, abym przerwała ten morderczy krąg.

Willa nie zaproszyła ognia. Ja to zrobiłam przez przypadek. Nie ma powodu, żeby dziewczynka się mściła. To tragiczne nieporozumienie. Muszę z nią porozmawiać, kiedy wcieli się w postać Laury, i wyjaśnić, jak było naprawdę. Wiem, że mogłabym. Mogę ją powstrzymać raz na zawsze. Myślisz, że świruję? Że to skleroza? Ja w to wierzę. I podejrzewam, że ty też, po tym, czego sam doświadczyłeś.

— Zgoda, trafiłaś w dziesiątkę.

Jednak reinkarnacja, odrodzenie w nowym ciele, to rzecz oszałamiająca, zbyt wstrząsająca, by ją przyjąć, o wiele trudniejsza do zaakceptowania niż istnienie poltergeistów.

— Wiesz o Millicent Parker? — spytał.

— Nigdy nie słyszałam tego nazwiska — odparła Grace.

— W 1905 roku Millie Parker usiłowała zabić matkę w przeddzień swoich szesnastych urodzin.

Tak jak w przypadku Lindy Bektermann, skończyło się śmiercią Millie. Klasyczna samoobrona. I oto z czego nie zdawaliśmy sobie sprawy: zahipnotyzowana Jane twierdziła, że jest Laurą, Millie, a potem Lindą Bektermann. Ale te nazwiska nic dla nas nie znaczyły.

— A więc i w przypadku Millicent Parker — podjęła Grace — niezaspokojona chęć zemsty spowodowała frustrację. Tak. Wiedziałam, że musi być jeszcze jakieś życie pomiędzy Laurą i Lindą.

— Ale dlaczego zawsze dzieje się to w wieczór przed urodzinami?

— Laura wyczekiwała swoich szesnastych urodzin z wielką niecierpliwością — powiedziała Grace-Rachael. — Mówiła, że to będzie najwspanialszy dzień w jej życiu. Wiązała z nim wiele planów. Sądzę, że miała nadzieję na zmianę w sposobie traktowania jej przez matkę. Zginęła jednak w pożarze przed urodzinami.

— Jane, jak i jej poprzedniczki, w których ciała wcielała się Laura, w ten dzień silniej odczuwała lęk i nienawiść do matki.

Grace kiwnęła głową.

Jechali przez chwilę w milczeniu.

Ręce Paula lepiły się od potu na kierownicy.

W myślach rozważał historię, którą opowiedziała mu Grace, i ogarniało go dawno minione uczucie, że balansuje na linie rozpiętej wysoko nad otchłanią.

— Ale Carol nie jest matką Jane — powiedziała w końcu.

— Zapomniałeś o czymś.

— O czym?

— Carol miała panieńskie dziecko, kiedy była nastolatką. Wiem, że ci o tym opowiadała. Nie wyjawiam żadnej tajemnicy.

Paul poczuł ścisk w żołądku. Przeszył go chłód aż do szpiku kości.

— Mój Boże. Chcesz powiedzieć... Jane jest dzieckiem, które Carol oddała do adopcji.

— Nie mam na to dowodów — odrzekła Grace. — Założę się jednak, że kiedy policja rozszerzy zasięg poszukiwań na inne stany i wreszcie znajdą się rodzice dziewczynki, dowiemy się, że jest dzieckiem adoptowanym. I że Carol jest jej naturalną matką.

Walczyły już chyba całą wieczność, tarzając się po podłodze, sapiąc, postępując, wijąc; dziewczyna waliła pięściami, Carol usiłowała stawić opór, nie robiąc jej krzywdy. Wreszcie, gdy stało się jasne, że Carol jest zdecydowanie silniejsza i przejmie kontrolę nad sytuacją, Jane odepchnęła ją, wstała z wysiłkiem, kopnęła ją w udo i wybiegła z pokoju do kuchni.

Carol była zaszokowana i oszołomiona zarówno nieoczekiwaną gwałtownością, jak i siłą uderzeń Jane. Piekła ją twarz, pogryzione ramię krwawiło; duża, wilgotna czerwona plama powoli powiększała się na bluzce.

Wstała chwiejnie, a potem poszła za dziewczyną.

— Kochanie, zaczekaj!

W oddali, spoza domu, doleciał do niej krzyk Laury:

— Nienawiiiiidzę cię!

Pośpieszyła w stronę otwartych drzwi i wyrzała na skąpaną w deszczu okolicę. Dziewczynka zniknęła.

— Jane! Laura!

Millicent? Linda? Jak mam, na Boga, ją nazywać?

Poszła przez ganek, po schodkach na podwórko, na bębniący, zimny deszcz. Rozejrzała się niezdecydowana, skąd zacząć poszukiwania.

Wtedy zjawiała się Jane. Wyszła z szopy, trzymając w ręku siekiere.

„...Carol jest jej naturalną matką”.

Słowa Grace odbiły się echem w głowie Paula.

Przez chwilę nie mógł wydobyć głosu.

Patrzył przed siebie, zaszokowany i roztrzęsiony, że omal nie najechał na tył sunącego ospale buicka. Nacisnął gwałtownie hamulce. Polecieli z Grace do przodu, ale przytrzymały ich pasy bezpieczeństwa. Zwolnił, odzyskując panowanie nad sobą.

Słowa zaczęły wylatywać z niego jak pociski z karabinu maszynowego.

— Ale jak, do diabła, to dziecko odkryło, kto jest jego prawdziwą matką? Nie podaje się takich informacji dzieciom w jej wieku. Jak trafiła do nas z miejsca, w którym mieszka? Jak nas namierzyła? Jak to wszystko wyreżyserowała? Chryste, ona naprawdę celowo rzuciła się pod koła samochodu Carol. To było zaplanowane. Cała ta cholerna sprawa była zaplanowana!

— Nie wiem, jak trafiła do Carol — powiedziała Grace. — Może jej przybrani rodzice wiedzieli, kto jest naturalną matką dziecka, i zachowali gdzieś to nazwisko w rodzinnych dokumentach. Może przywiodły ją tu te same siły, które chciały mnie unicestwić za pomocą Arystofanesa. To by tłumaczyło, dlaczego znajdowała się w stanie oszołomienia, gdy rzuciła się pod samochód. Ale tego nie dowiemy się chyba nigdy.

— O cholera. — Paulowi łamał się głos. — O nie, nie. Do diabła!

— Co?

— Wiesz, co dzieje się z Carol w te dni — powiedział roztrzęsiony — kiedy obchodzi rocznicę urodzin dziecka, które oddała. Jest wtedy zupełnie inna, wpada w depresję, zamyka się w sobie. Jej zachowanie tak różni się od typowego, że dokładnie wiem, kiedy nadchodzi ten dzień.

— Ja też — odparła Grace.

— To wypada jutro. Jeśli Jane jest dzieckiem Carol, jutro skończy szesnaście lat.

— Tak.

— A dziś będzie usiłowała zabić matkę.

Deszczowe zasłony marszczyły się i trzepotały jak poruszane wiatrem płócienne namioty.

Carol stała na rozmokłym gruncie, niezdolna do ruchu, zdrętwiała ze strachu, przemarznięta od zimnego deszczu.

Kilka metrów od niej znajdowała się dziewczynka trzymająca oburącz siekierę. Jej mokre włosy zwisały kosmykami do ramion, ubranie przylgnęło do ciała. Oczy przybrały sowy kształt, jakby Jane zażyła amfetaminę. Twarz wykrzywiała jej wściekłość.

— Lauro? — odezwała się wreszcie Carol. — Posłuchaj mnie. Masz mnie posłuchać. Rzuć siekierę.

— Ty śmierząca, zgniła suko — powiedziała Laura przez zaciśnięte zęby.

Na niebie pojawiła się błyskawica, a padający deszcz zamigotał przez chwilę w jej blasku.

Potem uderzył piorun.

— Lauro, chcę, żebyś...

— Nienawidzę cię! — dziewczynka zrobiła krok w stronę Carol.

— Natychmiast przestań! — Carol nie cofnęła się. — Uspokój się, odpręż.

Dziewczynka postąpiła jeszcze o krok.

— Rzuć siekierę — rozkazała Carol. — Kochanie, posłuchaj mnie. Masz mnie posłuchać.

Jesteś tylko w transie. Jesteś...

— Tym razem cię dopadnę, mamó. Tym razem nie zamierzam przegrać.

— Nie jestem twoją matką — odrzekła Carol. — Lauro, jesteś...

— Tym razem zamierzam odciąć ci tę przeklętą głowę, ty suko!

Zaczęła mówić innym głosem.

To nie była Laura.

Głos należał do Lindy Bektermann.

— Zamierzam obciąć ci tę przeklętą głowę i postawić na stole w kuchni obok głowy tatusia.

Wzdrygnąwszy się, Carol przypomniała sobie koszmarny sen sprzed kilku dni. Widziała w nim dwie odcięte głowy — mężczyzny i kobiety. Ale skąd Jane mogła wiedzieć, co było w tym śnie?

Carol cofnęła się kilka kroków, a potem jeszcze trochę. Pomimo zimnego deszczu zaczęła się pocić.

— Mówię ci po raz ostatni, Lindo, odłóż tę siekierę i...

— Zamierzam obciąć ci głowę i porąbać cię na tysiąc kawałeczków.

Ten głos należał do Jane. Sama wydostała się z transu. Wiedziała, kim jest Carol. A jednak chciała ją zabić.

Carol pobiegła w stronę schodków prowadzących na ganek.

Dziewczynka szybko ją wyminęła i zablokowała dojście do drzwi. Potem ruszyła w kierunku Carol, szczerząc zęby w uśmiechu.

Carol odwróciła się i pobiegła do lasu.

Mimo ulewnego deszczu, który bombardował przednią szybę, pomimo brudnawej mgły unoszącej się nad drogą i zdradliwie śliskiej nawierzchni Paul powoli przycisnął pedał gazu do oporu i zjechał pontakiem na sąsiedni, szybszy pas ruchu.

— To maska — orzekł.

— Co masz na myśli? — spytała Grace.

— Osobowość Jane Doe, Lindy Bektermann i Millie Parker — każda z nich była tylko maską.

Bardzo realną, przekonującą, ale tylko maską. Za nią kryła się zawsze ta sama twarz, ta sama dziewczynka — Laura.

— Musimy położyć kres tej maskaradzie raz na zawsze. Gdybym tylko mogła do niej przemówić jako ciocia Rachael, zatrzymałabym całe to szaleństwo. Jestem pewna. Posłuchałaby mnie... Rachael. Rachael była jej najbliższa. Bliższa nawet niż matka. Mogę sprawić, aby uwierzyła, że jej matka, Willa, nie miała nic wspólnego z podpaleniem domu. Niech wreszcie to zrozumie: nie ma żadnego powodu do zemsty. Koło się zamknie.

— Jeśli nie będzie za późno — rzekł Paul.

— Jeśli.

Carol biegła w zacinającym deszczu przez sięgającą do kolan trawę wznoszącą się stromo łąki, wysoko unosząc nogi i ciężko dysząc. Każdy krok przeszywał ją bólem.

Przed nią rozciągał się las, który wydawał się jedynym wybawieniem. Tysiące miejsc do ukrycia, niezliczone ścieżki, którymi mogła kluczyć.

W połowie drogi przez łąkę zaryzykowała i spojrzała za siebie. Jane biegła za nią w odległości zaledwie kilkunastu metrów.

Błyskawica rozdarła skłębione chmury, a ostrze siekiery mignęło raz i drugi w jej blasku.

Carol raz jeszcze spojrzała przed siebie, zdwoiła wysiłki, by dotrzeć do drzew, i dała nura między zarośla, w bujne podszycie. Pomyślała, że istnieje szansa — może bardzo niewielka — że ujdzie z życiem.

Skulony nad kierownicą, wyężając wzrok, by niczego nie przeoczyć na zalanej deszczem autostradzie, Paul odezwał się:

— Chcę, żebyśmy sobie jedno jasno powiedzieli.

— Co mianowicie?

— Zależy mi przede wszystkim na Carol.

— Oczywiście.

— Jeśli wkroczymy w sam środek groźnej sytuacji, zrobię wszystko, aby ją ochronić.

Grace rzuciła spojrzenie na skrytkę z rękawiczkami.

— Masz na myśli... rewolwer.

— Tak. Jeśli będę musiał, użyję go, Grace. Zastrzelę dziewczynkę, jeśli nie będę miał wyboru.

— Mało prawdopodobne, abyśmy wkroczyli w momencie konfrontacji — odparła Grace. —

Albo mamy to jeszcze przed sobą, albo już jest po wszystkim.

— Nie pozwolę skrzywdzić Carol — powiedział ponuro. — I nie chcę, żebyś próbowała mnie powstrzymać.

— Musisz wziąć pod uwagę pewne sprawy.

— Jakie?

— Po pierwsze, jeśli Carol zabije dziewczynkę, będzie to równie tragiczne. A przede wszystkim — nic się nie zmieni. Zarówno Millie, jak i Linda zaatakowały swoje matki, ale to one zostały zabite. Co się stanie, jeśli Carol w obronie własnej zabije Jane? Wiesz, że nigdy nie przestała się obwiniać z powodu oddania dziecka do adopcji. Dźwiga to brzemień już szesnaście lat. Cóż pocznie, gdy odkryje, że zabiła własną córkę?

— To ją zniszczy — odparł bez wahania.

— Z pewnością. A jak to wpłynie na wasz związek, jeśli ty zabijesz jej córkę, nawet ocalając życie Carol?

Zastanawiał się przez chwilę.

— To może być koniec naszego małżeństwa.

I zadrżał.

Chociaż ścieżka prowadząca przez las była bardzo kręta, Carol nie mogła zgubić dziewczynki. Kluczyła od wykrotu do wykrotu, przeszła przez strumyk, cofnęła się tą samą drogą, którą przyszła. Cały czas poruszała się przygarbiona, kryjąc się w gąszczu, w strumieniach ulewnego deszczu, który tłumił odgłos jej kroków. Stąpała głównie po starych liściach lub posuwała się od kamienia do kamienia, od kłody do kłody, nie zostawiając odcisków stóp na grząskiej ziemi.

A jednak Jane szła w ślad za nią z niesamowitą pewnością, bez wahania, jak gdyby miała w sobie coś z psa gończego.

Wreszcie, gdy nabrała pewności, że zgubiła dziewczynkę, przykucnęła pod wielką sosną, oparła się o wilgotny pień i oddychała głęboko, gwałtownie, chrapliwie, czekając, aż serce przestanie jej walić.

Minęła minuta. Dwie. Pięć.

I tylko deszcz skapywał z liści i gęstych igieł sosnowych.

Poczuła przejmująco wilgotną woń roślinności — mchu, grzybów, leśnej trawy...

Nic się nie poruszało.

Była bezpieczna, przynajmniej na razie.

Nie mogła jednak siedzieć ot tak sobie pod wysoką sosną i czekać, aż nadejdzie pomoc.

Jane w końcu przestanie jej szukać i będzie próbowała odnaleźć drogę do domu. Jeśli nie zabłądzi, jeśli uda jej się wrócić i będzie znajdowała się w stanie psychotycznej furii, może zamordować pierwszą napotkaną osobę.

Carol wstała i okrężną drogą ruszyła w stronę domku. Klucze do volkswagena znajdowały się w jej torebce, a torebka — w jednej z sypialni. Musiała zdobyć kluczyki, pojechać do miasta i poprosić miejscowego szeryfa o pomoc.

Gdzie popełniłam błąd? — zastanawiała się. — Dziewczynka nie powinna zareagować tak gwałtownie. Nic nie wskazywało na to, że jest do tego zdolna. A jednak Paul słusznie się niepokoił.

Ale dlaczego?

Poruszając się z najwyższą ostrożnością, spodziewając się ataku zza każdego drzewa, w ciągu piętnastu minut dotarła do skraju lasu. Na łące nie było nikogo. Domek kulił się w ulewnym deszczu.

Mała zabłądziła — pomyślała Carol. — Cale to kluczenie, zbaczanie i cofanie się na obcym terytorium mogło ją zupełnie zmylić. Sama nigdy nie odnajdzie drogi do domu.

Ludzie szeryfa nie będą zadowoleni. Poszukiwania w deszczu rozwścieczonej dziewczynki uzbrojonej w siekiere. O nie, to im się wcale nie spodoba.

Carol biegiem przemierzyła łąkę.

Kuchenne drzwi stały otworem, tak jak je zostawiła.

Wpadła do środka, zatrzasnęła je i zamknęła na zasuwę. Poczowała ulgę.

Parę razy przełknęła ślinę, wzięła głęboki oddech i przez kuchnię poszła w stronę salonu.

Właśnie miała przekroczyć próg, kiedy nagle doznała niesamowitego uczucia, że nie jest sama.

Cofnęła się gwałtownie, tknięta intuicją i w tym momencie powietrze obok niej ze świstem przecięła siekiera.

— Suka. — Jane wyskoczyła z salonu.

Carol cofnęła się do zaryglowanych przez siebie drzwi, macając za plecami w poszukiwaniu zasuw. Nie mogła jej znaleźć.

Dziewczynka zbliżyła się.

Carol odwróciła się z krzykiem, chwyciła zasuwę, próbując ją odciągnąć, ale wiedzona jakimś instynktem uskoczyła w bok w momencie, w którym ostrze siekiery wbiło się w drzwi właśnie tam, gdzie przed chwilą znajdowała się jej głowa.

Nadludzkim wysiłkiem Jane wyrwała siekiere z drewna. Carol ominęła dziewczynę i wbiegła do salonu, szukając czegoś, czym mogłaby się bronić. Na stojaku z przyborami kominkowymi wisiał pogrzebacz. Chwyciła go.

— Nienawidzę cię! — Usłyszała za swoimi plecami.

Odwróciła się błyskawicznie.

Dziewczynka zamachnęła się siekiere.

Carol, nie zastanawiając się, podniosła pogrzebacz. Zwarł się z błyszczącym ostrzem, udaremniając cios.

Siła uderzenia metalu o metal była tak wielka, że przeszył ją ból powodujący drętwienie ręki i zmuszający do rozluźnienia uścisku. Pogrzebacz wypadł z jej sztywniejących dłoni.

Cofnęła się w stronę szerokiego paleniska kominka przed nacierającą Jane, która wciąż trzymała swoją broń.

Nie miała dokąd uciec.

— Teraz — odezwała się Jane. — Teraz. Wreszcie.

Podniosła siekierę wysoko, a Carol krzyknęła, zasłaniając głowę rękami. Nagle z trzaskiem otwały się frontowe drzwi i w progu stanął Paul. I Grace.

Siekiera uderzyła w kamienną obudowę kominka nad głową Carol. Poleciały iskry.

Paul rzucił się na ratunek, ale Jane odwróciła się do niego, zamachnęła siekierą i sprawiła, że się cofnął.

Potem znów natarła na Carol.

— Złapałam cię, ty szczurze — wyszczerzyła zęby i uniosła siekierę.

Tym razem nie chybi — przemknęło przez myśl Carol.

— Pająki!

Dziewczynka zamarła, z rękami uniesionymi nad głową.

— Pająki! — To była Grace. — Masz pająki na plecach, Lauro. O Boże, na całych plecach!

Pająki! Lauro, uważaj na pająki!

Carol patrzyła oszołomiona. Twarz Jane wyrażała zgrozę.

— Pająki! — krzyknęła Grace. — Wielkie, czarne, włochate pająki. Strząśnij je! Strząśnij z pleców. Szybko!

Dziewczynka wrzasnęła i upuściła siekierę. Wymachując ramionami, próbowała strzepnąć niewidzialnych napastników. Posapywała i piszczała jak małe dziecko.

— Pomóżcie mi!

— Pająki — powtórzyła Grace, a Paul podniósł siekierę i schował ją.

Jane szarpała na sobie bluzkę, próbując ją zedrzeć, upadła na kolana, przekręciła się na bok, bełkocąc i jęcząc.

— Zawsze bała się pająków — powiedziała Grace. — Dlatego nienawidziła piwnicy.

— Piwnicy? — powtórzyła Carol.

— Tam umarła — wyjaśniła Grace.

Carol nie zrozumiała. Jednak w tej chwili nie miało to znaczenia. Patrzyła na dziewczynkę wijącą się na podłodze i nagle poczuła, że ogarnia ją litość. Uklękła przy Jane, podniosła ją, przytuliła.

— Nic ci nie jest? — spytał ją Paul.

Pokręciła głową.

— Pająki — odezwała się dziewczynka drżącym głosem.

— Nie, kochanie — powiedziała Carol. — Nie ma pająków. Nie ma na tobie żadnych pająków.

Nie ma i nie będzie. — I pytająco spojrzała na Grace.